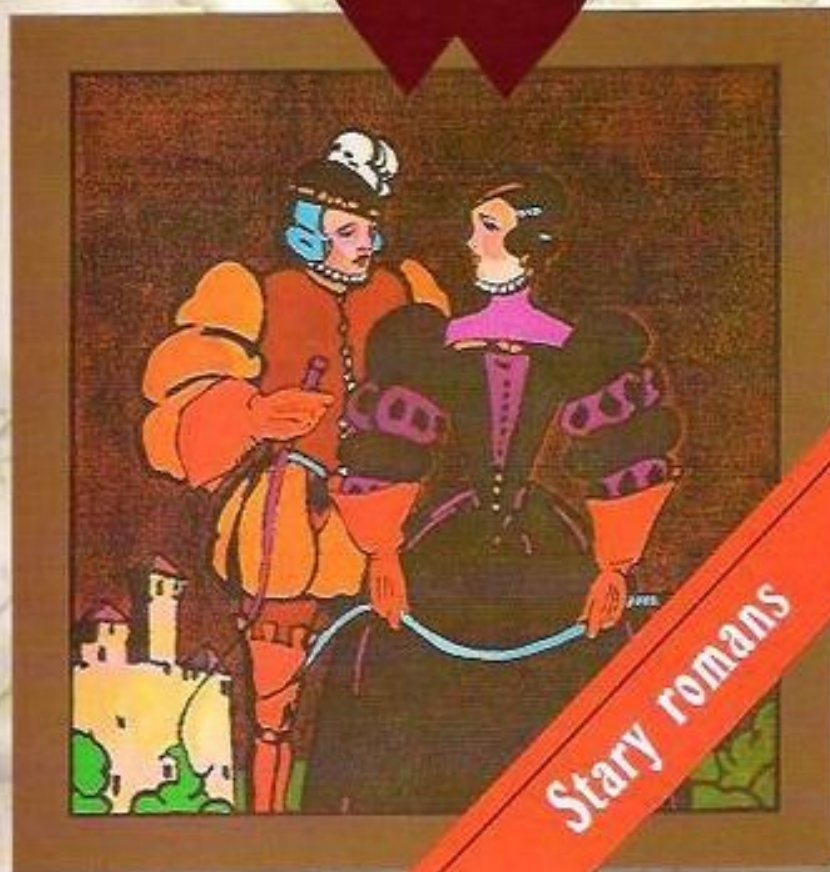


Frances Hodgson Burnett

PANNA SZLACHETNEGO RODU



Stary romans

Frances Hodgson Burnett

PANNA SZLACHETNEGO RODU

Katowice 1992

Znak firmowy Oficyny Wydawniczej „AKAPIT” i znaki firmowe serii wydawniczych „AKAPITU”
zastrzeżone

ISBN 83-85397-63-9

Adaptacja i redakcja merytoryczna Elżbieta Dobrzańska

Redakcja techniczna Lech Dobrzański

Projekt okładki i strony tytułowej Marek Mosiński

Korekta Barbara Todos-Burny

Wydanie pierwsze powojenne

Wydawca:

P.P.U. „Akapit” - Oficyna Wydawnicza, Katowice 1992

Ark. wyd. 10,5. Ark. druk. 11,0

Papier offset, ki. III, 70 g

Cieszyńska Drukarnia Wydawnicza

ul. Pokoju 1, 43-400 Cieszyn

Zam. nr 1392-k-92

*

* *

W poranek zimowy, przy schyłku roku 1690, w mdławym, czerwonym blasku słońca, przebłyskującego przez mgłę, sir Jeoffrey wyruszał na łowy, wśród wielkiego zgiełku i tumultu, złożonego z ujadania psów, głośnych krzyków i nawoływań oraz uderzeń końskich kopyt o flizy podwórca dworu w Wildairs.

Sir Jeoffrey był człowiekiem o temperamencie cholerycznym, o głosie potężnym, tubalnym, a przy tym lubił kłać i hałasować nawet kiedy był przy najlepszej fantazji, tak że jego odjazd na łów z kompanami nie mógł się odbywać bez wrzawy i hałasu, a tego ranka w szczególności, jako że kompanowie jego gościli już od wczorajszego dnia, przy czym wieczczano późno i tego pito, przeto dzionek zastał ich pokwaszonych, jednego z bólem głowy, drugiego z mdłościami, innego znowu tylko po prostu w złym humorze po wczorajszych libacjach, dość, że wszyscy kłeli w głos na konie i pachółków i rechotali warkliwym śmiechem, gdy ktoś rzucił jakiś rubaszny żart. A żartów takich rzucono niemało, albowiem sir Jeoffrey i jego kompani słynęli na całą okolicę (złą zaiste sławą) z rozpusty w swych obyczajach i zabawach i z nieprzystojności w mowie i całe szczęście, iż tego poranka, gdy owe sprośne gadki mocno przekleństwami okraszone rozbrzmiewały w mroźnym powietrzu, nie było w pobliżu żadnej niewiasty, której by skromne uszy zostały obrażone.

Sir Jeoffrey głośniej od innych i śmiał się i przeklinał, jako że pił wczoraj lepiej niż którykolwiek z kompanii i chociaż zwykł był mawiać, że zawsze o jedną flachę więcej potrafi wypić niż który bądź najteższy pijanica i wszyscy jego goście legną pod stołem nim się jemu we łbie zamroczy, to jednak wczorajszego opilstwa i jemu było już nadto, wstał bowiem rozeźlony i skory do zaczepki-Przechadzał się, klnąc nieprzystojnie psy i pachółków, a gdy dosiadał swego rośłego, ognistego karosza, podniósł się taki tumult ludzkich głosów, psiego ujadania i rżenia rumaków, jakby się nad podwórcem rozpętał istny koniec świata.

Jegomość sir Jeoffrey był czerstwym mężem, potężnej postury o kwadratowej twarzy, w której błyszczały ciemne oczy. W młodości zasłynął ze swej niezwykłej siły, prawdziwie olbrzymiej, jak i ze swej zręczności w siodle i mocnej głowy przy kielichu. Wiele też szpetnych wieści krążyło o jego niecnym przygodach; on ich sam wcale za niecne nie uważał i jeszcze szczycił się nimi, bo świadczyły o jego niesłychanej fantazji, a gdy doszła do niego wieść o plotkach, które o nim krążą po całym hrabstwie, zwykł śmiać się triumfalnie, jakby szczycił się swoją złą sławą. Pojął za małżonkę najpiękniejszą pannę w okolicy,

do której cała młodzież hrabstwa pałała sympatią. Miała ta panienska podówczas lat piętnaście i sir Geoffrey wydawał się w niej zakochany, ale szybko w nim wygasła ta namiętność, jako że w jego mniemaniu żona zawiniła wobec niego i w związku z tym żywił do niej niewygasły żal. Jej wina polegała na tym, że nieszczęsna rok w rok obdarzała go dziecięciami płci żeńskiej, nie dawszy mu ani jednego syna, a że sir Geoffrey, żyjąc w ustawicznych sporach ze swymi krewniakami, gorąco pragnął mieć dziedzica dla swej spuścizny, aby jej nie pozostawić znienawidzonym familiantom, przeto ь każde narodziny córki uważał za złośliwego figla, spletanego mu na przekór przez upartą małżonkę.

Jejmość pani Jeoffreyowa Wildairs rzadko kiedy ukazywała się w kompanii. Była to łagodna istota, nieśmiała i zawsze załężniona, która nie zaznała szczęścia w swej małżeńskiej doli, jako że pan jej i małżonek lekceważył ją i odnosił się do niej szorstko i bez sentymentów. Ich dzieci słabowite i wątłe chorowały i wymierały w maleńkości, jedno po drugim, aż tylko dwie córeczki pozostały przy życiu.

Sir Geoffrey nie pamiętał o istnieniu żony, jeśli jej nie widział na oczy, a już napewno nie miał jej w pamięci owego ranka, kiedy to wyruszał na łowy z kompaniami, ale tak się zdarzyło, że właśnie, kiedy pacholek stajenny podciągał mu strzemie, pod gromami przekleństw swego pana, wzrok jegomości sir Jeoffreya padł przypadkiem na jedno z okien wyzierających z opłotów gęstego bluszczu i w tym oknie ujrzał staruchę, która rozchyliwszy firanki, jego właśnie zdawała się szukać oczyma.

— Przekleństwo! — wykrzyknął gniewne. — Znowuż ta stara jędza Possetowa! Czego tu chce ta wiedźma z piekła rodem?

Firanki opadły i stara znikła, ale po chwili stała się rzecz niesłychana. W drzwiach czeladnej, rozpychając się wśród tłumu sług i dziewczek, ta sama starucha torowała sobie drogę w pośpiechu i widomym zatroskaniu i zszedłszy z kamiennych schodów, drepcącym kroczkiem podążała prosto w tę stronę podwórca, gdzie właśnie pan dworu dosiadł swego karosza.

— Ki diabeł was tu nadał? — zawołał. — Znów mi tam dziewczuchę na świat zamierzacie sprowadzić?

— Już nie — odrzekła stara cierpko, wpadając w jego ton. Córka już przysła na świat od godziny, ale nasza pani...

— Niech ją piekło razem z wami pochłonie! — Ryknął sir Geoffrey.

— Dziewiąta z rzędu! O dziewięć ich za dużo! Ona mi to czyni na złość.

— Obraza to dla małżonka, który pragnie doczekać się dziedzica

— rzekła stara, równe lekceważąc sobie nieszczęsną niewiastę, przebiegła bowiem babina dobrze wiedziała, iż mało popłaca dogadzanie pani, na którą spadła niełaska jej małżonka. — Powinien to być chłopiec, ale jej miłość...

— A niech ją piekło pochłonie! — zaklął sir Jeffrey, ściągając cugle rumaka, aż ten stanął dęba.

— Nie dała mi spocząć, jeno żebym szła do waszej miłości

— mówiła dalej stara zjadliwie. — Powiada, że nieswojo się czuje i chciałaby się teraz jeszcze zobaczyć z waszą miłością.

— Ani chcę, ani mogę do niej przybyć! — brzmiała odpowiedź.

— Cóż to za szaleństwa? Dziewiąty już raz tak mi się czuje jejmość nieswojo, a i ja nie lepiej od niej, ale tym razem wyczerpała się już moja cierpliwość.

— Może rozum się jej pomącił — rzekła stara. — Leży skulona w swym łożu i coś tam do siebie szepce i spokoju mi nie dawała, aż jej przyrzekłam, a pójdę do waszej miłości. „Przez pamięć na biedną Dafne, powiedzcie mu”, prosiła i powtarzała to wciąż w kółko.

Sir Jeffrey znów szarpnął cugle rumaka i zaklął brzydtko. — Miała wtedy piętnaście lat i nie dała mi jeszcze dziewięciu dziewczuch, żółtych, jako limony — rzekł.

— Powiedzcie jej, że już wyjechał na łowy, kiedyście po mnie przyszli — i z tymi słowami zaciął harapem z całej mocy swego ogromnego karosza, a koń zerwał się cwałem, unosząc go za bramę, za panem zaś dworu pomknęli w cwał jego kompanowie z psami i pacholkami, śmiejąc się w głos, słyszeli bowiem coś niecoś z rozmowy gospodarza z babką i rozumieli przyczynę jego nagłego gniewu.

*

* *

W ogromnej komnacie, której wyszarzałe obicia tu i ówdzie zwisały w strzępach, a ciężkie, choć nieliczne, sprzęty sterczały ponuro po kątach, spoczywała lady Dafne na wielkim, ciemnym łożu z baldachimem, mając przy boku swą nowo narodzoną dziecinę, lecz ani spoglądając na nią, ani jej

dotykając. Myślałabyś raczej, iż się odsunęła jak najdalej od poduszki, w którą spowito niemowlę.

Była to drobniuchna pani, a teraz skulona w tym ogromnym łożu, z twarzyczką zbielałą i wykrzywioną od męki, sama wydawała się zaledwie dzieckiem. Za krótkich dni jej szczęścia admiratorzy nazywali ją Tytanią, z powodu jej wiotkiej tali i filigranowej urody, ale wówczas jej złote, faliste włosy tworzyły płaszcz aż do samej ziemi, gdy służebna rozplatała jej warkocze, a cera jej była jak płatki polnej róży, oczy zaś ogromne i lśniące niby oczy łagodnej sarenki. Sir Geoffrey przez jakiś miesiąc tak żarliwie składał jej hołdy i tak zjednał sobie jej skłonność ogniem swej miłości i famą śmiałego kawalera, jaka szła za nim, że w swym dziecinnym niedoświadczeniu mniemała, iż jest najszczęśliwszą pod słońcem panną, znalazłszy łaskę w jego czarnych, palących oczach. Odtąd rok w rok, z przyjściem na świat każdej córki, traciła coraz bardziej swą urodę. Z każdym rokiem rzedły jej cudne włosy, więdła jej różana cera i wdzięki traciły toczony kształt. Pożółkła i wychudła i rzadkie już tylko pasma jasnych włosów okalały jej zwiędłą twarzyczkę, a wielkie, ongiś piękne, oczy straciły blask i głęboko zapadły w podsiniątych oczodołach. Jako że małżeństwo to nie znalazło łaski w oczach jej rodziny, sir Geoffrey bowiem nie lubił jeździć nigdzie w gości, chyba do swych hulaszczych kompanów, a sława jego z każdym rokiem stawała się gorsza, krewniacy przestali ją odwiedzać i życie jej z każdym rokiem stawało się coraz bardziej samotne. A że nie było w niej nadziei i coraz smutniejsze płynęły dni, przeto jej dzieci przychodziły na świat wątłe i pozbawione urody, słabowały i umierały szybko, tak że każde z nich niosło jej tylko mękę dwukrotną: narodzin i śmierci. W ten poranek zimowy dziewiąta z kolei córka leżała przy jej boku.

Zgiełk ujadających psów i nawołujących się myśliwych milknął w oddali, wraz z głuchącym tętentem kopyt końskich, światło sączące się przez drobne, w ołów wtopione szyby mdłe było i żółtawe, w komnacie było zimno, ogień bowiem na kominku dogasał już z wolna, nie zasilony nowym paliwem; lady Dafne była sama i wiedziała, że nadeszła jej ostatnia godzina. Wiedziała o tym aż nadto dobrze. Była sama, gdyż z lekceważenia i zaniedbania, jakiego małżonek na każdym kroku dawał jej dowody, przykład brała i służba, ona zaś, nieśmiała i lękliwa z natury, nie umiała zdobyć sobie nad czeladzią władzy, ani nakłonić ludzi do należytego pełnienia obowiązków. Starucha Pos-setowa była jedyną jej opiekunką w ciężkich chwilach połogu, jako że mniejsze brała wynagrodzenie niż inne, lepszej sławy zażywające babki. Sir Geoffrey zarzekł się, iż nie będzie płacić za „przeklęte dziewczuchy”. Matka Possetowa była leniwą, niechętną staruchą, lubiącą żłopać cienkie piwo od rana do wieczora i wypatrującą tylko, żeby jej nie zbywało na obfitym jadle, gdy spełniała swe ciężkie posługi, starając się wprowadzić, żeby one wypadały tak lekko, jak się tylko dało; wiedziała

bowiem doskonale, iż nie było komu upomnieć się o powierzoną jej staraniom nieszczęsną panią.

— Ładną noc miałam — zrzędziła, wróciwszy z odpowiedzią jegomości do komnaty swej pani. — Moje stare kości jakby kto pogruchotał, a krzyża już rozprostować nie mogę. Pójdę do kuchni pokrzepić się i nieco rozgrzać. Przyboczna miłościwej pani może teraz z nią posiedzieć.

„Przyboczna” była także piastunką dwóch dziewczeczek, Barbary i Anny, których dziecinne pokoje znajdowały się w innym skrzydle domu i biedna lady wiedziała dobrze, iż kobieta owa nie przyjdzie choćby ją nawet wzywano, jak również to, że nikt jej nie będzie wzywać.

Wiedziała także, że ogień dogasa, ale choć dygotała z zimna na swej pościeli, nie miała sił zawołać staruchy, gdy ta opuszczała komnatę, nie dorzuciwszy drew do kominka.

I tak leżała sama jedna, biedna pani, a cisza była dokoła wielka. Wąskie usteczka nieszczęsnej poczęły drgać żałośnie, a wielkie oczy jęły się napełniać ciężkimi, zimnymi łzami. Tak zaiste, zimne jak lód były łzy, które spływały po jej policzkach, zostawiając za sobą smugę wilgoci, której już nie miała sił obetrzeć bezwładnymi, stygnącymi dłońmi.

— Dziewięć razy — żaliła się samej sobie — tak cierpię i nic nie słyszę tylko przekleństwa i słowa potępienia, miotane na mą głowę. A przecież miłował mnie ongiś. Wtedy było: „Dafne moja” i „moja cudna Dafne”, a teraz... — tu przechyliła bezwładnie głowę. — Nieszczęsne z nas, kobiet, stworzenia — szepnęła i gorzka łza spłynęła na poduszki. — Krótki czas miłowania, jak jedna chwila... a potem tylko to... tylko to, i nic więcej. Obym już sama nie żyła i to maleństwo.

Oddech jej stał się przerywany i ciężki, a oczy szeroko rozwarte szklily się od łez. — Toż to dziecko — szeptała — jak i ja sama byłam dzieckiem... I ona kiedyś będzie miała piętnaście lat.

I mimo gasnących z każdą chwilą sił, mocowała się w sobie, aby się obrócić na stronę, gdzie leżała jej maleńka latorośl, a gdy wreszcie zdołała to uczynić, leżała bezwładnie, wpatrując się w dziecinę i dysząc ciężko; chuda jej pierś podnosiła się i opadała kurczowo, a na szeroko otwartych oczach z wolna osiadało bielmo śmierci. Ale choć wzrok jej dogasał, widziała wyraźnie przed sobą główkę niemowlęcia. Buzia dziewczeczki nie była czerwona ani pomarszczona, jak to u noworodków. Drobne rysy były wyraźne i piękne, jakby je kto wyrzezał rylcem, a główkę pokrywał gąszcz jedwabistych, czarnych

kędziorków.

— Nie jest taka jak tamte — wyszeptała matka. — Tamte nie miały urody i są... bezpieczne. Ale ta... będzie podobna do Jeoffreya... i do mnie.

Dogorywający ogień na kominku obruszył się z głuchym trzaskiem. — Żle jej będzie bez matki... z taką urodą — szeptała umierająca. — Od pierwszej godziny życia nic jej nie czeka prócz zła. Biedactwo...

Coś w jej krtani zachrobotło, ale w konających oczach błysnął żar uniesienia. Dysząc ciężko, wyciągnęła zimną, zeszywniałą dłoń.

Ostatnim, przedśmiertnym wysiłkiem zdołała dosięgnąć maleństwa. Szaleństwo było w jej gasnących oczach; pierś chrypiała przerywanym oddechem. Zerwała się i opadła bezwładnie na dziecinę, która zbudziła się nagle i otworzyła wielkie, czarne oczęta. Zimna dłoń spoczęła na usteczkach niemowlęcia, zimna, bezwładna głowa zaciążyła na jego piersi, ale mała istotka miała w sobie jakieś niespożyte siły. Miotła się i wiła, jej drobne członeczki wierzgały pod śmiertelnym ciężarem, aż lodowata dłoń spadła i usteczka dziecinne rozwarły się ostrym krzykiem. A nie było to słabiuchne zawrodożenie noworodka, ale wrzask dziki i przeraźliwy, jakby złość już rozpierała maleńką pierś dzieciny. Nie chciało maleństwo tak łatwo ustąpić swego życia, było snąć z tych istot, które rodzą się do walki.

Może ten donośny krzyk przeszył uszy umierającej, bo pierś jej uniosło głębokie i straszne westchnienie i jeszcze jedno, i jeszcze... ale to ostatnie tchnienie zawisło drżące i zgasło, i ostatnia iskierka żaru wyblęsnęła nad paleniskiem, ostatnia...

*

* *

Gdy starucha przydreptała z powrotem, w komnacie było zimno jak w grobie, szare popioły i szczerńnię węgle zalegały kominek, za to krzyki dzieciny przesywały powietrze, a lady Dafne leżała sztywna i martwa, z nieszczęsną głową na nóżkach niemowlęcia, z oczyma szeroko rozwartymi, jakby jeszcze po śmierci zadawała jakieś straszliwe pytanie nieubłaganemu Przeznaczeniu.

*

* *

W najodleglejszym skrzydle dworu, w pustych, zaniedbanych pokojach,

biedne dzieci zmarłej pani wiodły swój krótki żywot, z którym się prędko rozstawały, jedne po drugich. Sir Jeffrey nie pragnął ich oglądać i rzadko kiedy to czynił, chyba że nie po swej woli napotkał którą z nich przypadkiem. Tych sześciu córeczek, które pomarły nawet rodzona matka nie opłakiwała, raczej witać je mogła płaczem, gdy przychodziły na ten świat. Na dwie, które pozostały spoglądała ze smutkiem dzień po dniu, widząc, że urody w nich nie było ani też się na urodziwe nie zapowiadały w przyszłości. Gdyby jeszcze były piękne i gładkie, znalazłyby choć jakieś usprawiedliwienie w oczach swego ojca, że żyją; uroda bowiem pomogłaby im w rychłym zamażpójściu, przez co sir Jeffrey pozbyłby się kłopotu. Natura jednak, niestety, poskapiła swych łask małej Annie i siostrzyczce jej, Barbarze. Były to blade paniątka o mdłych buziakach i perkatych noskach; wdały się całkiem w pewną ciotkę, która umarła w podeszłych latach w panińskim stanie, jak i im zapewne wypadnie dokonać żywota. Sir Jeffrey nie mógł ich znieść, zmykały też na odgłos jego kroków, chowając się po kątach, wtulając się za szafy, lub gdziekolwiek wypadło, byle mu zejść z drogi. Nie miały one żadnych zabawek ani towarzyszek do zabaw, ani żadnych uciech, właściwych im wiekowi, chyba te niewinne radości, jakie przemyślna imaginacja dziecięca sama sobie potrafi uroić.

Po śmierci nieszczęsnej matki dola ich płynąć miała w smutku i opuszczeniu. Panna respektowa, jakaś uboga krewna sir Jeffreya, stała się ich jedyną opiekunką. Sama ofiarowała się na ochmistrzynię przy nich, nie mając gdzie miejsca zagrzać po świecie i krewniak przyzwolił, nie pytając, czy też posiada jakąkolwiek edukację. Jejmoś-cianka Margery Wimpole była to osóbką skromna, nieuczona i bez wrodzonego dowcipu, ale też i bez złości wrodzonej, tylko że słaba i pozbawiona powagi, jaka przystoi ochmistrzyni. Bała się śmiertelnie sir Jeffreya, bała się służby, która wiedziała, że jest tylko ubogą krewniaczką przygarniętą z łaski i żadnego przed nią nie czuła respektu. Siedziała ze swymi pupilkami w pustych komnatach we wschodnim skrzydle dworu i uczyła je czytać, trochę pisać i haftować jakieś wzorki, jako że więcej nic sama nie umiała.

Dziecińcu, które życie okupiło zgonem swej rodzicielki, wcale się lepsza nie zapowiadała dola niż jej starszym siostrom. Ojciec uważał wszystkie trzy za niemiły i zbędny ciężar, bo to wyżywić trzeba i przyodziać choć jako tako, a że małżonkę pojął dla urody, nie zaś dla fortuny, a sam nie tak znów wielki miał majątek, zaledwie wystarczający na własne hulanki, pijatyki i łowy, przeto mu każdy grosz na inny cel wydany ciężką wydawał się stratą.

Dziecinę ochrzczono imieniem Klorynda, a chowała się od pierwszej chwili swego żywota między kuchnią a czeladną. Raz tylko w jej niemowlęctwie oglądał ją ojciec, a to wcale nie dlatego, że wyraził życzenie ujżenia swej najmłodszej latorośli, ale dzięki zwykłemu przypadkowi napotkawszy na swej

drodze piastunkę z dziecięciem na ręce. Kobieta owa, młoda i nieszpeta, wdała się w amory z masztalerzem i zdążyła na spotkanie z nim przez stajenny podwórzec, niosąc na ręku swą małą wychowanicę, w tym samym czasie, kiedy sir Geoffrey szedł do stajni obejrzeć swego podjezdka.

Kobieta, na tak nagłe zjawienie się groźnego pana, zadrżała z przestachu i omal nie upuściła dziecięcia, które zaczęło przeraźliwie krzyczeć, zwracając tym uwagę ojca. Sir Geoffrey wpadł w niepomierny gniew.

— Do stu piorunów! — ryknął, — toż to najbrzydsza ze wszystkich! Żółte na gębie dziewuszysko, z oczyma jak u sowy i z głosem niczym cztery pawie. Jeszcze jedno brzydactwo, którego nie sposób będzie wypchnąć za mąż.

Sześć lat upłynęło zanim ją znowu zobaczył, a to dlatego, że nikt się nie kwapił pokazywać mu jej na oczy, z czym żadnej nie było trudności, jako że sir Geoffrey unikał niczym zarazy tego skrzydła w swym dworze, gdzie się chowały jego nieszczęsne córki.

Mała Klorynda była jednak ulepiona z nieco innej gliny niż jej dwie starsze siostry, jak się o tym wkrótce przekonali domownicy. Gdy matka Possetowa wydobyła ją spod zimnych zwłok rodzicielki, dziecina nie ustawała w przeraźliwych krzykach, choć ją stara i kołysała i biła, sama nie wiedząc jakby ją uciszyć, aż się zniechęciła i znużyła, dziecko bowiem nie chciało się uspokoić i taką w swym wrzasku okazywało siłę i zawziętość, jakiego doświadczona babka nigdy w żadnym jeszcze nie widziała niemowlęciu.

— Jak żyję nie widziałam podobnego bębna, choć ich już tyle przez moje ręce przeszło — mruzczała Possetowa. — Głos to majak półroczny chłopak, aż mi bębenki w uszach przewierca. A zamilknie, ty bachorze zatracony!

Ale to był zaledwie początek. Dziecię rosło szybko, krzepkie było w krzyżu i umiało dawać znać o sobie, jak żadne jeszcze niemowlę w tych murach. Jeśli czegoś chciało, potrafiło tak wrzeszczeć i ryczeć, że nikt by nie zaznał wytchnienia, dopóki by nie uczynił mu zadość, toteż obsługiwano je prędko i sprawnie, dla samego miłego spokoju.

Mała Klorynda rychło to przeniknęła dziecinnym rozumkiem, a skoro już uczyniła to odkrycie, nie przestawała zeń ustawicznie korzystać. Przekonawszy się jeszcze za czasów gdy „papu” było jej jedynym pragnieniem, że wystarczy tylko dość mocno wrzeszczeć, aby podsunęto jej flaszkę z kleikiem, brała się na ten sposób i przy wszelkich innych okazjach. Gdy miała rok, stała krzepko na swych tłustych nożynach i biła siostry, aby im odebrać zabawki, albo i niańkę, gdy jej chciała zmienić sukienkę. Łatwo wpadała w furie i wtedy tak szalała i

tupała nogami, że istna to była krotochwila i słudzy mieli uciechę w przekomarzaniu się z nią, aby ją rozeźlić. Lubili postawić małą pannę Kloryndę na stole w czeladnej, kiedy czas im się dłużył, i drażnili ją, aż pąsowała jej twarzyczka od krwi, która jej w zagniewaniu uderzała do główki; biegała wtedy od jednego do drugiego, bijąc ich i wrzeszcząc jak mały rozjuszony żbik, ku ich głośnym śmiechom i uciechu.

— Na miły Bóg — mawiał stary ochmistrz — toż mała panienka to wykapany sir Geoffrey, kiedy się rozeźli, kropka w kropkę jak nasz jegomość. Taka sama czerwona na twarzy i klnie na swój dziecinny sposób, niczym on wśród swej psiarni i pacholków.

— I jego będzie miała budowę — mówiła klucznica. — Sama nie wiem, jakie nieszcześnie zrządzenie losu sprawiło, że się urodziła dziewczyną a nie chłopcem, jakby jej przystało. Miałby pan z niej przystojnego dziedzica. Dziś już ręce ma długie, a krzepkie niczym sześćioletni chłopak, a ma zaledwie trzy lata.

— Nie poznał się na niej dziedzic jegomość, kiedy ją nazwał brzydactwem—mawiała kobieta, która ją wyniańczyła. — Piękna z niej panna wyrośnie, choć może wzrostu zbyt okazałego. Usta i jagody kraśne jak maki, włos czarny, oczy jak dwa węgle, a rzęsy dokoła nich niczym firanki u okien. A w jakie piękne kędziory zwijają się jej włosy, jakby je kto trefił! Nieboszczka jej matka była piękną ongiś panią, ale ta będzie piękniejsza, bo wzięła po ojcu długie, wysmukłe kształty i pańską postawę. Niejednemu jeszcze kawalerowi w głowie zawróci jej uroda.

— Tak — potwierdziła klucznica. — Niejedno zobaczymy, jak nasza jejmość Klorynda dorośnie. Już ona będzie miała swoją wolę, tylko oby zanadto nie poszła w ślady swego rodzica!

Prawdą było, iż mała Klorynda w niczym nie przypominała swych skromnych siostrzyczek ani urodą, ani też i charakterem. Z dwiema starszymi dziewczeczkami, Anną i Barbarą, nie było kłopotu. Jako że były ciche i uległe, ale na rosnącą szybko Kloryncię jejmość panna Margery Wimpole spoglądała z lękiem i drzeniem. Nie ośmieliłaby się upominać sług, którzy swymi zabawami najgorsze rozbudzali w dziecku skłonności, do gniewu je wdrażając oraz dając mu przykład nieobyczajnej mowy. Słudzy jegomości sir Jeoffreya w niczym lepsi nie byli od swego pana, a chowając się wśród nich ich mała panienka niejednego się napatrzyła i nasłuchała, czego widzieć i słyszeć dziewczeczkom z dobrego rodu nie przystoi.

Dziewki kuchenne w amory się wdawały z masztalerzami, a mała jejmość panna Klorynda, że to wielkie w psach i koniach miała upodobanie, ustawicznie

kazała się im do stajen prowadzić, co im dla względów wyżej wymienionych wielce było na rękę, toteż brały sobie owo towarzyszenie panience za płaszczyk na pokrycie własnych chęci. Kloryńcia bawiła się wśród psów i pod kopytami koni i nauczyła się kłać gładko, niczym masztalerz Giles lub stajenny Tom przy widłach czy przy zgrzeble. Zabawnie aż było słyszeć owe przekleństwa i słowa nieprzystojne, sypiące się z dziecinnych usteczek, i pachółkowie wielką mieli uciechę z tej mowy, jakiej używała panienka w swoich napadach wściekłego gniewu. Niechby któryś do niej coś w żartach zagadał, a ona już na niego z potokami wymowy, godnej co najmocniejszej w gębie straganiary albo i dziewczki pijanej przy karczemnej zwadzie.

Nie znalazł się nikt, kto by miał dość rozumu czy serca, aby się ulitować nad okropnym zaniedbaniem tego dziecięcia, nikt, kto by się postarał okiełznać jej dziką popędliwość. Rosło to sobie wśród tego wszeteczeństwa pięknie i zdrowo, jakby ta zgniła strawa duchowa była najposilniejszym pokarmem. Klorynda rosła na piękną sekutnicę, z każdym dniem urodziwszą i postawniejszą.

Aż nadszedł dzień, a sześciu lat podówczas dobiegała, gdy dziwnym figlem losu nowy obrót przyjęły jej przeznaczenia.

By to, co opiszemy zrozumieć, wiedzieć należy, iż Kloryńcia trzech lat nie miała, gdy ją masztalerz po raz pierwszy posadził na koń i prowadził dokoła stajennego podwórca. Paniątko tak zachwyciło się tą jazdą na koniu, tak krzyczało z radości i trzymało cugle w garści, a cmokało na rumaka, aż patrzący pachółkowie za boki się brali od śmiechu.

Od tego czasu co dzień ją na koń sadzano i taką okazywała niedziecinną zgoła śmiałość, że jazda stała się nową rozrywką dla czeladzi. Wkrótce to i trzymać jej nie było trzeba; siedziała na siodle jak dojrzały mąż i kłęła, jeśli koń nie szedł po jej woli, uderzając o jego boki drobnymi piętami i piąstkami okładając go po karku. Lęku nie znała i chętnie by harapem częstowała rumaka, gdyby go jej dano, ale pachółkowie nie mieli śmiałości powierzyć go w dziecinne rączyny, a i to wiedzieli, iż konia trzeba jej dawać najłagodniejszego. Gdy miała lat sześć nauczyła się jeździć niczym dorosły mąż, a tak znała dobrze konie swego ojca, jak i on sam, choć tego wcale nie był świadom, doglądano tego bowiem pilnie, by jej nie ujrzał, gdy przychodził zaglądać do swoich wierzchowców.

Przydarzyło się, iż koń, którego jegomość sir Jeffrey najchętniej dosiadał, stał się właśnie ulubieńcem jego córki i niejednym razem mała panienka szalała z dzikiej złości, nie zastawszy w zagrodzie konia, z którym właśnie przyszła poigrać, jako że był w polu pod swoim panem. Kłęła wtedy z całej mocy pachółków i masztalerzy, że się ośmielili odprawić jej konia, co ich wielce

weseliło, bo mała panienka, nieświadoma nawet istnienia swego ojca, nie wiedziała kim jest ten, który ją tak krzywdzi. Nigdy go nie widziała na oczy i nie знаła go inaczej jak z nazwiska, żadnego z sobą nie upatrując związku.

— Gdyby ją jegomość sir Jeffrey zobaczył choć raz, jak się złości i jak krzyczy na nas i na niego — rzekł pewnego razu jeden ze starszych sług, wśród takich śmiechów — przysięgam, że śmiałyby się sam do rozpuku i cieszyłby się jej zuchwalstwem, tak bardzo podobna jest do niego w swoich gniewach.

Owego poranka, który tak się ważkim okazał dla jej późniejszego życia, poszła mała jejmość Klorynda do stajen, jak to było w jej codziennym zwyczaju, i zobaczyła, że zagroda, gdzie trzymano jej ulubionego karosza znowu jest pusta. Gniew w niej wezbrał i jęła tupać nóżkami, i wygrażać piąstkami, i kłać tak szpetnie, że i powtórzyć nie przystoi.

— Gdzie mój koń? — krzyczała. — Kto śmie na nim jeździć? Kto, gadajcie?

— Człek to nieobyczajny — rzekł stajenny, na którego spadły gromy jej gniewu, a uśmiechał się przy tym pod wąsem. — On śmie twierdzić, że to jego koń i że wolno mu go brać, kiedy mu się spodoba.

— Mój jest! — wrzasnęła jejmość panna, a twarzyczka jej w dzikiej pasji pałała jak ogień. — Zabiję go! To mój koń!

Przez dobrą chwilę drażnili ją słudzy, aby móc ją oglądać w gniewie i stąd mieć uciechę, bo też im bardziej szalała, tym bardziej warta była widzenia, mając purpurowe policzki i oczy wielkie i pełne żaru. Nic w niej w takich chwilach nie było niewieściego, raczej na urodziwego chłopaczka wyglądała i to starszego niż jej lata, była bowiem nad wiek wyrośnięta.

Wreszcie, dworując sobie z niej, jeden ze stajennych rzekł: — Koń jest teraz przed gankiem wjazdowym. Ów człek kazał go tam trzymać dla siebie, a sam wszedł do domu.

Ani się obejrzała jejmość Klorynda, tylko jęła biec we wskazanym jej kierunku. Frontowej strony dworu prawie nie znała, jako że trzymano ją zawsze we wschodnim skrzydle, a na przechadzki wyprowadzano bocznymi drzwiami. Nigdy też nie była w wielkiej sieni, gdzie ojciec mógłby ją spotkać.

Weszła teraz do domu znanym sobie wejściem, ale z postanowieniem dostania się do frontowego skrzydła dworu. Śmiało maszerowała przez korytarze i pokoje, których nigdy jeszcze nie widziała na oczy, a że dzieckiem była

prawdziwym, mimo swej niezwykłej w tak młodym wieku śmiałości i samowoli, nowe widoki tak ją dziwiły, iż przystawała niejedną raz, aby się pogapić to na jakiś obraz na ścianę, to znów na jakiś sprzęt, dotąd nie oglądany.

Gdy wreszcie dotarła do wielkiej sieni od wjazdu głównego, pchnąwszy ciężkie drzwi całą siłą swego dzieciniego ciała, stanęła w progu i jęła się rozglądać dokoła z wielkim zachwytem i uciechą. Piękne to było miejsce: na ścianach wisiały rogi jelenie, broń przeróżna, lisie kity i inne myśliwskie trofea. Ściany były wykładane ciemnym rzeźbionym dębem i z takiego dębu stały przy ścianach skrzynie, szafy i ławy. Nieład tu wprawdzie panował i piękne ściany w wielu miejscach były poprzeszrzelane przez igraszki pana domu i jego pijanych kompanów, podłogi nie były zamiecione jak należy i cała ta wspaniała sień, kiedyś ozdoba domu, dziś okazywała smutne oznaki wielkiego zaniedbania. Mała Klorynda z zaciekawieniem przyglądała się myśliwskim przyborom i ozdobom, ale za wysoko wisiały, aby do nich ręką mogła dosięgnąć, za to na szerokiej dębowej ławie znalazła jakieś przedmioty, które wnet pochwyciwszy, ściągnęła na podłogę dla zabawy.

Jednym z tych przedmiotów był ciężki harap do konnej jazdy, którym potrząsała z uciechą a zuchwale, dopóki jej ciekawości nie pochłonęła ampułka z prochem, którą jegomość sir Jeffrey położył przed chwilą przechodząc, bo wstąpił właśnie do jadalni pokrzepić się tegim kielichem żytniówki.

Powracał właśnie z wielkim pośpiechem, a gdy znalazł się w sieni pierwszą rzeczą, która uderzyła jego oczy, był widok dziecięcia siedzącego na podłodze i wysypującego z ampułki jego drogocenny, suchutki proch myśliwski. Ani mu do głowy nie przyszło, iżby to mogło być jego rodzone dziecko. Pomyślał, że to zapewne jakiś zuchwały bachor któregoś ze służby dobrał się do jego sprzętu.

Pochwycił za ramię dziewczynkę, potrząsnął nią z całej mocy i wyrwawszy jej z ręki ampułkę, wymierzył jej tęgi policzek.

— Zła krew na ciebie, ty zuchwały smarkaczu! — wrzasnął. — Kark ci ukrećę, ty bestio! — i szarpnął za dzwonek do czeladnej z taką siłą, że omal nie zerwał drutu.

Tego jednak, co nastąpiło, nie spodziewał się wcale. Jejmość panna Klorynda wydała z siebie przeraźliwy krzyk, który zabrzmiał w sieni, aż się zatrzęsły szyby. Pochwyciła harap z podłogi i rzuciła się na ojca niczym stado rozjuszonych diabląt, siekąc go po wysokich buciskach myśliwskich z całą mocą, jaką gniew w nią wlewał i klnąc tak siarczyście, że i najbardziej mocna w gębie kramarka oniemiałaby z podziwu.

— Zła krew na ciebie! Na ciebie! — ryczała, nie przestając zadawać razów.
— Oczy ci wydrapię! Wątrobę ci wyrwę! Niech cię piekło żywcem pochłonie, ty łotrze, zbereźniku!

Tymi i podobnymi słowami obrzucała napastnika z takim przekonaniem, że sir Jeffrey wybuchnął wielkim śmiechem, aż mu się boki trzęsły i stał tak, zaśmiewając się na całe gardło, gdy tymczasem mała, klnąc i skacząc dokoła niego niczym ogar dokoła niedźwiedzia, raziła go coraz to nowymi ciosami.

Służba, ściągnięta gwałtownym dzwonieniem i zgiełkiem dolatującym z sieni, nabiegała ze wszech stron, aby ujrzeć iście niezwykłe widowisko: jejmość pannę Kloryndę objającą po nogach swego ojca i szarpiącą go zębami i pazurami i samego sir Jeffreya trzymającego się za boki od niepohamowanego śmiechu, aż mu łzy gradem płynęły po obu policzkach.

— Co to za diable? — spytał, ocierając załzawione od śmiechu oczy.

— Skąd się wzięło to dzikie szczenie?

Przez chwilę słudzy spoglądali po sobie z lękiem, nie wiedząc, co by odrzec, aż piastunka, która zdyszana biegiem nadeszła ostatnia, zdobyła się na odwagę wyjawienia prawdy.

— To nasza jejmość panna Klorynda — wyjąkała — najmłodsza dziecina naszej nieboszczki pani, ta, której urodzenie jej miłość przypłaciła życiem.

Donośny śmiech załamał się, jakby kto nożem uciął. Jejmość sir Jeffrey baczynym okiem jął mierzyć małą sekutnicę. Owa, zmęczona już biciem, też przystanęła i też wbiła w niego oczy, dysząc przy tym z wysilenia i z nienawiści. Jej wielkie, czarne oczy pały jak węgle, główkę hardo odrzuciła, policzki jej gorzały jak szkarłat, a piękne, bujne, czarne kędziory, zwichrzonymi splotami okalały jej zagniewaną buzię, niczym węże pogańskiej Meduzy.

— Przekleństwo na ciebie! — wykrzyknęła. — Zabiję cię, czarci synu!

Sir Jeffrey znów w śmiech. — Klorynda cię zowią, dziewczuszko? — spytał — Jeffrey byłoby ci na imię, gdyby nie szaleństwo twej matki. Jako żyję, nie widziałem tak dzikiego ani tak urodziwego diablątka.

I pochwycił ją, jak stała; trzymając ją przed sobą w wyciągniętych ramionach, chłonał okiem każdy szczegół jej urodziwej, hardej i dzikiej twarzyczki.

Jej dorodny wzrost, uroda jej twarzy, siła i zręczność ciała już same przez się spodobałyby się ojcu, ale więcej jeszcze udała mu się jej śmiałość i jej hardość; nieprzystojne zaś słowa i przekleństwa, płynące z jej usteczek, tak go zabawiły, iż uznał, że w całym świecie nie znalazłby bardziej uroczego i zabawnego stworzenia.

Postawił ją na podłodze, o łowach już całkiem zapomniawszy, i byłby się z nią od razu zaprzyjaźnił, tylko że ona wciąż wilkiem spode łba nań patrzyła. Żytniówka, której dobry kielich niedawno wypił, jeła mu teraz do głowy uderzać, a bywał zawsze skory do żartów i krotochwil, kiedy sobie podpił. Zachciało mu się podroczyć z tą małą osobką, niczym ze złym a warkliwym szczeniakiem. Czeladź jednym skinieniem do kuchni odprawił, wnet też sień opustoszała. Służebne pozierały po sobie ze zdumieniem, a słudzy, zagryzając wąsy, a pięścią usta przysłaniając, dławili śmiech, który im boki rozpierał.

— Jakośmy i powiadali — mówił jeden do drugiego — dość mu było jej urodę niepoślednią ujrzeć i przekonać się, że diabeł w niej mocniejszy jest niż w nim samym. Wiadomo, że ona go zawojuje. A jakie to złe i Zajadłe! Było się czemu napatrzeć, jak tłukła swego tatkę. Ani trochę ^ję g0 nie bała, jakby psiakiem był małym, a on to omal nie pękł ze śmiechy

—Wiesz, kim jestem? — pytał sir Geoffrey dziewczeczki, postawiwszy ją przed sobą na dębowej ławie.

—Nie wiem — odrzekła panienska z chmurnie ściągniętymi brwiami, wypatrując nań owe swoje „sowie" oczy, jakby go na wskroś chciała przeszyj bo gniew jej jakoś ochłonał przy jego jowialności i spodobał się jej ten jego śmiech szeroki i rubaszny, choć jeszcze była nachmurzona i wcale щи sympatii ani skłonności okazać nie chciała.

—Jestem twój tatko — rzekł sir Geoffrey. — Na rodzzonego tatkę się porwałaś z biciem, a twardą masz łapkę, jako żywo. Pokaż ją.I za napiątek ją ująwszy, podciągnął rękaw sukienki.

— Nie szarp mnie! — krzyknęła. — Zostaw mnie w spokoju,

Znów zaniósł się od śmiechu. Przekonał się, że białe ramionko było twarde jak marmur, a siła w nim taka, że dwunastoletni wyrostek miałby się czym chełpić.

—Jako żywo! — powtórzył uradowany. — I to ma sześć lat! Może jej

pozwoić harapem obić swego tatkę... podniósł harap z miejsca, gdzie go opuściła i wsunął go jej do rączki, ale jejmosciance odechciało się już bicia. Spode łba spojrziała na harap i przypomniał jej się koń — koń po którego tu przecież przyszła.

— Gdzie mój koń? — spytała hardo, niby królowa. — Gdzie on, gadaj?

— Twój koń? — powtórzył ojciec. — Któryż to, proszę?

— Zuch, mój koń, karosz — odrzekła. — Znów mi go dziś nie dali łotry — tu nastąpił szereg takich nieprzystojnych słów i pogróżek, miotanych na jego głowę, że jegomość sir Geoffrey począł się znów śmiać serdecznie. — Zuch jest mój — zakończyła mała pani. — Nikt inny nie ma prawa go dosiadać.

— Nikt inny? — powtórzył jej ojciec. — A ty potrafisz na nim jeździć, smarkata?

Spojrziała na niego ze wzgardą, jak obrażona w swym majestacie monarchini.

— Gdzie Zuch? — spytała. Po chwili zaś, słysząc niecierpliwe uderzenie kopyt rumaka o żwir przed domem, przykrzyło się bowiem karemu czekać tak długo, przypomniała sobie, co jej stajenny mówił, że konia przed ganek podano i zeskoczywszy jednym susem z ławy, pobiegła ku drzwiom. Otworzywszy je, wydała okrzyk triumfu.

— Oto on! Widzę go! — krzyknęła i pędem zbiegła po stopniach ganku do swego faworyta.

Sir Geoffrey pośpieszył za nią. Nie po myśli byłoby mu teraz, żeby koń miał ją pozbawić życia.

— Hej, tam! — zawołał, biegnąc. — Z dala od jego kopyt, ty diabełku!

Ale mała podbiegła koniowi do łba i z krzykiem i śmiechem objęła jego przednią nogę. Zuch pochylił łeb, chrapiąc i wężąc, jakby się z nią pieścił, ona zaś, pochwyciwszy zwisające cugle, pociągnęła jego łeb ku ziemi, aby go rączką dosięgnąć, do czego koń snąć był dobrze nawykły.

— To mój koń — wyjaśniała hardo rodzicowi. — Żadnemu ze stajennych nie pozwoli na takie zabawy.

Sir Geoffrey uśmiechał się z widomą satysfakcją. — Nie uwierzyłbym, gdybym nie zobaczył na własne oczy — mruzczał. — Nie dziewczyna to, jako żywo. Czy wiesz — spytał, zwracając się do córki — myślałem do tej pory, że to

mój koń, ale teraz i ja widzę, że on twój.

— Posadź mnie! — rozkazała jejmość panna Klorynda.

— A dosiadałaś go już kiedyś?—spytał sir Jeffrey nie bez pewnego niepokoju. — Powiedz swemu tatce, czyś go już kiedy dosiadała?

Spod ciemnej firanki rzes poniosła na niego pytające oczy. Było to nieufne a badawcze spojrzenie, boć chciała przeprowadzić swoją wolę, a spryt miała przebiegły i przenikliwość bystrą istnej małej czarownicy.

— Tak — rzekła. — Posadź mnie, tatko.

Sir Jeffrey nie był człkiem bystrego umysłu, za długo już jego mózg otumaniony był opilstwem, ale jednak zdumiał się nad niesamowitą bystrością, z jaką rzuciła nań to ostatnie słówko, choć z nachmurzonym czołem, ale z widowym zamiarem usidlenia go tym nazwaniem, i ryknął śmiechem na nowo.

— Podsadź mnie, tatko, — powtórzyła — Zobaczysz, jak na nim jeżdżę.

Uniósł ją na siodło, a ona zręcznie zajęła miejsce na grzbiecie rumaka i taki w niej był zapał, taka ochota, gdy pochwyciła cugle, niby wytrawny jeździec, że aż dziw było patrzeć. Siedziała w siodle pięknie wyprostowana, a buzia jej aż się iskrzyła od radości. Zuch zarżał z cicha w odpowiedzi na jej wesoły śmiech i ruszył z kopyta. Jej rączka zdawała się pobudzać w nim animusz. Pomknął z nią wzdłuż wysadzanej pięknymi dębami alei lekkim, ochoczym truchtem, a ona ścisnęła co sił nożynami boki końskie i siedziała hardo i nieulekłe, pobudzając konia do biegu, raz w cwał, to znów rysią, nauczywszy się z dawna wszystkich jego chodów, a pysk jego znając nie gorzej od samego masztalerza, który był jej oddanym niewolnikiem. Gdyby była wzrostu odpowiedniego jej wiekowi, nie utrzymałaby się na szerokim grzbiecie konia, ale ona siedziała w siodle jak najlepszy dojeżdżacz, aż sir Jeffrey ją klaskał w ręce i pokrzykiwał z wielkiej uciechy.

— Na Boga! — mówił — nikt w całym hrabstwie nie pochłubi się takim diablątkiem. Zuch „jej koń"! I jak go umie zażywać! Kocham cię, dziewucho! Niech mnie powiesz, jeśli to nieprawda!

Tak z dobrą godzinę zabawiał się z nią i z koniem, po czym jejmość panna ku stajniom go powiodła, rozrządzając się nim według swego widzimisie, wśród koni i ogarów, dobrze bowiem poczuła, iż ów mąż olbrzymiego wzrostu uległ jej całkowicie i spełniać gotów wszelkie jej zachcianki.

Wróciwszy do domu, zatrzymał ją przy sobie na obiad. Zażądała piwa i kazał

jej podać. Wychyliła niemały kufelek, niczym stary piwosz, a ojciec aż się pokładał ze śmiechu, słuchając jej dziecinnie zuchwałej mowy.

— Nigdy tak boków nie zrywał od dwudziestu lat — mówił. — Młodo się czuję od tego śmiechu i nie puszcę jejmościanki od siebie, skórom ją odnalazł. Przednią straciłbym z nią uciechę, a to rzecz w niemałej cenie, kiedy z roku na rok dni coraz nudniej płyną.

Posłał po służebną, która do tej pory obsługiwała Kloryndę i dziwne a nowe wydał jej rozkazy.

— Gdzież ją do tej pory trzymano? — spytał.

— Na pokojach we wschodnim skrzydle, gdzie jejmościanka Wimpole przebywa z ichmościami panienkami Anną i Barbarą — odrzekła niewiasta, składając unizony dyg.

— Odtąd panna Klorynda będzie mieszkała w tej części domu, co i ja — rzekł pan. — Przygotujcie dla niej komnaty, które zajmowała nieboszczka. Tam też zamieszkacie przy waszej paniencie.

Od tej chwili odmienił się los dziewczeczki. Ojciec uczynił z niej towarzysza i tak się nią cieszył, tak jej pobrażał, że polubiła go bardziej niż któregokolwiek z masztalerzy lub stajennych pacholków, dotychczasowych swoich przyjaciół. Ale też nigdy nie darzyła do tej pory zbytnią tkliwością nikogo z otaczających, jakby zbyt ważną się czuła personą, by kogokolwiek wyróżniać. Łaski okazywała najwięcej tym, którzy obsługiwali ją najgorliwiej, ale nawet i ci odczuwali, że to jedynie łaska z jej strony nie zaś tkliwość. Lubiała też niektóre psy i konie, a już Zuch najbliższy był jej sercu, miejsce zaś, jakie w nim ojciec teraz zajął, było poniekąd zbliżone do tego, jakie przypadło w udziale ulubionemu karoszowi. Uczyniła sobie sługę z ojca i rządziła nim, niczym srogi tyran, ale jednocześnie naśladowała go we wszystkim i biegała za nim wszędzie w ślad, na kształt psiaka. Serce matczyne pękłoby ze zgryzoty na widok trybu życia, jaki wiodło to dziecko, ale nie było w pobliżu żadnej cnej a rozumnej niewiasty; wszyscy krewniacy, zarówno matki, jak i ojca, unikali dworu w Wildairs, jako że reputacja dziedzica była tak zła, że tylko despekt niosła wszystkim, którzy mieli nieszczęście znajdować się z nim w związku krwi lub powinowactwa.

Co lepsze rody w sąsiedztwie z dawna już zaniechały stosunków ze złej sławy zażywającym dziedzicem, jeszcze nawet za życia jego nieszczęsnej małżonki, a odtąd jedynymi gośćmi, jacy bywali we dworze, byli kompanowie sir Jeffreya od łowów, pijaństw i hulank.

Tym to obwieścił ze zgiełkliwą uciechą o odkryciu, jakiego dokonał, odnalazłszy własną córkę. Opowiedział im wśród wybuchów nieokiełznanego śmiechu o swym pierwszym z nią spotkaniu, o tym, jak go własnym harapem wysiekła i jak go skłęta niczym dragon, jak się upomniała o Zucha, niby o swego, jak wygrażała człowiekowi, który ośmielił się brać go ze stajen dla siebie pod siodło, o tym jak jeździła konno, niczym najlepszy dojeżdżacz i jak znała chody konia i umiała go ujeżdżać jak nikt jeszcze dotąd.

Kazał ją sobie wprowadzić do jadalni, gdzie siedział za stołem przy kielichach z całą kompanią; postawił ją na stole przed nimi, chełpiąc się nią i jej urodą, wysmukłością i siłą jej członków, miarę biorąc jej wzrostu i wyzywając ją, by się z nim mierzyła na siłę obydwoma rękami przeciwko jego jednej ręce.

— Widzieliście kiedyś taką dziewczuchę?—wolał, a wszyscy towarzysze ryczeli ze śmiechu i żarty sobie czynili niezbyt przystojne, ale takie właśnie, w jakich sami gustowali.

— Który z was ma chłopca tych lat, równego jej wzrostem i urodą? — wolał sir Geoffrey. — Niech mnie powiesz, jeśli by nie dała rady i dziesięcioletniemu wyrostkowi, gdy ją furia poniesie!

— My, wartogłowy, nie mamy łaski u dam! — zawołał jeden z kompanów, niejaki lord Eldershawe, sąsiad Wildairs Hall — damy lubią lalusiów i labusiów. Niech ta panienka będzie naszą damą. Wychowamy ją, jak powinna być chowana towarzyszką prawdziwych mężczyzn. Zdrowie jejmości panny Kloryndy Wildairs, sześćioletniej naszej uwodzicielki! Panowie! W górę kielichy!

Postawili ją pośrodku wielkiego stołu i pili stojąc jej zdrowie, a potem zanucili jowialną, hulaszczą piosenkę, a dziewczeczka, zachwycona wrzawą i śmiechem, przyłączyła się do nich swym mocnym, wysokim dyszkancikiem, znała bowiem dobrze ową piosenkę, słyszawszy ją uprzednio nieraz śpiewaną przez swoich przyjaciół, stajennych.

*

* *

W dwa tygodnie po tym przygodnym spotkaniu z córką zachciało się sir Jeffreyowi pojechać do Londynu po stroje i przyodziewek dla jejmości panny Kloryndy. Rzadko bywał w stolicy, jako że i pieniędzy nie miał wiele do stracenia i nie miał skłonności do wytwornego, stołecznego świata. Przywiózł swej córce stroje, jakich nigdy nie widziała i dla ich bogactwa i dla wyszukanego kroju, niezbyt stosownego dla dziecka w tym wieku. Były tam suknie z brokatu

tak bogatego, że same stały w swej sztywnej wspaniałości, były giezłeczka z najprzedniejszego płótna, stroiki z najdroższych koronek i wstążek, kaftaniki z połyskliwych atłasów, kabaciki i czepeczki obszywane puchem łabędzim, maleńkie ciżemki na wysokich, czerwonych obcasach. Całą ogromną szafę napełniła służebna tymi strojami, że i niejedna wielka pani nie pochwaliłaby się piękniejszymi, a jegomość sir Jeffrey delectował się widokiem małej osóбки wystrojonej w owe świetności i nawet czasami pozwalał jej wkładać matczyne klejnoty.

Prócz tych jednak strojów dziewczęcych, spodobało mu się zamówić dla niej i suknie chłopięce z lśniącego atłasu, jak dla pazika z dworu, a także jeden strój myśliwski złożony z czerwonej kurtki, białych spodenek i wysokich butów, całkiem na wzór ojcowego. Największą miał sir Jeffrey w tym uciechę, gdy kazał służebnej przebrać małą za chłopca i wprowadzić do jadalni, gdzie ucztował z kompanami. Stukała się swym małym kufelkiem z każdym z nich, miotała swym dziecinnym głosikiem najgorsze przekleństwa, albo śpiewać im musiała ku wielkiej ich ucieście przeróżne piosenki, jakich się w stajniach od pachółków nauczyła. Jejmość panna Klorynda wołała psy i konie niż pstre łaszki i jeśli nie chciało się jej robić z siebie damy, ani służebna, ani nawet sto diabłów z piekła nie potrafiłoby jej zmusić do przywdziania brokatowej szaty. Lubiła jednak gwar, śmiechy i uczyty i w miarę jak rosła, coraz większe znajdowała upodobanie w przywdziewaniu kwiecistych strojów i pokazywaniu się gościom, i puszeniu się w stroikach i koronkach wobec kompanów ojca, którzy w swym zepsuciu znajdowali uciechę w tej nieprzystojnej jej wiekowi zalotności. Wszystko musiało być po jej myśli, albo groziła, że nie będzie zabawiała ojcowych kompanów, nie będzie im śpiewała piosenek, ani pobudzała ich do śmiechu, tylko zasepi się w swoim fotelu za stołem i ani okiem na żadnego z nich nie rzuci.

Sir Jeffrey, który był dla swej żony tyranem, sam teraz doświadczył, co znaczy tyrania; był po prostu pod pantoflem swej rodzonej córeczki. Jejmość panna Klorynda rządziła nim żelazną ręką, a czyniła to tak umiejętnie, że zanim rok upłynął, ojciec słuchał jej we wszystkim, jak słuchała jej służba w dziecinnych pokojach za czasów jej najwcześniejszego niemowlęstwa.

Krzyków i przekleństw się nie bała, sama bowiem posiadała wcale bogaty zasób urągliwych słów, z którego umiała szczerze czerpać, gdy miała ochotę, a że jej głos był, jeśli nie donioślejszy, to w każdym razie ostrzejszy i przeraźliwszy niż głos jej ojca, takiego umiała narobić wrzasku i taka była w tym wrzasku wytrwała, że zawsze prędzej czy później ojciec musiał ustąpić.

Trzeba też przyznać, że gwałtownością i niezłomnością woli przewyższała

go o wiele, mimo jej młodych lat i jego sławy zawadiaki. Przekonał się o tym zaiste niedługo, ale nawet wtedy swoje ustępstwa poczytywał sobie za zasługę i znajdował w nich zabawę.

— Nie ma sposobu na tę małą sekutnicę—mawiał. — Ani człowiek, ani diabeł rady sobie z nią nie da. Gdybym pogruchotał w niej wszystkie kości, umierałaby z wrzaskiem, całe piekło wzywając na pomstę.

Chcąc rzec całą prawdę wyznać należy, iż gdyby przyrodzenie szczerze nie obsypało jej darami urody i niezwykłej żywości, a wyposażyło ją w małą choć cząstkę tej złości i popędliwości, jaka w niej tkwiła, ojciec bez skrupułów połamałby w niej wszystkie kości. Uroda jej jednak rosła z każdym dniem i z każdą godziną, a była to przy tym uroda, w jakiej sir Jeffrey właśnie najbardziej gustował. Gdy Klorynda miała dziesięć lat, wzrostem dorównywała dwunastoletniemu chłopcu, a wysmukłości i pięknej postawy pozazdrościłaby jej sama bogini Diana. Członki jej były długie i przepiękne toczone, a siła jej wprawiała w podziw każdego. Ojciec lubił, gdy mu towarzyszyła na łowach, ubrana w białe spodenki, wysokie buty i pasową kurtkę, a gdy się tak ukazała, choć jeszcze była dzieckiem, wzbudzała zachwyt we wszystkich myśliwych. Wcześniej się nauczyła zalotnych sztuczek i przewracania swymi pięknymi, czarnymi oczyma, ale prawda też, że nie było w niej ani cienia tęsknej tkliwości, a zalotność jej była raczej harda i czupurna.

Gdy miała piętnaście lat, osoba jej była na wszystkich językach w hrabstwie, ale przyznać należy, że jako przedmiot powszechnego zgorszenia. Okolica to była w sam raz stworzona do łowów, pełna lasów, łąk i gajów, niewiele tu sobie robiono ze światowego poloru ani dworskich obyczajów, ale i tu były cnotliwe matrony, które potrzasały głowami z wielką powagą i zastanawiały się, co też dobrego wyrośnie z pięknej panny Kloryndy Wildairs.

*

* *

Choć taki dziki i bez wszelakiego poloru żywot wiodła Klorynda i choć jej umysł kształceniem żadnym ani nauką nie został ujęty w karby, to jednak nikt z tych, co ją znali, nie odmówiłby jej wrodzonego, jasnego i trzeźwego rozsądku, a także i niezłomnej stanowczości, którą szczególnie się odznaczała. Dobrze zawsze wiedziała, czego pragnie, a czego powinna unikać.

Dni spędzała z ojcem i jego hulaszczymi kompanami, którzy ją traktowali czasem jak chłopca, czasem jak fantastyczną monarchinię i tak biegło jej życie, aż panna dobiegła lat czternastu. Jeździła na łowy, strzelała do ptactwa i zwierza,

przebywała w cwał przeszkody i rowy, królowała przy hałaśliwych biesiadach i zalotnie się uśmiechała do tych dojrzałych mężów a nawet i leciwych, jakby o niczym innym się jej na przyszłość nie marzyło.

Pewnego jednak dnia, gdy miała wyjechać na łowy razem z ojcem jadąc na Zuchu, którego jej darował, a ubrana była jak zwykle w pąsową kurtkę, białe spodni i buty po kolana, zdarzyło się, że ktoś z nielicznych pozostałych przy życiu krewniaków jej matki posłał do sir Jeoffreya swego kapelana, który miał go napomnieć, aby się opamiętał i zakazał córce występowania w tak nieprzystojnym i bezwstydnym ubiorze.

Niesłychane to było zaiste widowisko, gdy ów duchowny stanął przed dziedzicem ze swym zleceniem. Kapelan był to człeczyna lękliwy i niewydarzony, który dość się nasłuchał niebywałych opowieści o dworze w Wildairs i o jego panu, by serce w nim dygotało ze strachu, gdy wyruszał ze swym posłannictwem. Ale wiedział, iż odmowę żądaniu swego patrona i chlebowdawcy przyszłoby mu przypłacić życiem, ruszył tedy, zbierając cały skromny zasób odwagi, jaki posiadał, aby stawić czoło okrutnemu lwu w jego jaskini.

Pierwszą osobą, jaką ujrzał w sieniach, było piękne, wysokie pacholę o długich, czarnych kędziorach, spływających mu na ramiona, ubrane w szkarłatny myśliwski kubraczek. Młody ów chłopak zabawiał się ze swoim psem, każąc mu przeskakiwać przez harap, śmiejąc się i klnąc jego niezdarne wysiłki. Spojrzał na kapelana roześmianym błyszczącym wzrokiem, lekkim skinieniem głowy odpowiedziawszy na korny ukłon biedaczyny i czekał spokojnie, aż przybysz wyjaśni cel swoich odwiedzin.

— Przychodzę od lorda Twemlow, który jest powinowatym waszego pana — wyjąkał kapelan. — Polecono mi się z nim zobaczyć, jeśli to możliwe, a gorącym życzeniem mojego pana jest, iżby to się mogło stać. Jego miłość lord Twemlow...

— Lord Twemlow was przysyła? — spytał młodzieniec, przestawszy się zabawiać z psem i mierząc mizeraka pańskim spojrzeniem. — Dawno to już, odkąd nas jego lordowska mość zaszczycił swą pamięcią. Gdzie jegomość pan? — spytał młodzian, zwracając się do jednego z czeladzi.

— Jest w jadalni — odrzekł sługa — właśnie tam wszedł, proszę jaśnie paniemki!

Kapelan tak odskoczył z przerażenia, że trójgraniasty kapelusze wypadł mu z ręki. „Jaśnie paniemka"! Ach, więc to właśnie ona, owa piękna, młodzieńcza

postać tak wspaniałej i dostojnej postawy, że i w męskim przebraniu ciągnęła oko blaskiem swej urody. Podniósł kapelusz i skłonił się tak nisko, że omal nie zamiótł nim ziemi.

Nie przywykł do tego, by piękne, błyszczące oczy niewieście spoczywały na nim z uśmiechem, bowiem przy stole jego lordowskiej mości tak niskie zajmował miejsce, że białogłowy ani się oglądały w jego stronę.

Ta piękność patrzyła nań tak, jakby ją bawiły jakieś własne jej myśli. Drżąc z lęku, zastanawiał się w duchu, czy też się domyśla, jaki jest cel jego przybycia i czy wie, jak go przyjmie jej ojciec.

— Chodźcie ze mną, miłościwy panie — rzekła panienka. — Zaprowadzę was do niego. Inaczej nie chciałby się z wami widzieć. Nie nosi on zbytnio w sercu jego lordowskiej mości.

Wiodła go przez pokoje z głową hardo odrzuconą. Mizerak opuścił oczy, nie chcąc, by oglądały widoki nieprzystojne dla człeka w sukni duchownej. Taka nóżka foremna... Poczuł, że bezpieczniej będzie wzniesć oczy na sufit i tam je zatrzymać, co mu nadało pozór zatopionego w modlitwie.

Sir Jeffrey stał przy stole z kuflem piwa w garści, pił właśnie strzeniennego. Na widok obcego i to w duchownej sukience, zmarszczył brwi gniewnie i spode łba spojrzął na przybyłego.

— A to co? — spytał. — Czego chcesz z tym klechą, Klorciu? Na żadne kazania nie mam czasu ani chęci.

Jejmość panna Klorynda podeszła do apteczki, napełniła sobie kufel i postawiła go na stole, przysiadając obok na skraju stołu, zjedną nogą wspartą o posadzkę.

— Czasu musi ci starczyć, tatko — rzekła panna z figlarnym uśmiechem, ukazując dwa rzędy lśniących pereł swych ząbków. — Tu obecny ksiądz jegomość jest kapelanem jego miłości lorda Twemlowa, który go tu przysłał z napomnieniem, pragnąc byś zechciał go uprzejmie wysłuchać.

— Niech piekło pochłonie napomnienia i Twemlowa również! — krzyknął sir Jeffrey, który posprzeczawszy się swego czasu srodze z owym lordem, nienawidził go z całego serca. — Czego chce ten stary hipokryta?

— Wasza miłość — wyjąkał nieszczęsny wysłannik — jego lordowska mość frasuje się wielce... jako że słyszał... słyszał...

Piękna młoda osoba przechyliła się przez stół, odjęła kufel od różanych usteczek i wybuchnęła śmiechem.

— Słyszał — dokończyła — że córka twoja na łowy jeździ w haj-dawerach i zachowuje się nieprzystojnie i dlatego przysłał tu swego kapelana, żeby o tym miał do ciebie przemowę, sam się w tym celu nie chcąc fatygować. Nieprawdaż, miłościwy panie? Czy nie takie było wasze posłannictwo?

Kapelan biedaczyna pobladł, dostrzegłszy w owej chwili pąsowiejące oblicze sir Jeoffreya.

— Miłościwa pani — wyjąkał z ukłonem. — Miłościwa pani, najpokorniej błagam o przebaczenie. Gdyby pani raczyła... gdyby zechciała zezwolić mi...

Odrzuciła kufel na stół, aż się zatoczył z brzękiem, i wsunęła ręce w kieszenie swych hajdawerów, wybuchając głośnym i dźwięcznym śmiechem.

— Gdybym teraz zechciała odejść, by wam miłościwy panie pozwolić swobodnie przemówić, bez skrepowania niewieściami uszami, nie wiem, jakby to było, ale nie taka jest moja wola. Zostanę tu, gdyż tak mi się podoba i będę was bronić.

Bo też potrzebna mu była orędowniczka. Sir Jeoffrey bluzgał potokami przekleństw, kłął swego krewniaka, kłął kapelana, grzmiał na ich bezczelność, obiecywał harapem wysiec jego lordowska mość, gdziekolwiek go dopadnie, zamierzał kopniakami wyrzucić kapelana za próg swego domu i nawet za bramy swego ogrodu.

Spodobało się jednak pannie Kloryndzie rzecz całą przyjąć od strony uciesznej i w żart wszystko obrócić. Śmiała się z ojcowskich pogroźek, a gdy kapelan drżał, śmiertelnie blady z miną zbitego psa, nie przestawała się zaśmiewać, jakby się jej coś wielce zabawnego przydarzyło.

— Zamilknij nieco, tatko — zawołała, gdy krzyki sir Jeoffreya wszelką już zagłuszyły mowę — pozwól, niech jego miłość powie, co ma do powiedzenia. Jeszcze nie poznaliśmy treści jego posłannictwa.

— Nie chcę o niczym słyszeć! — wrzasnął sir Jeoffrey. — Myślisz, że zniosę takie zuchwalstwo? Przenigdy!

— Z czym tu przyszliście, miłościwy panie? — spytała młoda jejmość kapelana. — Nie możecie powracać, nie powiedziawszy nam tego. Słucham was. Moim życzeniem jest usłyszeć treść waszego posłannictwa.

Kapelan miał i obracał w rękę swój czarny kapelusz i nie śmiał oderwać oczu od ziemi.

— Zbierzcie się na odwagę, miłościwy panie — rzekła Klorynda. — Ja będę z wami trzymała. Słucham was.

— Z przeproszeniem waszej miłości — bełkotał kapelan — jego lordowska mość zlecił mi ostrzec jegomości pana i ojca waszej miłości, iż jeśli nie skłoni waszej miłości do zaprzestania noszenia... noszenia...

— Spodni — dokończyła Klorynda, uderzając się ręką po kolanie. Kapelan, mimo swej wielkiej bladości, zarumienił się wstydliwie.

— Jeśli waszej miłości do tego nie skłoni — kończył, coraz silniej się jękając — żaden szlachetnie urodzony... mimo wielkiej urody waszej miłości... żaden szlachetnie urodzony...

— Nie zechce mnie wziąć za żonę? — dokończyła młoda jejmość litościwie za niego.

— Bo jeśli wasza miłość... jeśli młoda dama w tak nieprzystojnym stroju ludziom się będzie ukazywała, co sprawi, że ją każdy będzie lekceważył, nie znajdzie innego kandydata do swej ręki, jak takiego, który by dyshonorem okrył jej szanowną rodzinę, a nawet, nawet...

— Coś gorszego jeszcze przydarzyć jej się może — dokończyła jejmość Klorynda z tak donośnym śmiechem, że aż odbił się od ścian.

Sir Geoffrey posiniał z gniewu i już cisnąłby kuflem w głowę kapelana, gdyby go córka nie powstrzymała. Wśród wrzawy ojcowskich przekleństw, spiesznie wypchnęła biednego człeczynę za drzwi, podejmując jego kapelusz, który ten w swym zaleknienu upuścił na ziemię i wsunęła mu go w rękę.

— Powiedźcie jego lordowskiej mości — rzekła ze śmiechem na pożegnanie — że moim zdaniem ma słuszość i postaram się już, aby nań nie padł cień dyshonoru.

— Jako żywo, tatko — rzekła, wróciwszy do jadalni — kto wie, czy ów psi syn, stary Twemlow, nie ma racji. Co do mnie, zamierzam zrobić świetną partię i stać się wielką panią i nikt w okolicy nie byłby dla mnie stosowny, chyba stary hrabia Dunstanwolde, ale ten tylko gustuje w skromnych niewiastach i zaprawdę, mógłby noszenie hajdawerów uważać za nieobyczajne. Nigdy już w tym stroju nie wyjadę na łowy.

Słowa swego dotrzymała, choć zdarzało się jeszcze, że gdy ojciec jej uctował z ulubionymi kompanami, zjawiała się w ich gronie w męskich sukniach z najprzedniejszego atłasu, aż oczy biesiadników, krwią nabiegłe od wina, iskrzyły się od zachwytu nad jej urodą i ni to dziewczęcymi, ni to chłopięcymi wdziękami.

Pewnego dnia, w piętnastą rocznicę jej urodzin, wydał sir Geoffrey wielką ucztę dla swoich kompanów. Córka jego oświadczyła, że po raz ostatni ukaże się przy takiej okazji, mając tyle rozsądku, by rozumieć, że młodej dziewicy nie przystoją dziecinne wybryki i że idą lata, w których należy pomyśleć o stosownym zamążpójściu.

— Od tego czasu moje miejsce będzie wśród niewiast i dość będę miała nudów — rzekła. — Nietęgi swat z ciebie, tатko. Powinieneś pomyśleć o tym za mnie. Ani razu ci nie zaświtało, że nie mam matki, co by mnie uczyła jak sidła zakładać na męża i oczyma do kawalerów przewracać. Długie mi odtąd suknie nosić, koronki, stroiki, a z za wachlarza oczkiem strzelać, dopóki wreszcie, o ile mi karta dobrze pójdzie, jakiś wielki pan okiem na mnie łaskawie rzucić nie zechce i nie zachwyci się gładkością moich lic i mymi pięknymi obyczajami.

— Gładkością twoją, Klorciu, dalipan niejeden się zachwyci — śmiał się sir Geoffrey — ale co do obyczajów, toć istna sekutnica z ciebie i trudno by ci pomyśleć o odmianie.

— Taka się urodziłam — odrzekła Klorynda — po moim ojcu wzięłam tę popędliwość w spadku, a nie widzę, żeby on się w ciągu długich lat swego żywota odmienił. Ale odtąd — tu złożyła głęboki dyg, a jej zuchwała, promienna uroda olśniła jego oczy — odtąd, po tej rocznicy moich urodzin, poprawię się, zobaczysz, ale dziś jeszcze chcę szaleć po raz ostatni.

Gdy kompani tłoczyć się poczęli do sali jadalnej owego wieczoru, zastali zuchwałą córę gospodarza, czekającą na nich, piękniejszą i zuchwalszą niż ją kiedykolwiek oglądali. Miała na sobie spodenki do kolan z białego atłasu i spencerek atłasowy różowy w srebrne róże bogato wyszywany, zaś na nogach foremnych i pięknie toczonych miała białe jedwabne pończochy i białe atłasowe trzewiki z wielkimi brylantowymi kłamrami, odsłaniające stopkę tak wysmukłą, a tak wysoką w podbiciu, jakiej nie zobaczyłbyś na świecie.

Czekała na nich wszystkich z nogą wspartą niedbale o kratę kominka i z wdzięcznym zuchwalstwem witała każdego z podchodzących. Włosy związane miała z tyłu głowy i posypane pudrem, a jej wielkie oczy płonęły niby gwiazdy, pociągając każdego swym ogniem, a policzki jej były jak dojrzały owoc granatu. Miała foremny rzymski nosek, usteczka jak szkarłatny łuk, przecudną łabędzią

szyję, wysmukłą i białą, a w okrągłym, toczonym podbródku rozkoszny dołeczek. Była olśniewającym zjawiskiem i zaiste olśniła oczy kompanii. Sir Jeffrey był już mężem leciwym, jako że czterdzieści lat skończył, kiedy poślubił swą młodziuchną małżonkę i siódmy już mu dziś szedł krzyżyk, a większość jego kompanów była jego rówieśnikami, tak iż nie z młodzieniaszkami nawykła przestawać panna Klorynda. Tego jednak wieczoru nieznajomy gość pojawił się w gronie znajomków dziedzica. Był to młody krewniak jednego z bliskich jego druhów, a przybywszy do niego w odwiedziny i okazawszy się młodzieńcem niemałego dowcipu i niemałej w łowach zręczności a przy tym i w miłosnych przygodach doświadczonym, rychło wkradł się w łaski swego krewniaka i innych jego kompanów. Swą młodzieńczą urodą mógł się niemal równać z panną Klorynda. Był to młodzian wysokiego wzrostu, wysmukły i pięknej postawy, wielkiej przy tym siły i zręczności; policzki miał świeże i rumiane, rysy jak wyrzeźbione, jasne włosy w pięknych, długich lokach spływały mu na ramiona.

Miał on już co prawda dwadzieścia cztery lata, ona zaś zaledwie piętnaście, ale przy swym wzroście tak słusznym i urodzie tak niezwyklej stanowili dobraną parę, a że oboje mieli męski strój na sobie, widok tych dwóch pięknych młodzianów, stojących przed sobą i zalotnie się do siebie uśmiechających, dziwny i czarujący tworzył obraz.

Młodzian ów dobrze już był znany w modnym świecie z licznych przygód i swej wielkiej urody i zdążył już zasłynąć jako niebezpieczny zdobywca niewieścich serc. Był on wzorem mód i elegancji w stolicy i tak wielkiej zażywał reputacji jak rzadko który urodziwy kawaler w tym czasie. Sztuki tkliwego rzucania okiem i szeptania czułych duserów nauczył się pierwszej zimy spędzonej w stolicy, a że miał wielkie, tęskne oczy, figurę Adonisa i wysmukłe białe ręce, na których lśniły drogie pierścienie, był jakby stworzony po to, by na każdym kroku czynić podboje. Niejedno płomiennie spojrzenie rzucił na pannę Kloryndę, zanim zdążono wnieść drugie danie.

Jeszcze w Londynie doszły go słuchy o tej pięknej pannie, żyjącej wśród koni, psów i ojcowskich kompanów i rosnącej na piękność tak wielką, że zblednąć mogłyby przy niej najurodziwsze damy stolicy. Ciekaw był ogromnie zobaczyć ją w chłopięcym stroju i napawać oczy jej wdziękami i wielce się zasmucił usłyszawszy, że postanowiła ów strój na zawsze zarzucić. Toteż, gdy się dowiedział, że jejmość Klorynda w dniu swych urodzin po raz ostatni w tym stroju wystąpić zamierza, zapłonał żądzą uczestniczenia w uczcie na jej cześć przez sir Jeffreya wydawanej, a krewniak, na jego nieustanne prośby, wyrobił mu zaproszenie.

A teraz pierwsze spojrzenie pięknej panny przeszło jego zapalczywą pierś

niczym ognista strzała. Nigdy nie zdarzyło mu się oglądać tak olśniewających wdzięków, oczu o tak promiennym blasku, postawy tak młodzieńczo dumnej i pełnej majestatu. Uroczą sekutnicą tak ślicznie umiała przystanąć, wkładając białe, upierścienione ręce do kieszeni swej kurteczki jak młody zawadiaka, to znów hardo odrzucić piękną główkę, jak naj wytrawniej szałotnica i to jeszcze mająca królewską krew w żyłach, iż poczuł, że przez same te dwie sztuczki potrafiłaby wzniecić pożar w sercu mężczyzny bardziej statecznego i mniej zapalczego niż on.

Gdyby Klorynda była z tych tkliwego serca uwodzicielek, jakich wiele w stolicy, ich oczy napotkałyby się w czułym wejrzeniu, zanim napełniono by powtórnie kielichy, ale taką nie będąc, nie lękała się płomiennego szturmego rozmówianych spojrzeń i wytrzymywała je zuchwale, nie racząc na te spojrzenia odpowiedzieć najłżejszym nawet łaskawym skinieniem.

Z większym niż kiedykolwiek dowcipem i z większą jeszcze niż zazwyczaj w odpowiedziach ciętością udawała młodego chłopca, aż rubaszni ojcowscy druhowie, z dawien dawna świadomi jej żartów, pożerali ją zachwyconymi oczyma i zaśmiewali się z jej ciętych odpowiedzi.

Ich żarty i pochlebstwa nie należały do zbyt przystojnych, ona jednak do przystojnych i wstydliwych obyczajów nie wdrożona, wcale na to nie miała baczenia, jakby naprawdę nie była dziewczynką ale jakimś wartogłowym młodzianem. W tym znajdowała największą uciechę, żeby na tej pożegnalnej uczcie kompani ojca traktowali ją, jak przystało jej przebraniu.

Choć chowana z dala od świata, wzrastała wśród ojcowych kompanów, którzy byli panami znacznych rodów i świadomymi życia, a że bez żadnego skrupowania przy niej rozmawiali, tak wiele wiedziała o sprawach i sprawkach, obyczajach i zwyczajach, knowaniach a intrygach wielkiego świata, jakby nie piętnaście miała lat a czterdzieści. Do tej pory nie miała okazji swej wiedzy w praktykę wprowadzić, jako że niewielu spotykała młodzieńców wiekiem zbliżonych do siebie, a ci, których na swej drodze zdarzyło jej się napotkać, raczej niechęć w niej budzili, wydając się nieokrzesanymi prostakami.

Jednak ten młody wytwornis, którego dziś poznała, nie był prostakiem ale grzecznym kawalerem ze stolicy. Zwał się sir John Oxon i właśnie niedawno odziedziczył tytuł ojcowski i ładny spadek. Ręce miał równie białe i równie bogato ozdobione pierścieniami jak i ona sama. Jego strój był najostatniejszego, najmodniejszego kroju, piękne zaś blond loki rozsiewały dokoła woń doskonałych francuskich perfum.

Aczkolwiek dostrzegła te wszystkie zalety i za niemałe je uznała, młody sir

John zauważył z lekkim drzeniem, iż jej wielkie oczy nie opuszczają się wstydlawie pod jego zakochanym wejrzeniem, ale śmiało i z uśmiechem wzrok jego napotyka ją i że mimo wszystkich jego wypróbowanych w kunszcie uwodzenia forteli jej policzki ani bledną, ani też płoną wzmocnionym rumieńcem.

Poprzysiągł sobie jednak, że jeszcze przed końcem wieczoru znajdzie chwilę, by do niej bliżej przystąpić i ognistymi słowami do niej przemówić, tymczasem zaś usiłował zachować choć pozory cierpliwości, aż do owej upragnionej okazji.

Gdy sprzątnięto ze stołu ostatnie talerze i pozostały puste flaszki i kielichy, panna Klorynda wskoczyła na krzesło i stanęła przed swymi gośćmi u szczytu stołu, uśmiechając się do wszystkich oczyma skrzącymi się jak ;klejnoty. Ręce wsunęła do kieszeni, jak urodziwy młody zawadiaka i wyprostowała się na całą wysokość swego dorodnego wzrostu. Dwadzieścia par męskich oczu obróciło się na jej młodzieńczo piękną postać, ale żadne oczy nie pałały takim zachwytem jak oczy młodego kawalera.

— Napatrzcie się po raz ostatni mojej urodzie, panowie — zawołała swym pełnym, dźwięcznym głosem. — Odtąd już nie ujrzycie mnie inaczej, jak w długich sukniach i robronach. Po raz ostatni napatrzcie się na te wdzięki, które już na zawsze zostaną zakryte, gdy wdzieję szaty stosowne dla młodej damy.

A gdy napelnili kielichy i wzniesli je z okrzykami zachwytu, zaczęła jedną ze swych hulaszczych piosenek i skowrończym głosem ją odśpiewała.

Nikt z kompanii nie nawykł do dworności w obejściu z nią, jakiego żądają wytworne obyczaje. Była dla nich tylko chłopcem w ciągu tylu lat, toteż nikt się do niej nie porwał, gdy odśpiewawszy piosenkę i zeskoczywszy z krzesła, zmierzała szybko ku drzwiom. Jeden młody sir John Oxon pomyślał, że oto właśnie nadarza się wymarzona przezeń okazja i szybko pannę prześcignął, otwierając przed nią drzwi z głębokim ukłonem i rękę kładąc na sercu, głowę tak nisko skłoniwszy, że spłynęły ku przodowi jego długie, złote kędziory.

— Pozbawia nas pani rozkoszy oglądania wdzięków tak niezwykłych, o pani — rzekł swym pięknym niskim głosem, drgającym namiętnością. — Niechby choć jeden się znalazł szczęśliwiec, któremu zawsze byłoby dane na takie doskonałości spoglądać.

— Dziś kończę lat piętnaście — odrzekła — a jeszcze takiego wytwornego kawalera na swe oczy nie widziałam.

— Skąd pani wiadomo, miłościwa panno? — spytał jeszcze niżej się kłaniając.

Roześmiała się swym młodym, dźwięcznym śmiechem. — Nie wiem sama — rzekła. — Może jest tu i teraz w tej cnej kompanii, a jeśli tak, tym bardziej powinnam przywdziać strój, który przystoi mej skromności.

Rzuciła weń ostatnią strzałę ognistą w postaci rozkosznie zawadiackiego skinienia białą rączką i znikła z jego oczu.

Gdy drzwi się za nią zamknęły i młody sir John powrócił do stołu, zaległo przez chwilę chmurne milczenie na sali. Starzy, wytrawni hulacy sami nie wiedzieli, czemu ich obleciała taka nagła melancholia, a że innego na smutek prócz wina nie znali lekarstwa, jęli napełniać kielichy, trącać się nimi i jedne po drugich wychylać, aż znów wróciła im ochota do śmiechów i do rubasznych żartów.

Rozmawiali przeważnie o tym młodym towarzyszu ich uczt i uciech, którego, dobrze to czuli, utracić mieli na zawsze; żartowali sobie z gospodarza, opowiadali sobie ucieszne dykteryjki z dzieciństwa panny Kloryndy i wychwalali jej młode wdzięki, porównując je z wdziękami innych, znanych dam, które zasłynęły z urody.

— Będzie ona wśród nich jak królewska fregata — rzekł ktoś — a wdzięki ich przed jej blaskiem przygasną, niczym świeceki łojowe przed ogniem wspaniałej pochodni.

Północ wybiła, zanim pana Klorynda powróciła do gości. Za ledwie ostatnie uderzenie godziny duchów przebrzmiało na zegarze, drzwi otworzyły się szeroko i oto stanęła w progu, a za nią, po prawej i po lewej jej stronie, stały dwie służebne, każda ze srebrnym kandelabrem zapalonym w ręku, tak iż jasna światłość zlewała się na nią potokami.

Ubrana była w szatę z bogatego szkarłatnego brokatu, przetykanego srebrem; fałdzista i drapowana spódnica spływała aż do ziemi, podkreślając jej wyniosły wzrost, a w obcisłym gorseciku kibić jej była tak wysmukła, iż łatwo ją było oburącz ująć w pasie. Biała jej szyja wdzięcznie była przegięta, jak łodyga cudnego kwiatu, a na białej piersi jaśniała brylantowa kolia. Czarne włosy upięte były wysoko i przeplecione klejnotami, a z jej oczu bił taki jasny majestat, że każdy z mężów zerwał się na równe nogi na jej widok.

Złożyła przed nimi głęboki dyg, a potem stanęła przed gośćmi z głową odrzuconą wyniosłe, z drwiąco triumfalnym uśmiechem, igrającym na dumnych

usteczkach. Była jak monarchini, która oczy swe raczy opuścić na swych kornych poddanych.

— Na kolana! — zawołała. — Klęcząc, pijcie moje zdrowie. Od dziś bowiem wszyscy mężczyźni tak klękać będą przede mną, wszyscy, na których łaskawie raczę spojrzeć.

Klorynda nie jeździła już więcej na łowy w męskim przebraniu: nosiła odtąd brokaty, atłasy, jedwabie i koronki. Przyboczna jej nie ustawiała w przerabianiu sukien, w sporządzaniu wonnych wód i maści, a tak musiała się ustawicznie krzątać, to przy przebieraniu swej pani, to przy trefieniu jej bujnych włosów na nową jakąś modłę, że całe jej życie stało się jedną udręką. Dotychczas niewiele miała przy swej pani do roboty i gdyby nie jej porywczosć i humory mogłaby swój chleb uważać za lekki, ale teraz wszystko się odmieniło. Nigdy tak wymagająca ani tak gniewliwa nie była dotąd jej młoda pani, ani tak trudna do zaspokojenia, gdy szło o fryzury i stroje. Wobec gości zwykła podówczas Klorynda hamować się w mowie i nie popuszczać cugli swoim nieokiełznanym pasjom, gdy się jednak sama w swej gotowalni znalazła ze swą służebną, nie krępowała się wcale z użyciem najnieprzystojniejszych wyzwisk i uragań, jeśli się jej suknia wydała krzywo włożona lub wstążka źle wpleciona we włosy.

Tu z dala od ludzkich oczu i uszu, kleła jak dragon i krzepką dłonią targała swą przyboczną za włosy, zdzierała z siebie szatki i deptała po nich niecierpliwymi stopami lub słoiki z maściami rzucała nieszczęsnej niewieście na głowę. Taki też w biednej postrach wzbudzała, że chyba żadna pani tak szybkiej i starannej nie miała obsługi.

Nieokiełznany upór i nieulekła odwaga, którymi nawykła swą wolę przeprowadzać od lat najmłodszych, pomagały jej w skutecznieniu tego, co bystry jej umysł i spryt niewieści za cel sobie postawiły, a celem owym było tak zawojować szturmem całą okolicę, by móc w niej królować jako niepodzielna władczyni, aż do chwili zdobycia małżonka wielkiego mienia i wysokiego rodu.

Wkrótce po okolicy rozeszła się wieść, ku wielkiemu zdumieniu całego sąsiedztwa, że panna Klorynda Wildairs odmieniła swe nieprzystojne obyczaje i stała się wytworną i modną damą, jako przystało jej urodzeniu i wdziękowi. A stało się to po raz pierwszy wiadome, gdy pewnej niedzieli ukazała się w kościele, w orszaku swego całego fraucymeru i w towarzystwie jejmościanki Wimpole i swoich dwóch sióstr. Dotychczas rzadko bywało, by karoza z Wildairs Hall stawała przed bramą kościelnego cmentarza a obie starsze panienki oraz ich opiekunka, pieszo zazwyczaj chadzały na niedzielne nabożeństwo, przy czym ich perkate noski czerwieniały na mrozie i wietrze jak buraki, a suknie szargały się na błotnistych drogach.

Tym jednak razem nie tylko że zajęchała karoca, ale i konie świeciły się od czystości, i stangret miał nową liberię, i hajduk siedział na kozłach, a gdy zajęchano na miejsce, zeskoczył i z niskim ukłonem otworzył drzwiczki kolasy.

Gawieź na cmentarzu otwierała oczy ze zdumieniem i niedowierzaniem. Nigdy czegoś podobnego nie widziano i o niczym takim nie słyszano jeszcze, jak to widowisko, które oglądali teraz na własne oczy w jasnym świetle dnia.

Panna Klorynda, strojna w szatę ostatniej stołecznej mody, w brokaty, srebrne koronki i w szubkę, pięknie bramowaną futrem, wyszła z kolasy z miną królowej, ale z taką obojętnością, jakby całe swe życie do niczego innego jak do takich strojów nawykła i od najmłodszych lat do kościoła co niedzielę chadzała.

Siostry jej i ochmistrzyni spoglądały po sobie z lękiem, jakby nie wiedziały, gdzie podziąć z zawstydzienia oczy, ale panna Klorynda szła naprzód płynnym krokiem i z głową wysoko wzniesioną. Gdy wchodziła we wrota kościelne, pewien młodzian usunął się przed nią z drogi i złożył jej głęboki ukłon. Wzrok jej padł na niego przelotnie, przy czym odwzajemniła mu ukłon z tak wyniosłą a wdzięczną łaskawością, że wszyscy obecni pełni byli podziwu. Dla prostej gawiedzi młodzian ów był obcy w tych stronach, miejscowym jednak familantom było wiadomo, iż jest to młody sir John Oxon, który gości w Eldershawe Park u swego krewniaka.

Jak sobie panna Klorynda poczyniała, nikt nie wiedział, dość że po ukazaniu się w kościele zaczęła bywać w wielu okolicznych domach. Widywano ją na przyjęciach, ucztach i balach. Gdziekolwiek się ukazała, takim jaśniała blaskiem, że o swatach zamyślające matrony drżały z niepokoju, a córki ich będące na wydaniu, jeszcze gorsze żywiły obawy. Skoro już raz zajaśniała, niepodobna jej było schować pod korcem ani zagasić jej blasku, gdyż jako panna z wysokiego rodu i z najmożniejszymi familiami skoligacona, zarówno przez ojca jak i przez matkę, a przy tym umiejąca się znaleźć obyczajnie w każdej okazji, nie mogła być tak łatwo pominięta.

Na swym pierwszym balu myśliwskim wzbudziła płomień najzarliwszych afektów w każdym męskim sercu w całym hrabstwie, taki arsenał wdzięków ujawniając, iż żaden mężczyzna temu szturmowi oprzeć się nie mógł. Jej promienne oczy, jej cudna postać, jej śmiech dźwięczny jak najśłodsza muzyka, cięty dowcip jej języczka, wszystko to było orężem, którego starczyłoby na uzbrojenie tuzina niewiast do walki o zdobycie serc, a ona przecież była jedna i to w kwiecie najświeższej młodości i w blasku urody. Gdy wsiadała do kolasy w towarzystwie swego ojca, w ślad za nią szedł zwykle orszak złożony co najmniej z tuzina kawalerów, z których każdy gotów był oczy drugiemu wydrapać o jeden jej uśmiech. Uśmiechy jej były precudne, ale był w nich zawsze odcień drwin

lub wzgardy, co sprawiało, że bardziej się w pamięć obdarowanych nimi wdrażały, niż gdyby były słodsze i łaskawsze.

Do jednego tylko kawalera uśmiechała się łaskawiej, ale ten był tak nawykły do wyróżnień ze strony pięknych dam, że słodszych spodziewał się spojrzeń niż te, które jemu przypadają w udziale.

Młodzieńcem tym był młody sir John Oxon, który równie jaśniał wśród płci pięknej jak Adonis, jak ona wśród mężczyzn jako królowa balów i uczt. Na pierwszym jej balu zdołał uzyskać od niej dwa tańce, a i to uzyskał więcej, niżby ktokolwiek inny mógł się pochłubić, toteż inni kawalerowie zazdrościli mu tego wyróżnienia.

Sir Jeffrey, który nie spuszczał córki z oka w czasie balu i był świadkiem jak odbierała hołdy niczym królowa od całej młodzi jak i od statecznych panów i dostojników, doznawał jakiegoś wzruszenia, jakiego nie znał dotychczas jego umysł, zamroczony trunkami.

Gdy wracali do domu kolasa, przypatrywał się jej, jak siedziała wyprostowana w świetle ранego brzasku, hoża i promienna, jakby w tej chwili wstała z pościeli i twarz obmyła w porannej rosie. Trunki, których sporo zażył przy wieczerzy, już nieco wywietrzały mu z głowy do tej pory. — Na Boga, piękna jesteś, Klorciu — rzekł. — Dalipan, piękniejszej panny nie widziałem, jako żywo.

— Ani ja — odrzekła spokojnie — za co Bogu dziękuję.

— Ach, ty czelna, zuchwała sekutnico! — śmiał się ojciec. — Stary Dunstanwolde z oka cię nie spuszczał przez cały czas, odkąd cię ujrzał.

— Wiedziałam o tym lepiej od ciebie, tatku — rzekła — i wiedziałam, że gdyby nawet chciał, nie zdołałby oczu ode mnie oderwać. Jeśli się inny bogatszy a młodszy kawaler nie nadarzy, wydam się za niego.

— Masz bystre oko i niemały rozumek, moja panno — odparł sir Jeffrey. — Myślę, że do żadnego nie dasz się przywieść szaleństwa. Kawalerowie ci nie dadzą spokoju swymi zalotami i trudno im będzie się oprzeć, ale wiedz, że gdyby mi przyszło dosiąść konia i pistolety za pas zatknąwszy, gonić za tym, który cię pokrzywdzi, uczynię to i poprowadzę go do ołtarza. Ale myślę jednak, że tak szalona nigdy nie będziesz, co Klorciu?

Potrząsnęła głową i roześmiała się jak młody przekorny czort, ukazując białe rzędy perłowych ząbków, wśród szkarłatnych warg.

— Już ty się o mnie nie bój, tatku — rzekła. — Możesz mi zaufać. Nie dam się złapać na plewy. Już mnie na czymś podobnym nikt nie przychwyci.

Tak przystojnie się zachowywała, jak triumfująca piękność, iż najrozumniejsza matka pod słońcem nie potrafiłaby umocnić jej pozycji w świecie. Kawalerowie szaleli za nią i pojedynkowali się niemało; stateczni mężowie hołdy składali u jej stóp, tkliwi młodzieńcy pisywali wiersze na jej cześć, chwając blask jej oczu, białość jej szyi, jedwab jej cery i dumne spojrzenie czarnych oczu. Na każdej uczcie była królową, wśród najpiękniejszych niewiast zawsze była najpiękniejsza, każde jej ukazanie się w świecie było jednym wielkim triumfem.

Hrabia Dunstanwolde, który miał najstarsze imię i najbogatsze dobra na całe hrabstwo i sześć sąsiednich, a który w związku małżeńskie z miłości wstąpiwszy za młodu, owdowiał w rok po swoim ślubie i odtąd był niedościgłym celem pożądań dla każdej panny wstępującej w świat i dla każdej z matek owych panien, nie dał się do tej pory nakłonić do małżeństwa. Po owym balu myśliwskim, ten człowiek pogrążony do tej pory w żałobie i w latach już dość posunięty, nagle zaczął bywać w świecie często i gęsto, jak tego nie czynił od długich lat.

Zanim niewiele upłynęło miesięcy, powszechnie wiadomy był jego afekt dla nowej piękności i przypuszczano, iż tylko czeka bliższego z nią poznania, aby swój tytuł i swe bogate dobra złożyć u jej stóp.

I aczkolwiek przed dwoma zaledwie laty w całym hrabstwie poczytywano by za głupca tego, kto by wspomniał o perspektywach podobnie fortunnego związku dla młodej damy, obecnie panna Kloryn-da tak umiała się zachować dostojnie i tak szlachetna i wspaniała była jej uroda, iż nawet tacy się znaleźli, którzy mniemali, że jego hrabiowska mość za małą wydać się jej może partią i jeśliby do stóp jej upadł, wyświadczyłaby mu łaskę, zgadzając się przyjąć tytuł hrabiny, osoba bowiem rozporządzająca tak kosztownymi skarbami po księżącą śmiało mogłaby sięgnąć koronę, gdyby ją poznano na dworze i w stolicy.

Długie lata później wspominano przy ucztach i kielichu to królowanie panny Kloryndy Wildairs, wśród mężów, którzy sami jej już na oczy nie widzieli, a tylko od ojców swych słyszeli pochwałę jej wdzięków. Zdawałoby się, iż w osobie jej nie ma ani cienia defektu, ani jednego uroku, który by u niej szczytu doskonałości nie osiągnął. Kształtami z młodzieńczą boginią Dianą mogłaby współzawodniczyć, obok niej na jednym stanąwszy piedestale. Krucze jej loki były tak długie i bogate, że jak płaszcz mogłyby ją przyodziać; wielkie jej oczy spoglądały władczo i miotaly gromy, niby oczy Junony w chwilach dumnego zagniewania bogini, a choć nikt tęskności w tych oczach nie oglądał, każdy z jej

wielbicieli szalał na myśl tajemną, iż sama Wenus nie umiałaby tak płonąć miłowaniem jak ona, gdy raczy pokochać, a każdy marzył o jednej tylko łasce; aby on stał się tym szczęśliwym wybranym.

Jedynym tylko co do jej osoby mankamentem było to, iż nie posiadała fortuny. Sir Jeffrey tak pił i hulał, że mu niewiele pozostało majątku. Lasy powycinał, gospodarkę zaniedbał, nie mając pieniędzy na jej podtrzymanie. Dwór, który służył jako jeden z najpiękniejszych w okolicy, chylił się niemal ku ruinie. Sprzęty z czarnego, rzeźbionego dębu i takim dębem wykładane ściany—oto wszystko, co pozostało z dawnych splendorów jego domu, Sprzedano, co tylko sprzedać było można, a dochodów nigdy nie starczało. I tak już dziwowano się w okolicy, skąd pannę Kloryndę stać na tak piękne szaty, ale też i wiedziano, dlaczego ojciec nie może jej zabrać na dwór, by złożyła pokłon królowej.

Mówiono, że ona tylko czeka tej okazji, by dokonać wyboru małżonka. I nie bez słuszności; ktokolwiek bowiem dotychczas o jej rękę się oświadczył, dostawał kosza. Było jednak wiadomą rzeczą, iż odpaleni konkurenci nie przestawali nadal pałać ku niej gorącym afektem i tylko skinienia dość byłoby jej rączki, aby do niej wrócili. Kto się raz w niej rozmiłował, nie tak łatwo bywał z tej miłości uleczony.

Dowcip jej równie był wielki, jak jej uroda, i nikt nie zdołałby dotrzymać jej pola w świetnych a ciętych replikach, tak bystro i obrotnie umiała szermować języczkiem.

Młody sir John Oxon niemały czas u krewniaka swego spędziwszy, wyjechał wreszcie do stolicy, gdzie nowy sobie zdobył rozgłos swymi triumfami nad sercami niewieściami, ale i te prędko mu się sprzykrzyły, gdyż wkrótce miasto opuścił i powrócił na wieś, gdzie tym razem nie u krewniaka się zatrzymał, a u samego sir Jeffreya, który bardzo polubił jego towarzystwo.

Od czasu owej nagłej przemiany w życiu panny Kloryndy podziwiano powszechnie, jak to się dzieje, że ona, która dawniej zdawała się być nieświadoma zasad obyczajności, teraz przy każdej okazji tak pięknie znaleźć się umiała, z taką naturalnością i gracją, jakby nigdy w innym tylko w najlepszym obracała się towarzystwie. W całym jej zachowaniu biła od niej taka prostota i taki majestat, bez żadnej afektacji, bez fałszywej skromności, że aż podziw brał, skąd tą obyczajność mogła czerpać, bo przecież nie z rodzicielskiego wychowania, o czym każdy wiedział. A zawdzięczała je bystrości swego dowcipu i mocy swej nieugiętej woli, a tak hartownej, że nie było przedsięwzięcia, którego by, za cel je sobie postawiwszy, do końca niezłomnie nie doprowadziła. Niektórym niewiastom dana bywa uroda, innym dowcip, innym moc charakteru iście męska, ta jednak jednoczyła w sobie wszystkie trzy

zalety, a prócz nich odwagę tak nieulekłą i wytrzymałość tak niezwykłą, jaka przyniosłaby zaszczyt najdzielniejszemu z rycerzy.

Mimo jednak żywego dowcipu i ciętości języczka, żadnej nie było w jej zachowaniu nieprzystojnej lekkości. Na krok nie pozwalała odstępować sobie swej krewniaczce, pannie Margery Wimpole, jakby była córą hiszpańskiego hidalga, do której nigdy inaczej jak tylko w obecności duenny można dostąpić. Biedna jejmość Margery, przekonawszy się o płonności swych dawnych obaw, drżała z lęku, jaki w niej wzbudzały nowe przewidywania. Zamiast dawnego rozhukania, z którego dziś nie pozostało ani śladu, napotykała taką wyniosłość i takie wymagania, iż ledwie nadażyć mogła w spełnianiu woli swej dumnej młodej krewniaczki.

— Chyba królowa sama tyle od swych panien respektowych nie wymaga — mawiała leciwa niewiasta sama do siebie. — W ukłonach mi się każe ćwiczyć i godnie wyglądać, jakbym księżną była udzielną i chce, bym wiedziała, kiedy mam usiąść i w jakiej odległości i kiedy mieć pilne baczenie na nią, a kiedy udawać, że nie patrzę. I ciągnąć mi każe członki zgrabiałe z taką miną wytworną, jakbym najlepszych zażywała wczasów, podczas gdy kości mnie łamią, jakby je kto poprzetrącał, bo nie jestem ani młoda ani silna.

I zaiste, zacna niewiasta wiecznie zalekła i każdemu skinieniu swej wychowanki posłuszna, przedstawiała żaloszny widok.

— Mama z niej byłaby pociecha — mawiała panna Klorynda do ojca — gdyby miała być przyzwoitką panny, której naprawdę strzec należy. Na każdym kroku można by zwieść jej czujność. Ale mnie lepszej nie trzeba opiekunki, a przy tym jest z dobrego rodu i wcale się tak źle nie prezentuje, odtąd jej sprawiłam ten koronkowy czepeczek i tę suknię z fiołkowego tyftyku.

— Dunstanwolde może nie żywić obaw co do ciebie — rzekł ojciec. — Mądra z ciebie i przewidująca panna.

— Ani Dunstanwolde, ani nikt inny! — odrzekła. — O mnie plotek rozpuszczać nikt nie będzie. Lepiej byś strzegł Anny i Barbary, tatko, aby przy swej nikłej urodzie zbyt miękkich serc nie okazały. Moja uroda jest całą moją fortuną.

Gdy młody sir John Oxon przyjechał w gości do sir Jeoffreya, dni jejmościanki Margery napełniły się nieustanną troską. W wilię jego przyjazdu jejmość panna Klorynda wezwała ją do swej gotowalni po nowe rozkazy. Właśnie służebna rozpuściła płaszcz jej czarnych włosów i rozczesywała ich przepiękne, jedwabiste pasma. Policzki pięknej panny pały niezwykłym

szkarłatem i oczy jej połyskiwały dziwnie; kto by zgadł, z gniewu czy z uciechy?

Rzuciwszy na nią pierwsze, zalekłe spojrzenie jejmość Margery pomyślała, że jest chyba zagniewana, tak płonęły jej oczy i tak niespokojnym oddechem wznosiła się jej pierś, po chwili jednak wydało jej się, iż chyba musi być rada, zauważyła bowiem uśmieszek na pięknych, dumnych ustach.

— Słyszała jejmość o tym młodzieńcu, który ma tu jutro przybyć w gościnę? — spytała.

— Niewiele, wasza miłość — odrzekła jejmość Margery kornie i lękliwie.

— Dobrze więc będzie, jeśli się jejmość dowie, bo co do jego osoby zamierzam wydać jejmości niektóre zlecenia — rzekła piękna panna.

— Wasza mość zaszczyt mi czyni — szepnęła uboga krewniaczka.

— Jest to kawaler ze stolicy — wyjaśniała piękna panna — krewniak lorda Eldershawe. Piękny to młodzian, dla którego wiele niewiast traciło głowy. Pozwala on sobie twierdzić, iż jest niezwyciężonym zdobywcą niewieścich serc i żadna cnota mu się nie ostoja, nawet wśród najwyższych rodem niewiast i dziewic. Jeśli taka o nim jest fama w stolicy, czyż nie to samo i tu gotowi powiedzieć? Aleja nie chcę, żeby tutaj z takiej korzystał sławy. Będzie mi asystował, a jest gościem mego ojca i dwornym kawalerem. Niechże prawi, ile chce, czułe słówka. Będę słuchała albo i nie, jak zechcę, nawykłam do słów. Jejmość jednak niech baczy, aby nigdy sam na sam ze mną nie pozostawał.

Służebna uniosła ciekawie głowę. Dostrzegła to jejmość Klorynda w zwierciadle.

— Pilnuj swego, jeśli nie chcesz oberwać za ucho — rzekła tonem tak gniewnym, że niewiasta zadrżała.

— Więc wasza miłość nie życzy sobie pozostawać sam na sam z tym kawalerem? — spytała jejmość Margery lękliwie.

— Jeśli tu przybył, aby się swymi zwycięstwami chęłpić — rzekła panna Klorynda, ściągając czarne brwi — potrafię mu w grze sprostać. Nie będzie miał się czym chwalić, jeśli inaczej nie pozwolę mu się zalecać jak tylko w obecności statecznej krewniaczki. Niech jejmość pamięta, że takie ma być zadanie jejmości.

— Nie zapomnę, wasza miłość — odrzekła uboga krewniaczka — i spełnię wasze rozkazy.

— Dobrze — rzekła piękna Klorynda. — Nie zatrzymuję więcej jejmości i zezwalam jej odejść.

Uboga krewniaczka z radością opuściła gotowalnię. Jejmość Klorynda wzbudzała w niej nieopisany lęk, choć z całej duszy podziwiała jej urodę i niezwykły rozum.

Wolna od tego lęku była jedynie wtedy, gdy się znalazła w ubogim i ogołoconym wschodnim skrzydle, gdzie mieszkały dwie starsze jej wychowanki, ichmoście Anna i Barbara. Były to łagodne istoty, a piękna ich siostra mawiała o nich, iż natura w równej mierze poskąpiła im fantazji co i urody. Żadnej z nich nie można było przyznać jakichkolwiek wdzięków, ale ich cichość i łagodność były jedynym źródłem pociechy dla ich ubogiej krewniaczki. Nie przemawiały do niej nigdy ostrymi słowami, nie pozwalały sobie na żadne kaprysy, innych nie znały rozrywek jak przechadzki po wiejskich drogach i miedzach, niewinne igraszki z małym legawcem, zwanym Kupidyńkiem oraz motanie jedwabi do haftów i długie a cierpliwe przesiadywanie przy krosnach.

Piękna siostra wydawała się im boginią niedostępną i daleką. Jej uroda wymagała oprawy pięknych strojów, które im przecież były niepotrzebne. Za słuszne i niezbędne uważały, by wszelkie koszta, jakie można było ponieść,łożono na Kloryndę. Nie okazywały ani śladu żalu i przyjmowały z wdzięcznością wszelkie łaszki, które, jako bezużyteczne, raczyła im czasami ofiarować. Zbyt była zajęta własnymi sprawami, być mieć czas na okazywanie względów rodzinnych, do których zresztą nie miała inklinacji. Widywały ją najczęściej jedynie ukradkiem, z okien swoich pokoi, gdy wyjeżdżała na bal lub przyjęcie.

Jejmość Margery opowiadała im niejedno o jej wielbicielach, o bogatych panach, którzy swą fortunę składali u jej stóp, a także o wielkiej famie, jakiej zażywał w stolicy modny kawaler, sir John Oxon, który niewątpliwie należał do liczного grona jej admiratorów, choć nie tak może jeszcze całkowicie był pokonany jej wdziękami.

Z dwóch nieładnych panien, jejmość Anna i ładniejsza może była, a co pewne, rozumniejsza od swej siostry. Była szczuplutka i pochyło się trzymała, a cerę miała szarą i bez blasku. Włosy jej, choć bujne i obfite, wydawały się przy jej wątłej postaci tylko niewdzięcznym brzemieniem. Oczy miała siwe, smutne i łagodne. Były w niej bezmierne zasoby tkliwości, dla których w swym życiu nie znajdowała ujścia. Lubiła czytywać dawne księgi, różne rycerskie romanse, które w sekrecie brała do swej izdebki z biblioteki pozostawionej przez jednego z przodków jej ojca. Dziwne rzeczy znajdowała w tych książkach, rzeczy, które w zadumę nad wieloma zagadnieniami wprawiały jej niedoświadczony dziewiczy

umysł, poznawała historie rycerskich miłośników oraz okrutnych i nieubłaganych albo też tkliwych dam, których postaci tworzyły dziwny świat, będący dla niej w samotności pociechą i rozrywką. Wszystkie piękne heroiny tych snów zawsze miały postać i wdzięki pięknej Kloryndy. Dla niej to rycerze walczyli na turniejach, dla niej wielcy królowie popełniali królewskie zbrodnie, a wszystko to, mniemała, mogło być im odpuszczone, iż pobłądzili dla tak wielkiej piękności.

Tak rozmiłowana była w Kloryndzie w swych marzeniach, że pewnego dnia, sądząc, iż siostry nie ma w pokojach, zakradła się korytarzem aż do drzwi jej komnaty. Pragnęła choć przez szparę w drzwiach obejrzeć szatę, jaką siostra miała przywdziać tego wieczoru na bal, mający się odbyć w sąsiedztwie.

Rzeczywistość jednak przeszła jej najśmielsze marzenia, drzwi bowiem od siostrzanej komnaty były szeroko otwarte, co ujrawszy, z bijącym sercem przystanąła w progu. Na wielkim łożu z rzeźbionego dębu, przysłoniętym baldachimem, którego makaty mocno już były przedarte i postrzępione, spoczywały takie wspaniałości, jakich nigdy jeszcze nie oglądały jej oczy. Była to szata z niebieskiego brokatu, w której panna Klorynda jaśnieć miała na balu. Rozpostarto szatę na łożu w całej jej okazałości, aby się nie pomięła przed czasem. Głębokie wycięcie odsłonić miało biały dekolt i ramiona, ale obramowane było srebrnymi koronkami i wyszyciami z pereł. Obok leżał wielki wachlarz, pięknie malowany, a na podłodze przy łóżku stała para cizemek z błękitnosrebrnego brokatu, wysmukłych i wąskich, na wysokich obcasach. Dech zaparło jejmość Annie na ten widok, pomyślała bowiem sobie, że tak wyglądały, jakby je umyślnie zrobiono do deptania po sercach adoratorów.

Dla nieśmiałej, łagodnej panny, której te stroje wydały się godne królowej, pokusa była nadto wielka, by nie podejść i nie przyjrzeć się z bliska owym wspaniałościom, co też uczyniła drżąc z lęku i zachwytu.

Podeszła do łoża i patrzała, aż ośmieliła się dotknąć wonnych rękawiczek, które leżały obok rozpostartej szaty. Nieśmiałym palcem dotknęła również i stanika tak wąskiego w talii, jakby go skrojono dla małej dziewczeczki.

— Boże mój — szeptała w zachwycie — jakże ona w tym będzie piękna, jak piękna! Nie dziw, że wszyscy do jej stóp upadną. I tak było zawsze, nawet za jej dzieciństwa, bo i wtedy każdy jej ustępował dla jej urody i dziwnej mocy, jaka od niej biła. Wielka jest jej moc. My obie z Barbarą w niczym do niej nie jesteśmy podobne. Jesteśmy słabe i niemądre i nie śmiemy swych myśli wypowiedzieć, zupełnie jak byśmy były ulepione z innej gliny. Ale On, który wszystkim rządzi, tak chciał i taką nam dał cząsteczkę w udziale, naszą ubożuchną cząsteczkę.

Pochyliła z tymi słowami swą biedną, bladą twarzyczkę i wzrok jej padł na cudne pantofelki, które zdawały się deptać twardo po ziemi, choć w nich nie było pięknej, żywej stopy ich właścicielki. Pochyliła się, by jeden z nich wziąć do ręki, ale gdy to czyniła, dłoń jej dotknęła czegoś, co jakby niebacznie zostało upuszczone na podłogę. Podniosła ów przedmiot. Była to miniatura z kości słoniowej, do której przywiązano jedwabną wstążkę. Wpatrywać się w nią jeła z takim zdumieniem, że sama nie wiedziała, co się z nią dzieje. Nie miała przecież zamiaru wglądać w tajemnice siostry. Gdyby nawet podobna myśl w jej głowie powstała, nigdy nie starczyłoby jej odwagi, by taki zamysł w czyn wprowadzić, ale w chwili, gdy ujrzała to, co ujrzała, policzki jej zapłonęły rumieńcem, jakim nie płonęły jeszcze nigdy, w ciągu całego jej bezbarwnego życia.

— Jakież on piękny — wyszeptała. — Piękny jak młody Adonis, a dumny jak królewicz. Skąd się wziął tutaj ten konterfekt?

Lęk ją ogarnął, gdy sobie zadawała to pytanie. — Cóż mam z tym uczynić? — szeptała. — Czy siostra Klorynda wie o tym, że to się w jej komnacie znajduje? Jeśli tak, będzie zła, że się ośmieliłam tego dotknąć. Co mam uczynić?

Spojrzała na minaturę oczyma zamglonymi ze wzruszenia. Wzruszenie to i rumieniec nadały jej nikłym rysom nowy jakiś blask i nową wyrazistość.

— Odłożę to tam, gdzie leżało — powiedziała sobie. — Kto to położył czy zgubił, niech sobie odnajdzie. To nie ona, nie ona. Gdybym to położyła na stole, gniewałaby się na mnie.

Pochyliła się i złożyła miniaturę w cieniu falbany, spływającej z łoża, a pierś jej podnosiła się niespokojnym tchnieniem.

Pewnie opuściłaby pokoje, ale właśnie gdy to zamierzała uczynić, usłyszała tętent kopyt za oknem i wyjrzała, by zobaczyć, czy też Klorynda nie powraca z przejażdżki, ale to nie była Klorynda. Jejmość Anna ujrzała młodzieńca, który zeskakiwał z konia na podwórku, a na ten widok położyła rękę na sercu i rumieniec na nowo zalał jej blade policzki.

— To on! — wyszeptała — on sam! Przyjechał, by się zobaczyć z siostrą, ale jej nie zastał. Biedny, młody pan, przybył tak pełen nadziei, a teraz z ciężkim sercem musi odjeżdżać. Jakież on piękny, jaki strojny!

Bo też piękny był w swym bogatym aksamitnym stroju, w kapeluszu z piórami, piękny był, z blaskiem słonecznym, padającym na jego złote loki. Był to młody sir John Oxon we własnej osobie, największy elegant stolicy. Nigdy Anna nie widziała tak urodziwego i tak strojnego kawalera, toteż przytuliła twarz do

szyby, gęsto bluszczem okolonego okienka i oczu nie mogła oderwać od pięknego młodzieńca, spoglądając za nim długo, jak odjeżdżał dębową aleją wraz ze swym konnym pachołkiem.

Choć wreszcie dęby zasłoniły go swym gąszczem przed jej oczyma, ona nie mogła wzroku oderwać od miejsca, w którym znikł piękny nieznajomy. Nagle drgnęła, usłyszawszy za sobą odgłos czyjegoś śmiechu. Był to śmiech głośny, dźwięczny i wesoły, a gdy Anna obejrzała się gwałtownie, by zobaczyć, kto się tak śmieje, ujrzała swą piękną siostrę stojącą w progu. Biedna Anna przelekła się i rękę znów przycisnęła do serca.

— Siostró... — wyszeptała. — Och, siostró.

Ujrzała, że była w błędzie, że Klorynda wcale dziś nie wyjeżdżała; ubrana była bowiem po domowemu i wśród przerażenia nagła myśl zabłysła Annie, że może tylko przez pomyłkę którego ze sług, młody, piękny gość został odprawiony z kwitkiem. Co do siebie, spodziewała się gniewnych słów, karcących jej zuchwalstwo. Czego bowiem innego spodziewać się mogła od tej cudnej istoty, która choć była jej siostrą, nigdy w niej nie widziała czegoś innego jak tylko niepotrzebną przybłędę. Ale, dziwna rzecz, nie było gniewu w oczach Kloryndy. Śmiała się tylko, jakby ją wielce zabawiło to, co widziała.

— Tyś tu, Anno? — spytała. — I okiem ścigasz pięknych panów? Ty siostró, tak skromna i wstydliva? Tego bym się po tobie nie spodziewała! Jejmość Margery musi baczniej mieć cię na uwadze.

Z tymi słowami podeszła bliżej i pochwyciła siostrę za ramię, by móc się lepiej przyjrzeć jej twarzy. — I cóż? — rzekła drwiąco, choć bez gniewu. — Czyżby obraz pięknego kawalera, choć tylko z okienka dostrzeżony, aż taką mógł wywołać zmianę? Nigdy nie widziałam tak wdzięcznego u ciebie rumieńca, Anno. Bardzo ci w nim do twarzy.

— Siostró — wyjąkała Anna. — Chciałam tylko spojrzeć na twą balową suknię, a że drzwi były otwarte... pozwoliłam sobie... wejść na chwilę. Coś mnie skusiło.

— I jeszcze inny widok cię skusił — śmiała się Klorynda — widok pięknego kawalera ze stolicy, z jasnymi lokami na-ramionach i z sercami niewieściami przytroczonymi do siodła jak myśliwskie trofea. Który widok bardziej ci się spodobał?

— Twoja suknia jest wspaniała, siostró — szepnęła Anna nieśmiało. Nikt na balu nie będzie miał podobnie pięknej.

— Ale kawaler — śmiała się Klorynda — co o nim powiesz?

— Cóż mogę mieć wspólnego z tak wielkimi panami, siostrzo?

— wyjąkała Anna.

Klorynda opuściła dłoń z jej ramienia. — Być może Anno — rzekła.

— Ale wiesz, że tym razem wyglądasz na prawdziwą niewiastę.

— Nie tylko uroda czyni prawdziwą niewiastę — rzekła Anna, znów rękę kładąc na piersi. — Czytałam kiedyś w pewnej księdze, że czyni to najwięcej cierpienie. Jeśli tak, to mam prawo do tego miana.

— Czytałaś, czytałaś — powtórzyła Klorynda. — Wiem że mól książkowy z ciebie i że ty jedna u nas lubisz sięgać po książki z zakurzonych półek. Czytałaś, że cierpienie czyni niewiastę? To nieprawda, to nędzne kłamstwo! Ja jestem niewiastą, a cierpienia nie znam, bo znać go nie chcę! Nie chcę, zaklinam się i dotrzymam zaklęcia. Przez mężczyzn cierpią niewiasty, oto co chciał powiedzieć twój autor. Przez takich pięknych kawalerów jak ten, którego przed chwilą widziałas. Głupiec! Mnie żaden mężczyzna niewiastą w ten sposób nie uczyni, możesz być pewna! Niech oni cierpią, niech się korzą przede mną, nie ja przed nimi!

— Siostrzo — wyjąkała Anna. — Myślałam, że cię nie ma w domu. Ten kawaler, który odjechał... czy służba wiedziała?

— Wiedziała — rzekła Klorynda ze śmiechem. — Kazałam go odprawić, bo go dziś nie chciałam przyjąć. Sam mógł się tego domyślić, ale jest tylko zuchwałym fircykiem i myśli, że wszystkie niewiasty spragnione są jego widoku i jego pochlebstw.

— I ty nie chciałaś... nie chciałaś... go przyjąć?

Klorynda z lekką gracją zasiadła w fotelu, nie przestając śmiać się drwiąco.

— A nie! — rzekła. — Ty nie zrozumiesz takiej niewdzięczności, biedna Anno, ty byś łagodniej się z nim obeszła. Usiądź i porozmawiaj ze mną, a pokażę ci sama moje gałganki. Wszystkie niewiasty lubią rozmawiać o strojach i fatalaszkach. Oto, co nas czyni niewiastami.

Anna aż drżała z zachwyty i szczęścia. Było jej tak, jakby ją sama królowa gościła. Sztywno i nieśmiało, jak służebna, usiadła na brzeжку krzesła. Nigdy jeszcze Klorynda nie była dla niej tak łaskawa, nigdy tak z nią nie rozmawiała

szczerze i przyjaźnie. Sama nie wiedziała, czemu dziś Klorynda była w tak dobrym humorze, po raz pierwszy poznała cały blask i wdzięk jej obejścia i rozmowy. Klorynda pokazywała jej swe stroje, swoje klejnoty, opowiadała jej o domu, w którym odbyć się miał dzisiejszy bal, na cześć urodzin młodego dziedzica, wyśmiewała się z biednego młodzieńca, jego brzydoty, aczkolwiek od kilku już lat uwielbiał ją w skrytości.

Dla biednej Anny rozmowa była równie upajająca jak najwspanialszy teatr. Wpatrywać się w oblicze Kloryndy, w cudne, zmienne rysy, słuchać opowieści o damach i kawalerach, którzy mogliby być bohaterami jej romansów, słuchać gadek o miłości, na której wspomnienie biedna jej duszyczka drżała i trzepotała się jak raniony ptak, słuchać o miłości jak o zwykłej przygodzie, która każdemu się może przydarzyć, o miłości, dla której jedni giną, inni szaleją, było to dla Anny takim dziwem, jak dla mniszki byłoby nagłe porwanie jej z za krat klasztoru, by ją pchnąć w sam wir i zgiełk światowych uciech.

— Sostro — szepnęła, spoglądając na nią oczyma pełnymi pokornej adoracji — z twoich opowieści widzę, że prawdę mówią moje romanse rycerskie. Słuchając twoich opowiadań, zdaje mi się, że widzę wszystko jak żywe. Nie dziw, że cię wszyscy tak uwielbiają dla twej przedziwnej władzy nad słowami. Tak ich umiesz używać, że każde ma własny kształt i barwę, a ty jakbyś nimi budowała cudowne gmachy. Dzięki ci, żeś była tak łaskawa dla mnie, która tak mało w swym życiu widziała i nic ci nie potrafiła powiedzieć o prostych, codziennych sprawach swego życia.

I nagle, wiedzona serdecznym zuchwałstwem, pochyliła się i do tknęła nieśmiało ustami białej dłoni, spoczywającej na poręczy fotela. Jejmość Klorynda spojrzała na nią ze zdziwieniem.

— Zaiste, to nie przystoi, Anno — rzekła. — Żal mi ciebie. Nie chciałabym się z tobą zamienić na miejsca. Masz oczy jak raniony bażant, łagodne i jakby zasnute mgłą. Ktoś mógłby cię pokochać dla nich, choć brak ci urody. Czekaj!

Wstała z fotela i podeszła do dębowej szafy, otwierając na oścież jej drzwi.

— Oto suknia i narzutka z wstążkami, które mi nie są potrzebne — rzekła. — Moja służebna zanieś je do twojej izdebki i pomoże ci je przerobić. Zręczna jest w palcach, a z jednej mojej sukni można by prawie dwie na ciebie wykroić. Kiedyś, o ile zostanę w domu a jejmość Margery będzie mnie nudziła, pošlę po ciebie, żebyś posiedziała ze mną i asystowała mi przy gościach.

Anna ucałowała jej stopy, gdyby śmiała. Zarumieniła się mocno i podniosła na nią oczy pełne uwielbienia.

— Nie spodziewałam się tak wielkiej łaski — wyjąkała. — Może to nie przystoi... może nie potrafię się zachować jak należy. Postaram się znaleźć, jak pannie z dobrego rodu przystoi, bo przecież jestem z dobrego rodu. Jakżebym nie była, będąc córką swoich rodziców i twoją siostrą rodzoną? — tu urwała przerażona, że może za wiele rzekła.

— Nie bądź niemądra, Anno — rzekła Klorynda — i nie okazuj zbytniej pokory w oczach świata. Ze mną możesz być pokorna, ile zechcesz.

— Będę twoją służebnicą, będę cię ubóstwiała zawsze, siostro — wyszeptała Anna, znów się pochylając i całując białą dłoń, która ją obsypała tyloma łaskami i radościami. Nie przyszłoby jej nawet na myśl, że niepotrzebna suknia i przyniszczony stroik nie były znów tak wielką szczodroblewością.

Nagle Klorynda uczyniła niecierpliwy ruch, sięgając ręką za gors. W jej oczach przez jedno mgnienie oka odmalował się niepokój.

— Co się stało? — spytała Anna. — Czy coś zgubiłaś?

— Nie — rzekła panna Klorynda niedbale — wydało mi się, że nie mam przy sobie drobiazgu — to mówiąc, jeła na nowo przetrząsać zawartość dębowej szafy — pewnego drobiazgu, który nosiłam o zakład i którego nie chciałabym zgubić, zanim nie wygram zakładu.

— Siostro — odważyła się powiedzieć Anna, zanim odeszła do swego smutnego wygnania we wschodnim skrzydle dworu. — Chciałabym jedno uczynić dla ciebie, jeśli pozwolisz. Mogłabym pięknie naprawić te makaty nad łóżkiem, w których jest tyle dziur. Zręczna jestem do robót i byłabym szczęśliwa, gdyby mi wolno było ci się przysłużyć. Nie przystoi, żeby w twojej komnacie były rzeczy tak zniszczone. Wszystko, co cię tylko otacza powinno być piękne.

— Potrafisz uczynić pięknymi te podarte szmaty? — spytała Klorynda. — Jeśli tak, to dobrze. Przychodź tu, kiedy zechcesz.

— To są piękne makaty, choć stare i zaniedbane — odrzekła Anna — a ja będę się czuła szczęśliwa, jeśli mi będzie wolno tu siedzieć i myśleć o tobie i o tym co czynisz.

— Myśleć o tym co czynię? — zaśmiała się panna Klorynda. — To by ci dało materię do tak dziwnych myśli, że nie miałabyś czasu na szycie i moje makaty pozostałyby nadal dziurawe.

— Mogę myśleć pracując — odrzekła Anna. — I przyjdę do ciebie co dzień.

*

* *

Od tego dnia wkradło się nieco odmiany w szare życie biednej panienki. Jej to wydawało się bardzo wielką odmianą, choć w oczach ludzi wydawałoby się niczym. Była to tkliwa, pracowita istota, która stałaby się najlepszą z żon i matek, jeśliby tak los zrządził, a te jej przyrodzone skłonności znajdowały teraz jakieś ujście w ukradkowych przysługach, świadczonych siostrze, która stała się panią jej duszy. Łatała i cerowała podarte portiery z[^]przedziwną zręcznością, a godziny spędzane na tej pracy w siostrzanej komnacie były dla niej tak prawie święte, jak godziny modlitwy i służby bożej, albo jak dla młodych mniszek i nowicjuszek prace nad haftami przeznaczonymi na Pański ołtarz.

Dla niej owa komnata miała taki blask, jak żadna inna w całym dworze, a zapach wonności, pozostały w powietrzu, był jak woń kadzideł. W tajemnicy krzątała się dokoła utrzymania w lepszym ładzie strojów panny Kloryndy, niż mogła z tym nadażyć Rebeka, jej służebna. Udało się jej nawet przejąć w swe ręce niektóre z obowiązków tejże Rebeki. Umiała pięknie cerować koronki i wiązać wstęgi, a nawet przerobić krój sukni. Przemęczona pracą służebna rada była z tej pomocy, toteż umiała wiernie dotrzymać tajemnicy, uzyskawszy niejedną pochwałę za prace, które wcale nie jej były dziełem, a że sprytna to była kobieta, nie omieszkała nigdy opowiedzieć panie Annie o zadowoleniu swej pani, chcąc ją w ten sposób zachęcić do dalszych wysiłków.

Czasami zdarzało się, że Anna zastawała swą piękną siostrę, gdy się udawała do jej komnaty, a dama owa, jeśli była w dobrym humorze, zatrzymywała ją przy sobie i nowymi opowieściami wznawiała działanie swego potężnego uroku. Wydawałoby się, iż znajduje przyjemność w okazywaniu swej kornej wielbicielce, jak potrafi być łaskawa. W takich chwilach bezbarwne oblicze Anny rozkwitało od zachwytu, a jej oczy ranionego ptaka jaśniały jak na widok bogini.

Nie usłyszała już nigdy więcej o zagubionej miniaturze. Drżała nieraz na myśl, że ktoś inny mógłby ją odnaleźć.

Wkładała całą swą skromną umiejętność w przerabianiu na własną figurę odrzuconych resztek strojów, które jej siostra łaskawie ofiarowała. Suknia była gotowa, zanim sobie Klorynda przypomniała o swym przyrzeczeniu, że pozwoli czasem Annie pozostać przy sobie, gdy będzie przyjmowała gości.

Któregoś jednak dnia przypomniała sobie tę obietnicę i posłała po siostrę.

Anna pobiegła do swej izdebki i drżącymi dłońmi przywdziała przerobioną suknię. Śmiała się do siebie lękliwie, oglądając w zwierciadle swą nieładną twarz i swój biedny, perkaty nosek. Chciała swe włosy upiąć zgrabniej, ale wiedziała, że jej się to nie udało; nie było jednak czasu na poprawki. Gdyby miała odrobinę różu, okrasiałaby nim policzki, ale takich próżnostek nie posiadały obie panny, Anna i Barbara. Natarła więc tylko mocno policzki, a nawet je poszczypała, tak że wyglądały jakby je kto nieudolnie uróżował. Wydało się jej, że jej nieszczęsny nos szczerwieniał również i nic w tym nie byłoby dziwnego, gdyż ręce jej i nogi były zimne jak lód.

— Będzie się mnie wstydziła — myślała sobie biedna panienka. — A jeśli tak, pogniewa się i odprawi mnie i nigdy już nie zobaczę jej w otoczeniu gości.

Nie łudziła się, biedactwo, i nie wyobrażała sobie, by ktoś zechciał na nią łaskawie spojrzeć.

— Jejmość panna Klorynda prosi, żeby panienka szła prędko

— odezwał się głos Rebeki za drzwiami.

Pochwyciła więc biedna Anna swą chusteczkę, która, jak wszystkie jej rzeczy, przepojona była zapachem suszonych płatków róż z ogrodu i drżąc ze strachu zeszła na dół do wielkiej bawialni.

Była to obszerna komnata o ścianach obitych barwną materią w kwiaty. Zastała tam wielu panów i sporo pań, siejących na środku sali i wiodących głośne rozmowy, ale panów było więcej niż pań, a większość ich otaczała kręgiem jejmość pannę Kloryndę, która siedziała na fotelu, uśmiechając się dostojnie a drwiąco, jakby wyzywała gości do wypowiedania swych ukrytych myśli.

Anna weszła na salę jak myszka, niepostrzeżona przez nikogo. Nie wiedziała, co ma ze sobą uczynić. Nie śmiała pozostać sama jednak pośrodku sali, podeszła więc cichutko i stanęła za wysokim oparciem fotela, w którym siedziała jej piękna siostra. Serce jej biło tak szybko, jakby miało pęknąć w jej piersi.

Obecni na sali goście byli to jedynie panowie sąsiedzi z okolicznych wsi, ale biednej Annie wydali się świetnymi kawalerami. Że nosy mieli czerwone i kraśne policzki, a głosy ich były donośne i żarty rubaszne, tego nie dostrzegła. Byli to przedstawiciele władczego rodu męskiego, którego łaski zdobyć pragnie każda niewiasta, a jednak tu było na odwrót. Nie Klorynda starała się o ich łaski, ale oni usiłowali się jej spodobać.

Anna spoglądała na nich wszystkich z podziwem, czekając sposobnej chwili, w której mogłaby zwrócić na siebie uwagę siostry, ale zanim się zdobyła na odwagę, by się odezwać, usłyszała za sobą jedwabisty głos.

— Boginie tylko—mówił ten głos — niosą z sobą powiew różanych ogrodów Arabii. Gdy wasza miłość przybędzie objąć swe rządy w stolicy, nie będzie w modzie innej perfumy tylko płatki różane.

I oto u jej boku, w szacie szkarłatnej barwy, z brylantowymi guzami u atłasowej kurtki, stał ów piękny młodzian, którego jasne loki złociły się w porannym słońcu owego ranka, gdy ściagała go wzrokiem. Kawaler, którego jej piękna siostra odprowadziła precz i którego nazwała zuchwałym fircykiem.

Klorynda, nie obracając głowy, rzuciła na mówiącego spojrzenie spod swych pięknych rzęs, ale uczyniwszy to, dostrzegła Annę, stojącą przy jej fotelu.

— Oto piękna przemowa strwoniona na darmo — rzekła — choć jak na naszą prowincję wcale się waszej miłości udała. Strwoniona zaś jest dlatego, bo nie ja używam tej wonności tylko moja siostra, Anna. Chodź tu, siostrze, nie chowaj się, jakbyś się wstydziła ludzkich oczu.

Pociągnęła ją naprzód i oto stała biedna Anna pośrodku sali, a wszyscy gapili się na jej nieładną, zarumienioną twarzyczkę; piękny zaś Adonis, w szacie szkarłatnocynamonowej skłonił się nisko, jakby była księżną udzielną, gdyż takie było jego postępowanie z każdą niewiastą, młodą czy starą, piękną czy brzydką.

Taki już był zawsze. Nie umiał się nigdy oprzeć pokusie zmamiania ku sobie niewieściego serca, czy mu zależało, czy też nie na tej zdobyczy, a miał jakiś wrodzony wdzięk, dziwny i niezwykły, którego nie sposób było mu zaprzeczyć. Serce Anny zabiło mocno, gdy składała przed nim niski dyg i zapytywała się w duchu, czy świat widział kiedykolwiek równie pięknego i uroczonego kawalera.

Rzadko już potem była w tej komnacie, a ile razy się to zdarzyło, zawsze się trzymała na uboczu z lęku, by się ktoś do niej nie odezwał.

Nie ośmieliłaby się często wspominać o sir Johnie, ale kierowała się wielką przebiegłością, by zdobyć o nim wieści. Zwykła chytrze naprowadzać rozmowy jejmość Margery na jego osobę, długie z niej wyłudzać opowieści o jego przygodach i triumfach. Jejmość Wimpole niejedno o nim wiedziała, jako bowiem ostrożna i doświadczona niewiasta nie bez zaciekawienia śledziła sławę tego kawalera. Gdyby uwierzyć jej długim opowieściom, nie było niewiasty, choćby książęcego rodu a poniżej siedemdziesiątki liczącej, która by łez przez niego nie wylewała i nie utraciła spokoju ducha, nie było pięknej damy, która by

dla niego nie była gotowa na największe szaleństwa.

Jejmość Anna, naprowadziwszy krewniaczkę na ten ciekawy temat, gotowa była siedzieć i słuchać godzinami, pochylając się nad krosnami, a jej pierś wzbierała aż do bólu od dziwnych wzruszeń. Zaiste, myślała, nie było drugiego w świecie młodzieńca, który by tak dobraną stanowił parę dla Kloryndy, przed nim jednym piękna władczyni abdykować mogła ze swej władzy. Niepodobna przecież, by miała odrzucić jego hołdy.

I tak rozmyślając, poczyniała sobie roić zacna dusza, jakim cudem byłaby miłość wzajemna tych dwojga, choć sama biedaczka tak niewiele wiedziała o miłości. Musi to jednak być szczęśliwość i błogość ogromna i o jednym tylko marzyła w swej pokorze; aby jej było wolno spoglądać z dala na to szczęście. Zostawszy żoną Охона Klorynda będzie miała wielki dom w stolicy i liczną służbę, której trzeba będzie doglądać, więc jeśli tu dozwolono jej służyć bogini, może i tam uzyska ten sam przywilej; może dostąpi łaski zamieszkania w najdalszym choćby zakątku tego domu? A potem jej szalone myśli wybiegały tak daleko, iż marzyła, rumieniąc się na własne zuchwalstwo, o dziecięciu, które im Bóg ześle, o cudnym paniątku, którego oczy będą szafirowe, a włosy zwite w złote loki, a którego ona będzie mogła doglądać i obsługiwać je, i miłować, miłować, miłować...

Owego wieczoru, kiedy jejmość panna Klorynda wydała swej krewniaczce rozkazy dotyczące spodziewanego przybycia sir Johna Охона, dama otrzymawszy je, pośpieszyła, wielce poruszona, do swoich dwóch starszych wychowanek, by podzielić się z nimi swym podziwem i zdumieniem.

— Niezwykła z niej panna! — prawiła — takiej drugiej nie ma na świecie. Patrzcie, jak wszystko rozważyła, a nic nie uszło jej baczeniu i jak roztropnie sobie poczyną, jakby własną była już nie matką, a babką co najmniej. Zna ona wszystkie niebezpieczeństwa świata i chce się ustrzec od plotek, by nikt nie mógł ani na włos jej cnoście przyganić. Sir John niełatwą zastanie drogę do swych konkurów. Nie życzy ona sobie, aby choć na chwilę sam na sam z nią pozostał. W ten sposób nie będzie się miał czym przechwalać. Gdyby wszystkie niewiasty były równie mądre i przewidujące, nie byłoby nigdy powodów do plotek.

Tak mówiła długo i z przejęciem. Opowiadała, jak to jejmość Klorynda spoglądała na nią swymi wielkimi, czarnymi oczyma, aż dreszcz ją przebiegł; jak wydała się jej od pierwszego wejrzenia zarumieniona od gniewu i jak się wnet uspokoiła, dostrzegłszy jej uśmiech.

— Czasami — mawiała — boję się jej uśmiechu, ale tym razem wyglądała tak, jakby była rada własnym myślom. Sądzę, iż radowała ją porażka, jaką

poniesie ów zdobywca niewieścich serc. Lubi ona, żeby zbytnia zuchwałość poniosła zasłużoną karę. Dumna i nieubłagana była od maleńkości.

Tej nocy panna Anna wróciła do swej izdebki z myślami pełnymi dziwnego zamętu, ale myślom tym nie chciała nakazać odwrotu, przeciwnie, z całej swej mocy pragnęła je zatrzymać. Myślała o Kloryn-dzie i zastanawiała się, czy mogłoby tak być, żeby duma wszelkie ludzkie słabości stłumiła w jej piersi, nawet ową chlubną dla niewiasty słabość czułego serca. Czyż to możliwe, żeby ze wzgardą spoglądała na tak dzielnego kawalera, który ją miłował, na pewno miłował? Czyż sama nie widziała gorejącego płomienia w jego błękitnych oczach tego dnia, kiedy mówił o wonności płatków róży? Jak mogła panna, którą on miłował, oprzeć się jego miłości? Jak mogła Klorynda skazywać go na mękę oddalenia, kiedy pragnął rzucić się do jej nóg i wyznać swój afekt?

Zdejmując szatki w ciszy swej komnaty, Anna wzdychała w nieuko-jonym smutku, a sama nie wiedziała, iż wzdychanie płynęło z żalu, że miłość, dar tak rzadki i nie każdemu dany, miała pójść na marne i ze wzgardą miała zostać odrzucona. Ułożyła się w pościeli, ale usnąć nie mogła, z boku na bok się przewracając ze ściśnionym sercem.

Taki ją dręczył niepokój, tak źle się czuła, że leżeć nie mogła. Wstała więc, jak to nieraz czyniła w chwilach bezsenności, podeszła do swego okienka, cicho je otwierając, by niebo ujrzyć i uspokoić się widokiem gwiazd, które, jak to sobie od lat dziecinnych uroiła, mrugały ku niej dobrotliwie, jakby jej chciały nieść pociechę.

Tej noc gwiazd nie było. Księżyc powinien był świecić, ale chmury, zasnuwszy całe niebo, zasłoniły go ciemnym całunem, tak że tylko tu i ówdzie przez poszarpaną szczelinę jego blask na chwilę rozdzierał mroki nocy.

Anna ulękła przy oknie, w swym długim, białym nocnym stroju. O tej porze wszyscy domownicy od dawna byli pogrążeni we śnie. Ona jedna czuwała, a w dziecięco ufnej prostocie swego serca wzniosła oczy na chmurne niebo i zaczęła się modlić, aby lepszego losu Bóg raczył użyć człowiekowi, który nawet o jej istnieniu nie pamiętał. Zbyt szarym i nikłym była zjawiskiem, aby ją w pamięci miał zachować.

Może — myślała sobie — i on w tej chwili na chmury spogląda ze swego okna, spać nie mogąc na myśl, że jutro już znajdzie się pod jednym z nią dachem i że ją zobaczy. Może układa sobie w tej chwili w myślach, co jej rzec, aby uzyskać od niej łaskawe przyjęcie.

W tej chwili ze ścieżki pod oknem doszedł ją lekki szmer, tak słaby, iż przez

chwilę mówiła sobie, że się przesłyszała. I znowu cisza zapadła na dobre dwie minuty. Gdyby dłużej potrwała, Anna zapomniałaby o tym pierwszym szmerze, albo myślałaby, że padła ofiarą wyobraźni. Po długiej jednak przerwie szmer się powtórzył, choć tym razem był jeszcze może cichszy. Mimo jednak tej cichości wydało się Annie, iż rozpoznaje skrzyp żwiru pod czyjąś ostrożną stopą, tak ostrożną, iż krok ten raczej skradaniem się można było nazwać. Potem znów zaległa cisza.

Jejmość Annę strach ogarnął przez chwilę, jako że z natury zbytnią odwagą nie grzeszyła, a jeszcze jej lęk pobudzały niedawno zasłyszane opowiadania o Cyganach, którzy we dwóch się wkradli na dolne pokoje sąsiedniego dworu, skąd z wielkim trudem i po uporczywej walce przez gospodarza i czeladź zostali odegnani nie bez wymiany strzałów, przy której kilka osób odniosło rany.

Wychyliła się więc, by lepiej słyszeć, zastanawiając się, czy nie warto by od razu budzić domowników, a gdy się wychyliła, usłyszała znów ten sam szelest i stłumione przekleństwo. Natężając wzrok, ujrzała, że na ścieżce stoi jakaś postać, owinięta w ciemny płaszcz. Wstała więc cichutko, drżąc na całym ciele, i czepiając się framugi okiennej rozważała, kogo z czeladzi wpierw obudzić albo jak się dostać do ojcowskiej komnaty.

Biedne jej serce biło mocno i pierś podnosiła się szybkim oddechem. Ciszę nocy przerwał jeden z owych dziwnych, nagłych porywów wiatru, który zachybotał wierzchołkami drzew i na chwilę rozdarł pędzące chmury. Znów usłyszała szmer kroków, jakby skradający się chciał skorzystać z osłony szumu, jaki czynił wiatr. Pomiedzy rozdartymi chmurami, w miejscu gdzie się księżyc znajdował na niebie, ukazała się mdła smuga blasku, coraz się rozjaśniająca, aż rozdarły się poszarpane chmury i księżyc przez chwilę wyblysnął oślepiającym blaskiem, aby wnet zniknąć pod naporem mknących chmur.

W tej to właśnie chwili Anna zobaczyła, że postać w czerni przystanęła blisko w cieniu wielkiego drzewa. Padł na nią blask księżyca i Anna zasłoniła usta dłonią, by stłumić krzyk, który wyrwałby się z jej piersi, pełny bowiem blask księżyca, wyblyskującego przez szczelinę chmur, padł w tej chwili na blade oblicze pięknego sir Johna Oxona.

*

* *

Nie nazajutrz, jak się go spodziewano, ale na trzeci dopiero dzień zjechał do dworu sir John Oxon wraz ze swym pachołkiem. Mówił, iż zatrzymany został po drodze wbrew swej woli, ale nie widać było po nim, żeby go wyczerpała

niecierpliwość szybszego przyjazdu, promieniał bowiem urodą i weselem, a witany przez samego tylko gospodarza grzecznie się dopytywał o zdrowie nieobecnych dam i zlecił im przesłać uniżone ukłony.

Panna Klorynda zjawiała się dopiero przy wieczerzy. Wkroczyła do jadalni z majestatem królowej, a za nią podążała jejmość Wimpole oraz skromna i nieśmiała Anna. Po raz pierwszy w swym życiu zasiadła najstarsza z córek sir Jeoffreya przy ojcowskim stole.

Zaszczyt ten takim ją napełnił lękiem, że pobladła jak płótno, w czym jej nie było do twarzy. Toteż na jej widok sir Jeoffrey zaklął szpetnie półgłosem i szeptem napomniął Kloryndę, dlaczego dopuściła na pokoje tę maszkarę.

— Lepiej wiem od was, panie ojcze, co czynić przystoi, za waszym pozwoleniem — odrzekła Klorynda również szeptem, a oczy jej zabłyśły hardo. — Zresztą dobrze ją pouczyłam, jak się ma zachować.

Dobrze ją w istocie pouczyła i jejmościankę Wimpole także, dobrze ich też pilnowała podczas całej bytności sir Johna, aby się obie pilnie jej zleceń trzymały na każdym kroku. Kawaler zabawił dwa tygodnie, a potem wesoły do stolicy odjechał, a gdy panna Klorynda niski dyg pożegnalny przed nim składała, o krok za nią po obu jej stronach taki sam dyg złożyły Anna i Margery.

— Teraz, kiedyście mi dały dowód, że umiecie mi towarzystwa dotrzymać zgodnie z moimi życzeniami — rzekła piękna panna, gdy ostatni odgłos końskich kopyt milkł za bramą — może sobie sir John przyjeżdżać znowu, ile mu się spodoba. Nie wywiózł stąd żadnych wspomnień, które dałyby mu powód do chępienia się nowym triumfem.

I zaiste, w oczach świata pozostała nie zdobyta. Jeśli sir John Oxon przyjechał tutaj jako wzdychający adorator, wiadome się stało powszechnie, iż niewiele mu okazała łaski. Kilkakrotnie zjeżdżali się goście, podczas gdy piękny młodzian bawił we dworze i wszyscy dobrze widzieli, jak się panna do niego odnosiła. Zwracała się doń zawsze uprzejmie, jak córce gospodarza przystoi, ale z pewną wyniosłością, przy czym nie oszczędzała go bynajmniej swym ostrym językiem i nieraz widziano, jak mrużył oczy pod jakimś ostrym razem jej ciętych słów, choć usiłował nie pokazywać po sobie zmieszania. Byli tacy, którym się wydawało, iż oczy jego chłoną ją palącym spojrzeniem, ilekroć ona nie patrzy, ale były to chwile zaledwie przelotne.

Od jakiegoś miesiąca czy dwóch Klorynda mniej się dawała unosić swej porywczoci, uznawszy, iż młodej panie szlachetnego rodu mającej zostać w przyszłości wielką panią, nie przystoją takie gniewy. Służebna jej, Rebeka,

odetchnęła swobodniej i nawet zaczęła się chwalić czeladzi swym uprzewilejowanym stanowiskiem u panienki.

Nazajutrz jednak po wyjeździe znakomitego gościa, młoda jej pani tak się straszliwie uniosła, że nawet Rebeka czegoś podobnego dotąd nie widziała, a wybuch ów tym się jej wydał dziwniejszy, że poszło o rzecz drobną na pozór, choć może dość ważną, jako że dotyczyło to całości niezrównanych wdzięków pięknej panny.

Jejmość Klorynda siedziała w swej gotowalni, szykując się do snu, a służebna rozplotła właśnie i czesała jej długie włosy. Jejmościanka Wimpole wstąpiła na chwilę, chcąc o coś zapytać swą piękną krewniacz-kę, a przystanąwszy trochę, by podziwiać bogactwo czarnych splotów pięknej panny, zauważyła coś, co sprawiło, że nierozważny okrzyk wyrwał się jej z ust.

— Wasza miłość! — zawołała. — Wasza miłość!

— Cóż się jejmości stało? — spytała gniewnie piękna Klorynda. — Jejmość gotowa mnie przyprawić o palpacje serca swym krzykiem.

— Włosy! — wyjąkała przerażona niewiasta. — Cudne włosy waszej miłości. Jeden splot został wycięty.

Klorynda zerwała się na równe nogi i przerzuciła sobie przez ramiona gąszcz czarnych splotów, by mocje lepiej obejrzeć w zwierciadle.

— Wycięty! — krzyknęła. — Gdzie? Jak? Ach!

Głos jej przeszedł w przeraźliwy wrzask. Ujrzała ogołoczone miejsce, nierówne ślady obcięcia; z dobrych pięć stóp długości musiało mieć to skradzione pasmo.

Zerwała się i rzuciła na służebną, a piękną jej twarz wykrzywiła straszliwa furia; oczy jej gorzały jak płomienie. Pochwyciła niewiastę za ramiona, trzęsła nią, targała za uszy, biła po twarzy, aż zakreśliło się w głowie nieszczęsnej i omal nie padła zemdlona.

— Tyś winna! — wrzeszczała jak furia. — Ty, diablico, flądro, ty pomietle! Tyś majstrowała nożycami przy mojej wczorajszej koafiurze, żeby na niej pętłe upinać! Tyś mi przez swoją niezdarność wycięła to pasmo i bałaś mi się przyznać do tego, łotrzyco!

Biła ją w straszliwym zapamiętaniu, a czarne jej włosy unosiły się falując, niby wężowa grzywa jakiejś furii. Biła ją gołymi rękoma, a gdy te zmęczyły się

od zadawania razów, pochwyciła szczotkę z gotowalni i nią okładała nieszczęsną, aż echo dudniło w komnacie.

— Pani — szlochała niewiasta — tak nie było! Tak nie było!

— Wasza miłość zabije tę niewiastę — zawodziła jejmościanka Wimpole.
— Błagam waszą miłość! Tak nie przystoi! Zaklinam...

Panna Klorynda odepchnęła od siebie służebną i rzuciła szczotkę w pannę Wimpole, wrzeszcząc na nią z dziką pasją.

— Niech was piekło pochłonie obie razem z tym, co przystoi i co nie przystoi! Precz mi z oczu! Precz! Natychmiast!

Obie niewiasty wybiegły, szlochając i zawodząc. Długo potem panna Klorynda trwała w swym zagniewaniu na służebną, choć ta usiłowała zasłonić przed jej widokiem miejsce, skąd wycięto splot włosów. W czeladnej owa niewiasta przysięgała się, że nie ona wycięła ów splot, że wprawdzie używała nożyczek do układania na nich pętli z włosów i wstążki, ale że krajała nimi tylko wstążkę i ani włoska nie przecięła.

— Gdyby to była inna panna — mówiła — przysięgłabym, że galant jakiś skradł jej to pasmo, ona jednak nie pozwala im dostąpić dość blisko do siebie na takie igraszki, a nawet gdyby pozwoliła, jakby też mężczyzną potrafił wyplątać pasmo długie na pięć stóp, trefione w zawile sploty?

*

* *

Dwa lata upłynęły, lecz nowe pole do triumfów nie otworzyło się pięknej pannie, ponieważ dalej niż w najbliższe sąsiedztwo nie było jej dane wyjechać. Ojca jej, mimo jego gorących życzeń, nie stać było na zabranie jej do stolicy, jako że i tak długi rosły ponad wszelką miarę i mawiano, że zaledwie mu starczy grosiwa na prowadzenie domu.

Dalsze losy pięknej Kloryndy ciekawiły wszystkich w sąsiedztwie. Cóż jej po wielkich przyrodzonych darach, jeśli ich nigdy nie będzie miała okazji ukazać w modnym świecie stolicy, gdzie mogłaby znaleźć odpowiedniego kandydata do swej ręki. Jedno tylko dziwiło wszystkich, czemu się jej dotąd nie oświadczył hrabia Dunstanwolde, bo jasną przeciw było rzeczą, że ją uwielbia. Może to uczynił i został odrzucony? Była to tajemnica, której nikt nie umiał rozwiązać. Jedni mówili, że mimo jej wielkiej urody i swego podziwu, postanowił ostrożnie czekać, inni twierdzili, że panna sama nie chciała do jego oświadczyn dopuścić,

pragnąc wpięrow zawojować zupełnie młodego sir Johna i uczynić go swoim niewolnikiem zanim się zdecyduje wstąpić w związek małżeński z możniejszym od niego kandydatem. Niektórzy nawet mówili, że mimo swej wyniosłej dumy, chętnie oddałaby swą rękę pięknemu Johnowi, gdyby ją o to poprosił, on jednak zbyt upodobał sobie w stolicy i wielkoświatowych uciechach, aby się ich wyrzec nawet dla bogini, jeśli ta nie da mu w zamian fortuny. Jego własny majątek nie był wielki, bo roztrwonił go dość dawno, a jego rozrzutność zdobyła mu rozgłos w stolicy i ona to właśnie była fundamentem sławy modnego kawalera. Jednak bywał nadal gościem u lorda Eldershawe i sir Jeffrey zaś rad był zawsze na kilka dni do siebie go prosić. W takich chwilach panny Margery i Anna musiały być na straży. Klorynda nigdy nie pozwalała im na poniechanie dawnej czujności, a jejmość Wimpole pozbyła się lęku i nawykła z wolna do swych obowiązków, czego o Annie nikt nie mógłby powiedzieć. Dziwnie bladła i mizerniała, gdy sir John bawił w rodzicielskim domu w gościnie i spoglądała ze smutną zadumą i lęklwym podziwem to na niego, to na siostrę, a gdy spozrzała na sir Johna, twarz jej stawała się szkarłatna, co nawet on zauważył i uśmiechał się z lekka, gdy spuszczała zawstydzone oczy. Bawiła go ta nowa, tak niepozorna istota.

Aż pewnego dnia sir Jeffrey spotkawszy się na łowach z sąsiadami, usłyszał taką wieść, że w cwał na swym karoszu popędził do domu.

— Chytry pies z tego Oxonia — rzekł ze śmiechem. — Przed tygodniem był tu za ledwie i ani słówka nie pisał o tym, co już wróble wszędzie na dachach świergocą.

— Nauczył się widocznie milczeć — odparła panna Klorynda, nie pytając co to za wieść.

— A wiesz, o czym tak milczał? — zawołał sir Jeffrey. — O swej bliskiej żeniaczce. Ponoć wkrótce ma wstąpić w związki małżeńskie. Matka rai mu młodą piękność, która od niedawna zjawiała się w stolicy. Podobno wielką ma ta panna fortunę w Indiach Wschodnich i również w Anglii. Wszyscy kawalerowie ubiegają się o jej rękę, ale ledwie się zjawiał John, ledwie do niej westchnął i wiersz napisał, a już ją sprzed nosa wszystkim sprzątnął.

— Czas już — rzekła Klorynda — aby się ożenił z panną, która by mogła jego długi popłacić i ustrzec go na starość od przytułku, gdyż tam by mu przyszło skończyć, jeśli by nie złapał posażnej żony.

— Szkoda, żeś go nie pokochała, Klorciu — rzekł ojciec. — I że on nie ma odpowiedniej fortuny. Piękna z was byłaby para, a ja lubię tego chłopca.

Jejmość panna Klorynda roześmiała się w głos. — Odpowiednie mamy dla siebie fortuny — rzekła — on rozrzutnik, ja nędzarka. Oto jedzie hrabia Dunstanwolde.

Podjeżdżającemu hrabiemu wydało się, że słońce dlatego tak olśniło jego oczy, iż bogini, którą widział przed sobą, z nieba je ściągnęła ku swej ozdobie.

*

* *

We wschodnim skrzydle dworu jejmość Wimpole rozmawiała ze swymi dwiema wychowankami o pogłoskach dotyczących rychłego małżeństwa Johna Охона.

— Nie chce mi się w to wierzyć—mówiła starsza krewniaczka—bo tak głęboko był zakochany w Kloryndzie, choć krył się z tym usilnie.

— Ona jednak—wyjąkała Anna, blada i dziwnie jakoś niespokojna — ona z taką zazwyczaj wzgardą się do niego odnosiła, taka dlań była oziębła! Dlaczego nie okazała mu większej łaskawości?

— Nie w jej zwyczaju okazywać łaskawość — zauważyła jejmość Wimpole.

Trudno rzec, czy pogłoska była prawdziwa, czy też nie, wielu nadal w nią nie wierzyło mówiąc, że to tylko stołeczne plotki, ale jakimś dziwnym zbiegiem okoliczności sir John Oxon nie ukazał się w okolicy w ciągu długich miesięcy. Mówiono, że pojechał do Francji i tam nie mniejszą zdobył sobie sławę jak i w ojczyźnie, ale nikt nie wiedział na pewno, nawet lord Eldershawe, jego krewniak.

Tymczasem konkury hrabiego Dunstanwolde, o ile to były konkury, posunęły się nieco naprzód w ciągu tych kilku miesięcy. Różnie o tym mówiono w okolicy: że jejmość Klorynda posprzeczała się z sir Johnem i dała mu kosza, to znów że jemu zbrzydły beznadziejne konkury, a przyciśnięty długami zrozumiał, iż czas mu resztki fortuny odratować posażnym ożenkiem. Tak mówiły niewiasty. Mężczyźni twierdzili, że niepodobna, aby ktokolwiek mógł mieć dość tak pięknej i niezwykłej panny, a jeśli tu się sir John nie ukazuje, czyni to na wyraźny rozkaz panny Kloryndy, która nigdy jego konkurów nie traktowała poważnie i zawsze się zeń jako z lekkoducha wyśmiewała, sama zaś tylko takiego poślubi wielbiciela, który zapewni jej tytuł i fortunę.

— Znamy ją od dziecka — mawiali kompanowie jej ojca, siedząc przy kielichu. — Już wtedy nie chciała dać całusa lub piosenki zaśpiewać inaczej jak

za słodycze lub cacka. Dziś niżej hrabiego nie sięgnie, a to i dlatego, że nie ma księcia pod ręką. Znamy ją i jej fortele.

Nie znali jej jednak: nikt jej nie znał, chyba ona sama.

We wschodnim skrzydle dworu, które z każdym rokiem coraz większymi świeciło pustkami i zaniedbaniem, jejmość Anna chudła i bladła. W ciągu dwóch miesięcy tak się zmieniła, że oczy jej wydawały się dwa razy większe w wymizerowanej twarzyczce. Któregoś dnia, gdy siedziała nad szyciem w pokoju siostry, ta obejrzawszy się nagle, wydała okrzyk zdziwienia.

— Czemu tak na mnie oczy wytrzeszczyłaś? — zawołała. — Takie masz wielkie oczyska, jak nieopierzone pisklą. Czemu tak na mnie patrzysz?

— Zdaje ci się, siostro — rzekła Anna. — Oczy moje wydają się duże i wytrzeszczone, bo nieco schudłam. Sama to zauważyłam w zwierciadle.

— A dlaczego schudłaś? — spytała szorstko Klorynda. — Nie jesteś przecież chora.

— Nie... nie wiem sama — wyjąkała Anna. — Nic mi nie dolega. Nie wiem. Prze... przebac mi.

— Głuptasku — zaśmiała się Klorynda — cóż bym ci miała przebaczyć? Ja też mogłabym cię prosić o przebaczenie, że pozostałam świeża i rumiana.

Anna zerwała się z krzesła, przypadła do siostry, uklękła i dłoń jej pochwyciwszy, przycisnęła ją do ust.

— Siostro — szepnęła. — Jakże mogłabym pomyśleć nawet o tym, że ja bym tobie miała cokolwiek przebaczyć? Miłuję cię tak, że cokolwiek czynisz dobre mi się wydaje, nawet gdybyś nie wiem co uczyniła.

Klorynda wyrwała jej swe piękne ręce i zaplotła je pod głową dumnie, jakby sobie z nich czyniła koronę, a jej wielkie oczy spoczęły na bladej twarzyczce siostry.

— Wszystko, co czynię — rzekła z dumą istnej monarchini — jest dobre i słuszne dla mnie. Myślisz, że ugnę się pod tymi nakazami i zakazami, pod których władzą skomlą i płaszczą się inne niewiasty, bo ich nie śmiały przełamać, choćby chciały? Ja sama sobie jestem prawem i nikt mi nic nie narzuci.

Było to w pierwszym miesiącu lata i tego wieczoru miał się odbyć bal, na którym znowu piękna Klorynda miała olśnić oczy wszystkich obecnych, a bal ten wydawano ku czci dojścia do lat pewnego młodzieńca bardzo dobrego rodu, spowinowaconego między innymi z księciem Osmonde, który był przedstawicielem jednego z najstarszych i najświetniejszych domów w kraju. Dzisiejszy solenizant był również jakimś dalekim kuzynem hrabiego Dunstanwolde, który miał uświetnić swoją obecnością bal. Spodziewano się również przybycia na ów festyn nie widzianego od wielu miesięcy sir Johna Охона.

Bal się rozpoczął i trwał już długo, a świetny kawaler się nie ukazywał. Zjawił się wreszcie, ale bardzo spóźniony. Przypuszczano, że dopiero co przybył z drogi, był jednak ktoś, kto go wcześniej widział w okolicy, choć ani żywa dusza ludzka nigdy się o tym nie miała dowiedzieć.

W zaniedbanym ogrodzie w Wildairs był dawny ogród różany, który ongiś stanowił chlubę jakiejś babki obecnego dziedzica, a teraz był zapuszczony gąszczem dziczających róż. Jeśli go nie zniszczono to dlatego, że nieboszczka lady Dafne bardzo go lubiła, a ichmościanki Barbara i Anna chodziły koło tych róż od dzieciństwa, przycinały dziczki, wyrywały zielsko, słowem opatrywały je jak umiały, choć ta praca z czasem stawała się coraz trudniejsza, bo krzaki rozrastały się, tworząc splątane zarośla, a żaden ogrodnik nie dopomógł paniąkom przy grubszych robotach. Rosły więc róże na wpół dziczające wzdłuż zarośniętych drózek, z każdym rokiem skąpiej i drobniej kwitnąc, po ziemi się płożąc długimi odroślami, które by pewnie zdeптano, gdyby kto tu chodził, ale od wielu tygodni żadna stopa tu nie powstała. Był to piękny, dziki i smętny zakątek.

Pośrodku tego ogrodu znajdował się stary, pęknięty zegar słoneczny, który oplotły dokoła czerwone róże na przekór zaniedbaniu płonące w blaskach słonecznych swym bogatym szkarłatem.

I choć tak zapuszczony był ten zakątek, choć ścieżki dokoła zarosły, tu przy tym słonecznym zegarze trawa była nieco przydeptana, a rankiem tego dnia, w którym bal miał się odbyć, stała tu w blaskach słonecznych młoda panna jakby na kogoś czekając.

Ową panną była Klorynda we własnej osobie. Miała na sobie poranną białą szatę, w której wydawała się jeszcze wyższa i wynioślejsza niż zazwyczaj, niby jakaś nadziemski istota, raczej podobna do zwycięskiej bogini niż do zwykłej śmiertelniczki. Narwała ogromny pęk szkarłatnych róż i położywszy je na zegarze wybierała je po jednej, wijąc wieniec, którego przeznaczenie tylko jej

było wiadome. Postawa Kloryndy była jeszcze bardziej wyniosła i dumna niż kiedykolwiek, ale oczy opuszczone były na szkarłatne kwiaty, a cudne usta uśmiechały się dziwnie. Przed takim uśmiechem drżała biedna jejmość Wimpole, nie było w nim bowiem śladu ciepła ani tkliwości. Jeśli na kogoś czekała piękna Klorynda, niedługo to było czekanie, bo któż by ośmielił się taką władczynią na czekanie narazić?

Ktoś szedł zarośniętym ogrodem, przedzierając się cicho i ostrożnie przez cierniste gąszcz, jakby się bał odgłosu własnych kroków. Spośród splątanych gałęzi wyłoniła się postać młodego sir Johna Oxona, ubranego w strój do jazdy konnej. Musiał gdzieś w pobliżu uwiązać swego rumaka.

Stanął przed piękną panną po drugiej stronie postumentu i ukłon tak niski przed nią złożył, że bystre oko dopatrzyłoby się w tej niezwykle uniżoności odcienia drwiącej przesady. Gdy ziemię w ukłonie zamiatał, wplątała się ścięta szkarłatna róża w długie strusie pióro jego kapelusza i pozostała tak wplątana.

— Czemu waćpan przyjść raczył? — spytała Klorynda.

— Czemu wasza miłość raczyła mnie tu oczekiwać? — pytaniem odpowiedział na pytanie.

Podniosła swe wielkie, jaśniejące oczy i utkwiała je w nim z całą mocą.

— Pragnęłam — odrzekła — słyszeć, co waćpan powie, albo raczej widzieć waćpana, gdy będzie mówić!

— Ja zaś — zaczął — przyszedłem...

Uniosła białą dłoń, w której trzymała różę na długiej lodydze takim ruchem, jak królowa unosząca berło.

— Przyszedł waćpan — odrzekła — dla widzenia raczej niż dla słyszenia. I w tym waćpan pobłądził.

— Wasza miłość spogląda na mnie jak bogini ze swych olimpijskich wyżyn — odrzekł. — Tego się spodziewałem.

Potrząsnęła swą dumną głową, uśmiechając się blado i dziwnie.

— Tego się waćpan nie spodziewał — odrzekła jasnym i dobitnym głosem. — O tym się waćpan dopiero przekonał, spojrzawszy na mnie. Szybko się waćpan zmiarkował, ale nie dość szybko. — Uśmiech w jej oczach miał taki czar, że oszaleć by można pod blaskim jej spojrzenia. — Myślał waćpan, że zastanie

nieszczęsną dziewczynę zalaną łzami, skłonioną przed waćpanem jak wierzba płacząca, z rozwianym włosom, z oczyma wzniesionymi ku niebu i ku waćpanu, zaklinającą wśród łez, iż nic jej nie uratuje, chyba waćpanowa wspaniałomyślność. Niejedna tak waćpana zaklinała i rad by waćpan mnie również ujrzeć u swych stóp, mnie, wołającą, iż zginęłam na wieki, zginęłam przez waćpana. Oto, czegoś się waćpan spodziewał, ale na próżno.

Jakkolwiek zepsuty był ów młodzieniec, jakkolwiek pozbawiony serca i sumienia, jakkolwiek się za znawcę rodu niewieściego uważał, ta istota dała mu poznać rzecz nową, nową moc w niewieście, moc, przed którą się cofnął jak rażony gromem.

— Bogowie! — wykrzyknął, chwytając oddech jak człowiek, który tonie. — Nie jesteś niewiastą, o pani!

Zaśmiała się znów i dalej wiła wianek, ale wzroku nie spuściła z młodzieńca.

— Boginią mnie waćpan nazwał i coś o wyżynach olimpijskich napomknął. Nie jestem boginią, ale chciałabym stać się przykładem dla innych niewiast, jaką postawę zachować winny w takiej godzinie. Czy dlatego, że jestem niewiastą, miałabym na kolanach się wlec i szlochać, i włosy rwać z głowy? Cóżem straciła, tracąc waćpana? Straciłabym to samo, choćbym tysiącrotnymi ślubami była waćpanu zaślubiona. Za czym tak rozpaczają niewiasty, szlochając i szalejąc? Za utraconym mężczyzną, za utraconą jego miłością. Ale nigdy jej nie posiadały!

Skończyła wieniec i uniosła go pod słońce, by mu się napatrzeć. Jakże cudownie piękna była, gdy trzymała w swych białych dłoniach ciężką, wspaniałą girlandę szkarłatnych róż.

— Ślub waćpana bliski — rzekła — o ile nie nastąpiło zerwanie?

— Tak — odpowiedział, wpatrując się w nią, a w jego oczach zapalił się płomień, który wbrew jego chęciom duszę jego w okamgnieniu ogarnął.

— Im prędzej, tym lepiej — rzekła, spoglądając mu prosto w oczy i unosząc oburącz wieniec nad głowę niby koronę. Jasny blask słońca ogarniał jej wyniosłą postać, przecudna głowa była odrzucona dumnie, policzki pały rumieńcem. Była od stóp do głów niby prosty, jasny płomień, wznoszący się przed nim triumfalnie. Tak stała dobrą chwilę, olśniewając jego oczy swą wspaniałą, przedziwną urodą, aż wreszcie włożyła na swą dumną głowę szkarłatny wieniec.

— Przyszedł mnie waćpan zobaczyć — rzekła a oczy jej iskrzyły się jako gwiazdy — proszę, niech mi się waćpan przygląda i przekona się, jak żalność

mnie zniszczyła, jak mnie zgięła swym ciężarem. Niech się waćpan dobrze napatrzy, żeby mógł zapamiętać.

— Patrzę — odrzekł zdławionym, zdyszczanym głosem.

— Dobrze — odparła, a delikatne jej chrapki zagrały jak u ognistego rumaka. — Dobrze — powtórzyła, unosząc rękę i palcem wskazując przed siebie. — A teraz precz! Zejdź mi z oczu!

*

* *

Piękna Klorynda zjawiała się tego dnia na balu w różanym wieńcu na głowie. Żadna z pań podobnego nie miała, był to jej własny pomysł, ale tak ją ów wieniec zdobił, jakby był najpyszniejszym diademem. Oczy wszystkich obróciły się na nią, gdy weszła do sieni i głuchy szmer biegł za nią, gdy wchodziła po wielkich, wspaniałych schodach pałacu. W ogromnej sieni poniżej tłoczno było od gości, a oczy wszystkich tylko za nią podążały.

W sali balowej na górze też sporo już było osób przechadzających się tam i z powrotem lub stojących u wejścia, by witać nowo przybyłych.

— Jejmość panna Wildairs — poszedł szept, gdy się ukazała w progu.

— Klorynda, na Boga! — mruknął jeden z przyjaciół jej ojca, trącąc łokciem swego towarzysza. — I uwieńczona różami! Co też ta piękna wiedźma robi, że te kwiaty wyglądają na niej tak, jakby każdy płatek był z najprawdziwszego rubinu!

U szczytu wysokich schodów przystanął jakiś młody pan oniemiały, olśniony jej widokiem. Był to człowiek wzrostu niezwykle wysokiego i dostojnej postawy; miał na sobie jasną perukę, która jeszcze podkreślała jego wzrost. Hafty i koronki jego stroju były cudnej roboty, a pierś jego błyszczała od orderów. Klorynda go nie dostrzegła, on za to miał możliwość przyjrzeć się z bliska jej cudnej postaci. Gdy go mijala, jedna z róż oderwała się z jej wieńca i potoczywszy się upadła tuż u jego stóp. Twarz pięknego magnata zmieniła się dziwnie, powlekła ją nagła bladość. Pochylił się, podniósł różę i zatrzymał w swej dłoni. Ale panna Klorynda tego nie widziała, spoglądała bowiem w stronę, skąd torując sobie drogę wśród tłumu gości, podążał na jej spotkanie hrabia Dunstanwolde. Powitała go promiennym uśmiechem, a w jej świetlistych oczach przemknął się błysk, który rozniecił iskrę nadziei w jego piersi.

Po złożeniu głębokiego dygu gospodarzom domu oraz życzeń solenizantowi,

Klorynda dała się prowadzić hrabiemu, który chciał jej coś powiedzieć, czego by inni nie dosłyszeli.

— Dziś, wasza miłość — rzekł żarliwie — spodziewam się usłyszeć przyrzeczoną mi odpowiedź.

— Owszem — odrzekła — przejdźmy dalej, żebyśmy mogli porozmawiać bez świadków.

Poprowadził ją do przyległej komnaty, z której przez otwarte drzwi widać było barwny tłum na sali, gdzie jednak sami mogli pozostać niewidziani. Padł na kolana i pochwycił jej dłoń, aby na niej złożyć pocałunek. Mimo swych poważnych lat był niecierpliwy i czuły jak młodzieniaszek.

— Niech wasza miłość zeche być dla mnie łaskawa — błagał.

— Niezbyt już jestem młody, bym mógł czekać.

— Dłużej już wasza dostojność nie będzie czekał — odrzekła — ani nawet godziny.

I podczas gdy biedny magnat kłęczał w kornym uwielbieniu, całując jej dłoń, opuściła oczy spod szkarłatnego wieńca róż na jego głowę, przyprószoną siwizną i w jej promiennych oczach odmalowało się wielkie, smutne współczucie.

Nim upłynęła godzina, wszyscy już wiedzieli, co się stało i o niczym innym nie mówiono. Młodzieńcy spoglądali na hrabiego, jakby w oczach mieli sztylety, starsi mężowie posepni byli i chmurni. Damy szeptały sobie, iż tego się od dawna spodziewały i dziwne tylko, że tak długo z tym zwlekano. Wsparta na ramieniu swego przyszłego małżonka, jejmość panna Klorynda przechadzała się od komnaty do komnaty, niczym królewska oblubienica.

Gdy poszła w pierwszy taniec i wszystkie oczy na niej się zatrzymały, piękny sir John stanął w progu. Z fantazją wszedł na salę, uśmiechając się jak zazwyczaj, a gdy blisko pięknej pani przechodził, ukłonił się nisko, ona zaś zatrzymała się w tańcu i skinęła mu uprzejmie głową.

Po skończonym tańcu hrabia wprowadził ją do sąsiedniej komnaty, gdzie stał wysoki, dostojny młody pan, otoczony licznymi gośćmi, niby król swoim dworem. Był to ów nieznajomy w jasnej peruce, z piersią strojną w order, ten, który tak się w nią wpatrywał, gdy szła po schodach. W ręku trzymał jeszcze ułamaną szkarłatną różę, a gdy wzrok jego padł na cudną pannę w różanym wieńcu, twarz jego spłonęła gwałtownie.

— Dostojny mój krewniak, jasnie oświecony książę Osmonde — przedstawił go hrabia swej narzeczonej. — Wasza książęca mość, oto dama, która uczyniła mi zaszczyt najłaskawszy, przyjąwszy moje o jej cudną rączkę oświadczyły.

A gdy głębokie, złotordzawe oczy dostojnego pana, który się skłonił przed nią, napotkały jej oczy, powieki pięknej Kloryndy opuściły się, po raz pierwszy zmieszane czyimś spojrzeniem, a serce, gdy głęboki dyg aż do ziemi składała przed księciem, tłukło się w jej piersi jak oszalałe.

*

* *

W miesiąc później piękna Klorynda była hrabiną Dunstanwolde i królowała w wielkim pałacu swego małżonka w stolicy, wśród licznego orszaku sług, rozporządzając najbogatszymi w mieście ekwipażami, mając pod swymi rozkazami cały zastęp lokai w pudrowanych perukach, dobranych wśród najroślejszych i najpostawniejszych.

Została przedstawiona na królewskim dworze cała jaśniejac od rodowych klejnotów Dunstanwolde'ów, a nawet od innych, jeszcze cudniejszych, które zakupił szczęśliwy oblubieniec, pragnąc obsypać ją drogimi kamieniami.

Zdawałoby się, iż los tak już zrządził, aby piękna Klorynda szła przez życie w chwale triumfów. Będąc dzieckiem rządziła w czeladnej i w stajniach, później stała się małą władczynią własnego ojca i jego wesołych kompanów; od piętnastego roku swego życia była panią całego hrabstwa, teraz zaś była pierwszą wśród dam wielkiego świata, z których żadna nie mogła jej dorównać ani urodą, ani niezwykłym dostojenstwem w całym jej obejściu. Rówieśnice jej wydawały się przy niej niedowarzonymi młódkami, mimo swych modnych strojów i wielkoświatowych manier. Miała zaledwie lat osiemnaście, a biło od niej dostojenstwo iście monarsze. Wzrost jej, niezwykły jak na niewiastę, nie tylko że niczym nie raził, choć tak była wysoka, że na niejednego męża z góry mogła spoglądać, ale przeciwnie, przy jej cudownych proporcjach wydawał się jednym wdziękiem więcej. Małżonek ubóstwiał ją nieustanną, żarliwą adoracją. Nienawidził on swego pałacu w stolicy od czasu, kiedy w swej młodości w rok po ślubie owdowiał; teraz wrócił do wesołego świata, którego istnienia zapomniał już prawie, z młodą i piękną małżonką, mającą stać się dla tego świata przedmiotem zachwyty i podziwu. Cóż dziwnego, że hrabia był oszołomiony szczęściem?

Za dni, gdy w ciszy swego wdowieństwa słyszał o szaleństwach dzikiej córki

sir Jeoffreya, o jej nieokiełznanej odwadze, o jej nieposkromionych gniewach i niezłomnym uporze, przerażała go myśl, jaką żoną będzie taka panna dla człowieka nawykłego do spokojnego, wiejskiego życia, a gdy ją poznał, usiłował z całej mocy stłumić w sobie zachwyt, jaki od pierwszej chwili w nim wzbudziła. Daremny to był wysiłek, choć kosztował go wiele bezsennych nocy, a gdy widując ją od czasu do czasu i coraz bardziej będąc nią oczarowany, jął się dowiadywać o niej i usłyszał o niezwyklej zmianie, jaka w niej zaszła, błogosławił niebiosą, dziękując Bogu, iż taką jej zesłał cudowną łaskę. Wiedział dobrze, będąc człowiekiem rozumnym i przenikliwym, iż nikt nie zdoła opanować owej niezwyklej panny, toteż był szczęśliwy, że sama nad sobą zdobyła władzę i pozwolił sobie marzyć o uzyskaniu jej ręki. Poślubiwszy ją, był zaiste zdumiony jej łaskawością dla niego i dobrocią, jaką mu okazywała na każdym kroku. Wiedział dobrze, iż młodsi -i przystojniejsi od niego mężowie, poślubiwszy słynne z urody panny, z których żadna z Kloryndą się jednak równać nie mogła, uskarżali się, że ich żony nie mają dla nich czasu, pochłonięte swymi światowymi triumfami. Tak jednak nie postępowała hrabina Dunstanwolde, mimo hołdów i zachwytów, jakimi była otoczona. Umiała się zachować z godnością, dla małżonka była uprzedzająco grzeczna i uczynna. Stała przy jego boku, nie wysuwając się na pierwsze miejsce i darząc go swymi uśmiechami i miłą rozmową.

Jeśli kiedyś była sekutnicą, dziś nie było w niej ani śladu nieopanowania. Nigdy hrabia nie słyszał z jej ust ostrzejszego słowa, choć w jej postawie było coś tak władczego, że najwyższy lęk wzbudzała w swych sługach. Było coś w jej spojrzeniu i głosie, przed czym drżały wszelkie pospolitsze i słabsze dusze.

Światowi panowie, którzy tłumnie przybywali do hrabiowskiego pałacu, aby swe hołdy przed nią składać, przeróżni fircykowie i bawi-damkowie z dworu, znali to spojrzenie, znali ton jej dźwięcznego głosu, który potrafił przybrać chłód i ostrość stali, jeśli zechciała. Dla hrabiego Dunstanwolde jednak była zawsze taka, jaką powinna być ubóstwiana małżonka.

— Uczyniłaś mnie, pani moja, szczęśliwszym człowiekiem niżbym się ośmielił marzyć, nawet kiedy byłem młodszy — mawiał z uwielbieniem. — Nie wiem, czym sobie zasłużyłem na taki cud późnego lata w mym życiu.

— Gdy przystałam na to, by stać się żoną waszej miłości — odrzekła — przysięgam sobie, że będę godną was żoną — z tymi słowami podeszła do niego, a przystrojona była w całe swe wspaniałości na bal dworski, jaśniejąca od klejnotów i złożyła pocałunek na jego siwiejącej skroni.

W wilię ślubu Kloryndy z hrabią, jejmość Anna późną porą zapukała cichutko do jej komnaty. Wezwana, by weszła, wsunęła się jak cień, drzwi za

sobą zamykając i wsparła się o nie, z oczyma szeroko otwartymi ze wzruszenia i z twarzą barwy niemal popielatej.

Wszystkie świeczniki w komnacie były pozapalane, a w ich blasku, pośrodku pokoju stała przed zwierciadłem piękna Klorynda, przymierzając swą ślubną szatę z białego atłasu i najcudniej szych koronek, a w rękę trzymając brylantowy diadem, w kształcie miesięcznego sierpa. Cała jej szata skrzyła się od diamentów. Ujrawszy w zwierciadle odbicie siostry, obróciła się ze zdumieniem.

— Co się stało? — zawołała. — Czego chcesz? Czy stało się co... czy też oszalałaś może?

Anna ruszyła naprzód chwiejnym krokiem, z rękoma zaciśniętymi na piersi i szlochając, rzuciła się jej do nóg.

— Przyszłam., przyszłam — jąkała — żeby cię błagać o coś! Siostró Kloryndo, miej cierpliwość do mnie, aż odzyskam odwagę! — Z tymi słowami, drżąc, czepiała się skraju jej szaty.

Dreszcz jakiś przebiegł piękną pannę, ale była to zaledwie chwila. Wyrwała suknię z rąk siostry.

— Nie poplam mi jej łzami — rzekła. — Byłby to zły omen.

Anna zakryła twarz dłońmi, wciąż jeszcze przed nią klęcząc.

— Jeszcze nie jest za późno — wyszlochała — jeszcze czas.

— Na co czas? — spytała Klorynda. — Na co, zechciej mi powiedzieć? Wyczerpujesz moją cierpliwość swym szaleństwem.

— Czas, żeby się zastanowić — odpowiedziała Anna — żeby się opamiętać.

— Jakiego mi trzeba opamiętania? — zdziwiła się Klorynda.

— To małżeństwo, siostró — wyszeptowała Anna z drżeniem, załamując swe biedne, słabe dłonie — nie powinno dojść do skutku.

— Szalona! — zawołała Klorynda. — Wstań, przestań się płozić po ziemi. Przyszedł mi powiedzieć, że czas jeszcze, bym dała kosza hrabiemu Dunstanwolde?

— Ten ślub nie powinien się odbyć! — powtórzyła Anna. — Wiem, siostró, wiem...

Klorynda pochyliła się gwałtownie i położyła na ramieniu siostry swą mocną, zdobną w pierścienie dłoń, zaciskając ją na nim, niczym żelazne kleszcze.

— Podnieś na mnie oczy — rzekła głosem spokojnym ale twardym.

— Chcę ci dobrze w twarz spojrzeć, aby cię wzrok mój ustrzegł od szału. Za wiele rozmyślałaś o tym małżeństwie, aż ci się w głowie pomąciło. Co wiesz? Patrz mi w oczy i mów!

Wzrok jej jakby przeszywał biedną Annę do głębin jej skołatanego mózgu. Nie mogła znieść tego spojrzenia. Cofała się przed nim i kulila, rada by się pod ziemię schować, do stóp się jej bezwładnie rzucić jak szmata, ale biała dłoń trzymała ją mocno.

— Zbierz odwagę, jeśliś ją straciła i mów prosto i otwarcie — nakazała Klorynda. Anna usiłowała wyslizgnąć się jej, ale na próżno. Wybuchnęła beznadziejnym, niepoahamowanym płaczem.

— Nie mogę! Nie śmiem! — szlochała. — Boję się. Masz słuszość. W głowie mi się mąci i... ale ten młody pan... ten piękny kawaler... który cię tak miłował...

— Który? — spytała Klorynda z krótkim, wzgardliwym śmiechem.

— Ten tak piękny, ze złotymi lokami...

— Ten w którym się zakochałaś, ujrzawszy go wtedy z okna? — zaśmiała się Klorynda — John Oxon! Dość mu ofiar, żebyś jeszcze i ty miała za nim szaleć.

— Ale on cię miłował! — zawołał Anna żałośnie. — I chyba ty również siostro... bo przecież... inaczej... — głos jej znów zamarł wśród szlochów, a Klorynda puściła jej ramię i stanęła wyprostowana.

— Nie chce on mnie, ani ja jego — rzekła surowo i twardo. — Dość mieliśmy siebie nawzajem. Wstań, jeśli nie chcesz, bym cię wyrzuciła za drzwi.

Odwróciła się od niej i podszedłszy do gotowalni zaczęła sobie układać we włosach diadem. Anna przycupnęła na podłodze, wpatrując się w nią oczyma rozszerzonymi od przerażenia i męki.

— Podnieś się — rzekła Klorynda — i podejdź tu bliżej. Anna, słaniając się, usłuchała jej rozkazu. Widziała w zwierciadle jaśniejsze odbicie siostry, ale Klorynda sama nie raczyła się do niej obrócić, układając we włosach jarzące się

brylanty.

— Słuchaj mnie, siostró Anno — zaczęła. — Czytam w twojej duszy lepiej niż się tobie zdaje. Biedne z ciebie stworzenie i wiem, że mnie miłujesz, ja zaś... na swój sposób, myślę, że również cię troszkę miłuję. Sądzisz, że nie powinnam poślubić statecznego pana, którego, jak ci się zdaje, nie mogę pokochać tak, jakbym pokochała młodszego i piękniejszego. Głowę masz nabitą romansami i panieńskimi rojeniami o miłości. Lubię hrabiego Dunstanwolde bardziej od niektórych innych... których nienawidzę. Ma piękny majątek, jest człowiekiem szlachetnym i poza tym mnie ubóstwia. Przyznam ci się, że już przyrzekłszy mu rękę, ujrzałam kogoś, kto... może... ale to była chwila za ledwie i już było za późno. Gdybym tamtego wcześniej poznała... byłoby inaczej. Hrabia Dunstanwolde zapewni mi fortunę, wysokie stanowisko i życie w stolicy. Ja zaś daję mu to, czego pragnie całą duszą... siebie samą. Uczciwy to targ, i swoich zobowiązań uczciwie dochowam. Nie mam cnót niewieścich... co mi po nich w życiu takim jak moje? Posiadam jedną za to cnotę, cnotę męską choć i u mężczyzn rzadką, a na tym ta cnota polega, że nie jestem tchórzem i oszustem i danego słowa dotrzymuję. Obawiasz się, że uczynię gorzkim życie mego przysłego małżonka; pozbadź się próżnych obaw. Będziemy żyli w zgodzie i on się na mnie nie uzali. Uczciwie mu to dam, za co zapłacił. Nie oszukam go, jak to słabsze niewiasty ze swymi mężami czynią, bo on płaci, biedak, płaci...

To rzekłszy wciąż jeszcze stojąc przed zwierciadłem i spoglądając w nie, wskazała na drzwi, którymi siostra tu weszła, a biedna Anna, posłuszna temu milczącemu nakazowi, złożyła głęboki dyg i wysunęła się po cichu z komnaty.

*

**

W ciągu szczęśliwego, pełnego triumfów roku, który nastąpił po jego ślubie, hrabia Dunstanwolde czuł się jak człowiek śniący szczęśny i cudny sen.

— Czuję — mawiał — iż to szczęście jest zbyt wielkie, by trwać mogło długo, a innego nie znalazłbym kresu, tylko żebyś ty, pani moja, przestała mi serce okazywać, co przecież nie może się zdarzyć, boś jest tak szlachetna, że zmienności w tobie nie ma, chyba że ja sam względem ciebie bym zawinił.

Zazdrozczono mu jego szczęścia w stolicy, podziwiano, iż ta piękna pani, tak dumna i nieprzystępna, jest zawsze jednakowo dla niego łaskawa i tak wzorową jest małżonką, jakby była z łaski przez niego przygarniętą sierotą, a nie damą szlachetnego rodu i niezwykłej, na świat cały słynącej, piękności.

Rządy, jakie w domu hrabiego sprawowała Klorynda wśród licznych radości, jakie mu niosła, były dla niego chyba największą radością. Pałac hrabiego w stolicy, stary gmach, budowany przez jego przodka, był obszerny, nawet ogromny, ale miał dziwnie chaotyczną strukturę. Nie brakło w nim olbrzymich sal i komnat na przyjęcia i festyny, sienie i schody były wspaniałe i szerokie, pomieszczenia dla czeladzi było wiele, ale pełno też było niepotrzebnych korytarzy, ciemnych i zimnych zakamarków, od których chłód tylko przenikał do izb czeladnych.

Jaśnie pani hrabina, oprowadzana przez klucznicę, obejrzawszy wszystkie zakątki pałacu poczynawszy od sal paradnych a kończąc na najodleglejszych alkierzykach, kazała niektóre niepotrzebne przejścia zamurować, co w wielki podziw dla jej rozumu wprawiło całą służbę. Od razu, odkąd objęła rządy w swe ręce, wszyscy poczuli, że mądrą i przenikliwą dostali panią, wcale nie zamierzającą, mimo wyżyn swego stanowiska, patrzeć przez palce na szczegóły domowej gospodarki.

— Otrzymacie przystojne pomieszczenie, obfity stół i dostatnią odzież — rzekła do sług — ale żądam uczciwej służby, a ktokolwiek przeciwko uczciwości w słowach czy też czynkach wykroczy, z miejsca będzie odprawiony. Rządy moje będą sprawiedliwe, ale nie pobłażliwe.

— Takiej pani jeszcze nie było — rzekł hrabia, gdy mu o tym doniesiono. — Bo też moja pani nie ma równej sobie. Nigdy nie widziano rozumu i surowości połączonych z tak wzniosłą dobrocią. Ludzie będą się ciebie bali, ale i ubóstwiali jednocześnie, pani moja.

Odpowiedziała mu jednym z tych swoich cudownych uśmiechów. — Nie byłabym godna stać się wielką panią, gdybym miała być złą gospodynią — odrzekła. — Nie będę sama zamawiała obiadów, panie mój, ani pilnowała zamiatania, ale i tak słudzy będą wiedzieli, że moje oko i nad tym czuwa i będą pracowali uczciwie.

— Jesteś boginią! — zawołał hrabia, chyląc przed nią głowę. — I łaskę swą dałaś zwykłemu śmiertelnikowi, który nic ci w zamian nie może dać prócz swego uwielbienia.

— Wszystko mi dajesz, co posiadasz, panie mój — rzekła — i miłujesz mnie szlachetnie, za co ci jestem z serca wdzięczna.

Przyjęcia jej były najświetniejsze w stolicy, toteż ubiegano się jak o łaskę o zaproszenie do jej domu. Krewniak jej małżonka, książę Osmonde, który był obecny, gdy po raz pierwszy hołd składała dostojnej królewskiej parze, oczu nie

mógł oderwać od niej przez czas cały. Od tej chwili bywał na wszystkich większych przyjęciach w jej pałacu, zawsze przez nią wdzięcznie i łaskawie witany. Mówiono o nim, iż najszlachetniejszy z niego mąż w Europie, iż równego sobie nie ma w szczęśliwym połączeniu darów natury i fortuny. Wielka była jego uroda, wzniosły umysł, wiedza nad miarę głęboka. Nie było to podówczas w modzie, by panowie wysokich rodów pracowali nad kształceniem umysłu, miast oddawać się uciechom życia; on jednak tej pracy cały swój czas poświęcał od najwcześniejszej młodości, teraz zaś, będąc dojrzałym mężem, mimo swych młodych lat, nie miał sobie równego mądrością i polorem. Był on mecenasem sztuk pięknych i nauk; ludzie geniuszu nie byli zmuszeni wystawać u niego po antykamerach, ale byli przyjmowani uprzejmie i z honorami, jak na to zasługiwali.

Na dworze wiedziano, iż nikt tak bliski nie jest tronu i tak wielkim jak on nie cieszy się zaufaniem monarchy. A jednak choć był to człowiek wielce przystojny, nie krążyły o nim żadne plotki, dotyczące jakichś amorów. Nie dlatego, że miał oschłe serce lub brak wyobraźni. Tego by nikt nie powiedział, kto by spojrzał głęboko w jego niezwykle, mądre i płomiennie oczy.

— Czas, by wybrał sobie małżonkę — mawiał hrabia Dunstanwol-de. — Dziwne, że o tym nie pomyślał.

— Nic w tym dziwnego nie widzę — rzekła hrabina — nic dziwnego.

— Czemu?

— Nie ma godnej jego towarzyski — odrzekła cicho. — Jego małżonka musiałaby być mu równa duchem, inaczej zatrułaby mu serce swą marnością. Zbyt wspaniały to mąż, zbyt wysokiego lotu, by pospolitą sobie wziął pannę. Byłby jak lew, który by się z owcą lub gęsią stowarzyszył. Tak — rzekła, ręce swe mocno zaplatając — oszalałby z duchowej męki przy takiej towarzysce.

— Bogini by mu trzeba, a boginie są rzadkie — rzekł hrabia z łagodnym uśmiechem. — Żal gorzki powinien do mnie żywić, iż ja, niegodny jego krewniak, zabrałem mu jedyną, jaka istnieje dziś na tej ziemi.

— Tak, bogini mu trzeba — odrzekła pani — a wokół są tylko niewiasty, tylko niewiasty...

— Wyróżniłaś go dobrze — zauważył jej małżonek, podziwiając jej mądrość i przenikliwość. — Aż dziwne, że choć znasz go tak mało i tak krótko z nim rozmawiałaś, poznałaś się na nim lepiej, niż my wszyscy.

— Tak, wyróżniłam go — odrzekła. — To człowiek, którego wyróżnić trzeba, a ja mam bystre oko. — Wstała z tymi słowami i wyprostowała się na całą wysokość swego wspaniałego wzrostu. — Tak, to człowiek! — rzekła — to człowiek, a raczej wzór człowieka według myśli Bożej. Gdyby mężczyźni byli tacy jak on, znalazłyby się i kobiety, godne stać się towarzyszkami jemu podobnych.

Gdyby nie to, że stała w tej chwili w cieniu, hrabia dostrzegłby wspaniały szkarłat, jaki zalał jej twarz i czoło i sięgnął aż po wysmukłą szyję.

Jeśli nikt inny nie wiedział, że ona tak go wyróżniła, wiedział o tym z pewnością sam książę. Od chwili, gdy ją ujrzał, poczuł, że gdyby nie przyszedł za późno, byłaby jego oblubienicą. Im częściej ją widywał od tej chwili, tym głębiej w jego duszę wdrażał się jej obraz. Zbyt był szlachetny i wzniosły w swych myślach, by jej krewniakowi zazdrościć, ilekroć ją jednak widział, czy to jak przyjmowała gości w domu swego małżonka, czy to jak mijala go na mieście w swej karocy, serce jego ścisnęło się głęboko i boleśnie, tym boleśniej, iż honor nakazywał mu tłumić tę niezwykłą namietność!

Nie dopuścił do siebie ani cienia niskiej myśli. Dla niego była tą, która mogłaby stać się jego ukochaną panią i małżonką, godną i wybraną matką jego dzieci. Wyróżnił ją i widział w jej spojrzeniu, że i ona jego wyróżniła.

Gdy składał przed nią głęboki ukłon, a ona odpowiadała mu wytwornym dygiem, czytał w jej wielkich, świetlistych oczach, iż gdyby los zezwolił, rozumiałaby wszystkie jego myśli, dzieliła wszystkie jego pragnienia, podtrzymywała go w dążeniu ku wyżynom najwyższych ideałów.

Więcej jeszcze, wiedział, że ona go rozumie nawet teraz, że to samo duszę jej zapalić jest zdolne, co jego serce napełnia zapałem, a wiedział to, choć rzadko ją tylko widywał, a widząc, rozmawiał zaledwie przelotnie.

Dla bólu, który ścisnęło jego serce, ilekroć ją ujrzał, wołał rzadziej się ukazywać w domu hrabiego, wybierając takie tylko okazje, gdzie obecność jego była konieczna ze względów formalnych, a nieobecność mogłaby być poczytana za despekt. Hrabia, który go lubił i wielce cenił mimo jego młodych lat, nieraz pragnął go skłonić do częstszego bywania w swym domu, ale krewniak wymawiał się zawsze od tego, choć czynił to serdecznie i uprzejmie.

Hrabia uprosił nawet żonę, by przyłączyła się do jego próśb. — Mój pan małżonek byłby szczęśliwy, gdyby wasza książęca mość częściej nasz dom raczył odwiedzać — powiedziała mu przy pożegnaniu po pewnym uroczystym balu.

Głębokie oczy Osmonde'a napotkały jej oczy i długo zatrzymały jej wzrok na sobie.

— Jego miłość jest zawsze bardzo dla mnie łaskaw — odrzekł. — Niech mnie wasza miłość za niewdzięcznego lub nieuprzejmego nie poczyta, bom nie jest ani niewdzięczny, ani nie chcę być nieuprzejmy.

Oczy ich spoglądały ku sobie długo i poważnie. Książę Osmonde pomyślał o Junonie; tak powłóczyście było spojrzenie tych niezrównanych oczu, tak bezmierna i zawrotna ich głębia.

— Wasza książęca mość nie jest tak swobodny jak mniejsi panowie — rzekła Klorynda. — Nie może swym czasem rozporządzać, jakby chciał.

— Nie — odrzekł z powagą. — Tak jakbym chciał, nie mogę. I na tym skończyła się rozmowa.

Ponieważ było powszechnie wiadomą rzeczą, iż jejmość panna Klorynda Wildairs niezbyt mile spoglądała na pięknego sir Johna Oxona, nikt się nie dziwił, iż w stolicy również niezbyt dla niego była łaskawa i rzadkim gościem bywał ów młodzian w jej domu.

Przybył tam wprawdzie na zaproszenie hrabiego kilkakrotnie, ale pani domu, po uprzejmym przywitaniu gościa, zdawała się nie dostrzegać go wcale.

— Nawet się do niego nie raczyłaś uśmiechnąć, serce drogie

— rzekł hrabia Dunstanwolde — jeszcze powiedzą, że to ja przez zazdrość go odstrasza, jego i podobnych jemu kawalerów, jakbym się bał ich młodości i uroków. Nie chciałbym, aby ludzie mówili, że jestem tak niewdzięczny, iż śmiem tobie nie dowierzać i krępować twoją swobodę.

— I ja bym nie chciała, panie mój — odrzekła Klorynda — ale co się tyczy tego młodzieńca, nie będzie on u nas częstym gościem, wie bowiem, iż go w sercu nie noszę.

Małżeństwo sir Johna z młodą, posażną jedynaczką nie doszło do skutku. W całym mieście mówiono o tym z wielkim zdziwieniem, przypuszczano bowiem, iż panna owa wielce się w nim rozmiłowała i że ją prędko do ołtarza poprowadzi, co by sprawiło wielką radość jego wierzycielom. Wkrótce jednak wieść się rozeszła, że panna wcale mu tak nie była przychylna, jak mniemano, że ponoć wolała innego, a nawet gdyby tak nie było, słuchy, które ją o sir Johnie doszły, tak małą dawały rękojmię małżeńskiego szczęścia, że wolała w porę z tego związku zrezygnować.

Gdy hrabia Dunstanwolde przywiózł do stolicy swą młodą małżonkę i gwiazda jej od razu zabłysła przednim blaskiem, napełniając wszystkie serca radością i w ruch puszczając wszystkie języki, głoszące jej chwałę, sir John Oxon spoglądał na nią z dala wśród jej triumfów. Z dala, nie dlatego, żeby zbliżyć się do niej nie mógł, owszem, nieraz blisko niej przebywał, ona jednak jakby go nie widziała, jakby nie istniał dla niej. Po raz pierwszy raczyła się do niego odezwać, gdy go tak blisko minęła w tłumnym zgromadzeniu, że musnęła go swą szatą. Szafirowe jego oczy utkwione były w nią ogniście, a gdy go przelotnie dotknęła jej szata, sir John pochwycił głęboko oddech i w tej właśnie chwili oczy jej padły na jego oblicze.

— Nie ożenił się waćpan — rzekła.

— Nie, nie ożeniłem się — odparł cicho, z goryczą w głosie. — Wasza miłość za to wstąpiła w stan małżeński.

Uśmiechnęła się nieuchwytnie, przelotnie.

— Trudno się było czego innego spodziewać — rzekła. — Chwalebny to stan i radziłabym waćpanu weń wstąpić.



Gdy hrabia i jego małżonka wrócili do swej wiejskiej siedziby, jejmości Annie przydarzyło się szczęście niezwykle i nieoczekiwane. W najśmielszych swych marzeniach o czymś podobnym nie śniła.

Hrabina Dunstanwolde, przybywszy do rodzicielskiego domu w odwiedzinę, zabrała ją z sobą na swe pałace i tu ją na stałe umieściła. Dała jej kilka pokoi oraz służebną na własne rozkazy, a nawet wyposażyła ją w odpowiednie szaty. Te ostatnie wybrała sama z takim smakiem i wdziękiem, jak tylko ona potrafiła.

— Niewielkie ci daję pokoje, Anno — rzekła — ale ciche i przytulne. Możesz je sobie urządzić według własnych upodobań. Małżonek mój sam dobrał powieści, które znajdziesz na półkach, bo bardziej ode mnie zna się na księgach. Ja zaś dobrałam ci szatki miłe i spokojne, nie pstre i krzykliwe w barwach, ani z wielkimi bryzami, jak chce moda. Tylko by cię przeraziły, biedaczko moja, i przytłoczyły swym ciężarem. Wybierałam barwy blade i łagodne, stosowne do twej cery i oczu zranionego ptaka.

Anna stała pośrodku swej komnatki, rozglądając się dokoła po sprzętach i dziwując się w sobie.

— Siostró — szepnęła. — Czemu jesteś tak dobra dla mnie? Com uczyniła, by ci się zasłużyć? Czemu dla Anny, a nie dla Barbary tak jesteś łaskawa?

— Może dlatego, że jestem próżna i lubię, by mnie kto uwielbiał, jako ty to czynisz.

— Ależ ciebie wszyscy uwielbiają — odparła Anna.

— Ach, mężczyźni — odrzekła Klorynda drwiąco — ale niewiasty nigdy. A być może, iż pycha moja jest tak wielka, że i hołdów niewieścich mi się zachciewa. Wiem, że ty nie przestaniesz mnie miłować, nawet gdybym popełniła zbrodnię, nawet gdybyś mnie widziała przesywającą sztyletem serce znieawidzonego wroga. Myślałabyś, że i ten błąd zasługuje na wybaczenie.

Zaśmiała się, lecz takim głosem, że dech zamarł w piersi Anny.

— I wtedy kochałabym cię siostró! — wyszeptała z uniesieniem — nawet i wtedy na nic innego nie stać by mnie było, tylko na miłość do ciebie. Wiem, że niewinnemu nie zadałabyś ciosu, a ten, kogo byś znieawidziła, musiałby być godny nienawiści. Nie jesteś podobna do innych niewiast, siostró Kloryndo. Ale jedno wiem, że nic w tobie nie ma niskiego... bo masz wielkie i szlachetne serce.

Klorynda zaśmiała się znów, ale już nie tak drwiąco. — Cóż ty wiesz o moim sercu, Anno moja? — spytała. — Do niedawna sama nie wiedziałam, jak bije. Pan mój i małżonek mówi, że jest ono szlachetne i wielkie, ale sądzi po własnym sercu. Czy jestem względem niego taka, jaka być powinnam, Anno? Czy jestem uczciwa? Tak uczciwa, jak prawy i nieskazitelny mąż, a nie jak przewrotna niewiasta?

— Jesteś wielką damą — odrzekła Anna, a jej łagodne oczy, pozbawione blasku, napęły się cichymi łzami. — On mówi, iż stałaś się dla niego zadatkem niebios jak archanioł zesłany przez Boga.

— Jak rzekłam, to jego serce jest wielkie i szlachetne — powtórzyła Klorynda. — Ale przysięgam uczynić go szczęśliwym. Otrzymałam przecież zapłatę... zapłatę!

Podziwiano szczęście hrabiego w jego rodzinnych stronach, jak podziwiano je uprzednio w stolicy. Wrota pałacu były na oścież otwarte gościom, zjeżdżającym się z wszystkich stron, wydawano wspaniałe uczyty i bale, na których zawsze widywano panią domu, królującą przy boku swego dostojnego małżonka i z takim wdziękiem czyniącą honory gospodyni, jak żadna inna pani. Sir Jeffrey, na tych przyjęciach zawsze mile widziany, takiego doznawał

olśnienia, że zapominał o trunkach, spoglądając bez ustanku na swą dostojną córkę.

— Patrzcie na nią — mawiał do swych dawnych kompanów, równie wielce jak on sam zdumionych. — Któż by pomyślał, że ta mała sekutnica, która kleła i śpiewała nam pijackie piosenki i w pluderkach dosiadała konia, wyrośnie na taką panią!

Tak go te odwiedziny w pałacu onieśmiały, że wołałby się trzymać z dala od tych wspaniałości, gdyby nie jej prośby i molestacje.

— Wieśniak ze mnie; po mnie się manier stołecznych nie spodziewaj, moja panno — mówił pewnego dnia, gdy przybył do niej w odwiedziny i znaleźli się sami w komnacie. — Przywykłem do swobody i łatwo wyrwie mi się jakieś przekleństwo, albo nieprzystojne słówko, a ty przy twoim mężu odwykłaś od takich rzeczy, jam zaś za stary już koń, by się innych uczyć chodów.

— Mówiłeś ojciec swojego czasu, że jestem za stara, by się zmienić — odrzekła — a jednak stało się po mojemu. Czy ci nie mówiłam, że będę wielką panią? Nie ma rzeczy, której by się człek nie nauczył, byleby miał po temu wolę i rozum.

— Ty je masz, Klorciu! — zawołał sir Jeffrey, spoglądając na nią z podziwem spod ociężałych powiek. — Gdyby nie to... — tu urwał, a na jego czerstwej i rubasznej twarzy odmalowało się wzruszenie — Cóż ja bym z ciebie uczynił, Klorciu? Jędzę i zbereźnicę! Niczegoś się przy mnie dobrego nie nauczyła, niczego, oprócz zła i bezceństwa. Niech mnie lichy porwie! — zawołał, a jego oczy zaszkliły się łzami — sam nie wiem, co cię od zagłady ustrzegło, zanim skończyłaś piętnaście lat.

Siedziała, spoglądając na niego poważnie. — Ani ja, tatko — rzekła — nie wiem, a jednak oto mnie widzisz stateczną małżonką dostojnego pana.

— Rozum twój jeden — rzekł ojciec — jeden twój rozum to sprawił i twoja wola iście diabelska.

Pojechała z nim na łowy, jak za dawnych czasów, ale przybrana w najnowszej mody strój amazonki, który jej wprawdzie nie pozwalał na takie sztuczki, jak ongiś, na tak śmiałe przeskakiwanie rowów i żywopłotów. Jednak i dziś po mistrzowsku władała koniem. Rumak, którego dosiadała, był piękną ognistą bestią, której by i sam sir Jeffrey niechętnie popróbował, ona zaś siedziała spokojnie, jakby jej rącość i narowistość bachmata w niczym nie przeszkadzała, cugle tylko trzymała żelazną ręką.

Hrabia Dunstanwolde nie brał udziału w łowach. Nigdy nie przepadał za tą rozrywką, a wówczas czuł się nieco słabo, ale nie chciał swej małżonki pozbawiać uciechy dlatego, że sani nie mógł w niej uczestniczyć.

— Dianie-łowczyni nie przystoi zostawać w domu, pielęgnując dolegliwości starego człowieka. Uczyniłabyś mi tylko wstyd i przykrość. Twój ojciec będzie ci towarzyszył. Jedź i bądź królową polowania, najdroższa.

W łowach wziął udział i sir John Oxon, który przyjechał na krótko w odwiedziny do lorda Eldershawe. Zrównał się koniem z piękną hrabiną, choć ona nie miała mu nic do powiedzenia po pierwszej wymianie powitalnych słówek. Nie wyglądał tak kwitnąco i świeżo jak przed rokiem. Widocznie jego hulaszczę życie zwarzyło w nim wreszcie kwiat młodości. W chwilach, gdy twarzy jego nie ożywiało podniecenie łowami, wyglądał na wyniszczonego, jak po chorobie.

Szeptano sobie, że tak zabrnął w długie, iż czuł się nie do zniesienia zagrożony, a to tym bardziej, że jego zamierzony ożenek nie doszedł do skutku. O tym i o wielu innych rzeczach nikt w okolicy lepiej nie wiedział niż sama pani hrabina Dunstanwolde, sądząc jednak z wyrazu jej twarzy w chwili powitania, nie współczująca zbyt pięknemu kawalerowi.

— Kloryndo — zaczął głosem zdyszczym, gdy ją wreszcie dogonił. Mołgaby nie odpowiedzieć, spodobało się jej jednak zwolnić biegu rumaka i spojrzeć przez chwilę na młodzieńca.

— Wasza miłość — poprawiła jego zuchwalstwo. — Albo: „pani hrabino”...

— Były czasy... — rzekł, ale nie dokończył pod jej wzrokiem.

— Dziś z rana — mówiła piękna pani, znalazłam w swej gotowalni list. Nie wiem, jaki szalony łotr go pisał. Nie znam go.

— Nie? — zaśmiał się wzgardliwie.

— List spaliłam nierozpieczętowany — odrzekła. — Niech waćpan tak blisko nie najeżdża i nie czyni z siebie szaleńca przed małżonką hrabiego Dunstanwolde.

— Małżonką! — drwił. — Jego miłości hrabiego! To nowa gra i świetnie prowadzona, jako żywo!

Nie drgnęły jej powieki i tylko wzgardliwy uśmiech pojawił się na jej ustach i w jej niewzruszonych oczach.

— Całkiem nowa — odrzekła — całkiem nowa. — Gdybym jej nie zamierzała uczciwie prowadzić do końca, nie wzięłabym kart do ręki. Przykróć waćpan cugli swojemu koniowi. Mój jest narowisty i nie lubi zbyt bliskiego sąsiedztwa innych bestii — z tymi słowy podcięła swego bachmata harapem i pomknęła naprzód jak byłskawica.

Nazajutrz, gdy Anna przyszła do jej komnaty, ujrzała siostrę przy gotowalni, trzymającą w ręku nieodpieczętowany list.

— Anno — rzekła, dzwoniąc gwałtownie na służebną — mam zamiar odprawić ze służby pokojową. Nie będę jej biła ani klęła, jak za dawnych czasów. Mówię to, żebyś się nie przelekła, pragnę bowiem, abyś była świadkiem przy tej rozmowie.

Stała przy kominku, trzymając list końcami palców, jakby ją palił, kiedy nadeszła wezwana dzwonkiem pokojowa. Ujrawszy twarz swej pani, dziewczyna pobladła, a rzuciwszy okiem na list, zaczęła drżeć jak w febrze.

— Innym paniom służyłaś — rzekła hrabina czystym, twardym głosem, tnącym jak zimny nóż. — Jakiś łotr i szalenciec zapewne cię przekupił. Skoro tak jest, nie możesz u mnie służyć. Weź to i wrzuć sama w ogień. Gdyby stać się miało według twej zasługi, powinnaś włożyć rękę w gorejące węgle, nim ta ohyda nie spłonie.

Dziewczyna podeszła śmiertelnie blada. Wzięła list i uklękła, by go spalić, a twarz jej przybrała barwę popiołu. Gdy ostatnie szczątki listu spłonęły, pani wskazała jej drzwi.

— Idź, zbierz swe manatki i ruszaj stąd precz, żeby mi ciebie nie było tu za godzinę — rzekła. — Sama będę własną panną służebną, dopóki nie znajdę uczciwej niewiasty na swoje usługi.

Gdy dziewczyna wyszła, Anna wciąż jeszcze wpatrywała się w popioły na kominku. I ona była śmiertelnie blada.

— Sostro — zaczęła — dlaczego...

— Tak — odparła Klorynda. — Człowiek ten podobno mnie miłuje, ale to łotr i podły pies. Wydawało mu się przez chwilę, że jest ze swej żądy uleczony. Mogłabym go ostrzec, iż płomień wybuchnie nowym żarem w jego sercu, gdy wyjdę za innego. Tak bywa u psów i łotrów, tak jest i z nim. Ogarnął go na nowo szal.

— Ach, szal — powtórzyła Anna. — Podły, występny szal. Klorynda

spojrzała na popioły, a jej piękne i dumne usta wygięły się wzgardliwie. — Zawsze był podłym człowiekiem — rzekła. — Był i jest. Twój to ulubieniec, Anno — dodała żartobliwie, potracając stopą szerniałe węgle — twój ulubieniec, John Oxon.

Jejmość Anna skuliła się w swym krześle i zakryła twarz chudymi, przejrzystymi dłońmi.

— Och, pani moja! — zawołała, czując, iż nie wolno jej powiedzieć w tej chwili „siostrę” — jeśli jest podły i był nim dawniej, żałuj go, żałuj! Tacy więcej niż inni godni są litości.

A mówiła tak, ponieważ sama miłowała go do szalu, nieświadoma własnej miłości, nie śmiejąc nawet nigdy o tym zamarzyć, by móc spojrzeć w jego piękne oblicze, myśląc o nim jedynie jako o niewolniku swej siostry, a w najgłębszej tajemnicy wiedząc rzeczy dziwne... iście dziwne! Od razu też, ujrawszy list, poznała jego pismo i jej biedne czyste i prawe serce omal nie pękło w jej piersi, tak szalonym załomotało tętnem... bowiem już dawniej, w ojcowskim jeszcze domu, widywała listy pisane jego ręką.

Gdy hrabia Dunstanwolde powrócił z małżonką do swego pałacu w stolicy, jejmość Anna towarzyszyła obojgu. Tak chciała Klorynda. Przeznaczyła jej jasne i wygodne komnaty podobnie jak i w swej wiejskiej rezydencji. Szczęśliwym a dziwnym trafem zdarzyło się w tych czasach, że Barbara wydała się za mąż za skromnego ziemianina z sąsiedztwa, który będąc wdowcem, a potrzebując opieki dla nieletnich dzieci, oświadczył się o jej rękę, poznawszy ją za pośrednictwem jejmościanki Wimpole, z którą był spowinowacony. Nie pragnął pięknej ani dwornej małżonki, a w skromnie chowanej paniencie spodziewał się znaleźć dobrą gospodynię i zaczął opiekunkę dla swych dzieci, w czym zresztą nie doznał zawodu.

Tak to jejmość Anna z lekkim sercem i bez skrępułów odjechała do stolicy. Przeraziła ją wspaniałość miejskiej siedziby hrabiego, zastępy lokai i pańien służebnych, przerazał ją nawet mały czarny hajduczek, specjalnie przeznaczony do obsługi piesków pani hrabiny, którego obowiązkiem było czyścić, karmić i wyprowadzać na spacer jej dwa maleńkie, wypieszczane bolończyki. Annę olśniły klejnoty i ekwipaże siostry i wszystko, co dokoła niej widziała, choć w duchu mówiła sobie bez ustanku, iż takie otoczenie daleko bardziej przystoi pięknej damie niż owe podarte i przyniszczone makaty, które sama cerowała w

pokojach ojcowskiego dworu.

Ubrana w odpowiednie choć nie jaskrawe szaty, nie czuła się jak za dawnych dni (przynajmniej jeśli szło o stroje) szpetną plamą na tle pięknego obrazu, gdy zjawiała się na salonach wśród gości, ale w swym sercu pozostawała równie lękliwa i nieśmiała i nigdy nie brała udziału w rozmowach, gdy jej siostra do tego nie przymusiła. Kilkakrotnie towarzyszyła Kloryndzie w jej przejażdżkach po mieście poszóstną kareta, ale zamiast spoglądać na wspaniałości stołeczne, siedziała

84

skulona w kącie ekwipażu i ledwie oczy śmiała podnieść w swym zaleknienu urodzonej wieśniaczki, oszołomionej miejskim zgiełkiem i miejskimi świetnościami.

— Wszystko było piękne i nad podziw wspaniałe — rzekła, powróciwszy do domu po raz pierwszy z takiej przejażdżki — ale nie zabieraj mnie często z sobą, siostrze. Zanadto jestem brzydka i nieśmiała. Czuję się zagubiona i zalekła wśród tych dziwów.

Trzymając się jednak z dala od wielkiego świata, ciekawa była wszystkich triumfów swej siostry i zawsze musiała choć spojrzeć na nią, gdy ta wystrojona wyruszała na jakiś bal lub przyjęcie, albo na zwykłą przejażdżkę. Lubiła też przesiadywać w gotowalni, podczas gdy służebne przystrajały swą piękną panią w robrony i klejnoty.

I tak podziwiając ukochaną siostrę w niemym zachwycie, wiedziała, iż jest jeszcze ktoś, kto jej miłość i olśnioną admirację podziela, a tym kimś jest sam pan hrabia Dunstanwolde, którego tkliwość uczuć, nieustanną i niezawodną łaskawością jego małżonki podsycana, rosła z każdym dniem i z każdą godziną.

Pewnego wieczoru miało się odbyć w pałacu hrabiostwa wielkie przyjęcie, które miał uświetnić swoją obecnością książę krwi. Tego wieczora Klorynda wezwała do siebie siostrę.

— Nie żądam tego zawsze — rzekła — ale czasem musisz się ukazać wśród naszych gości. Małżonek mój sobie tego życzy, twierdząc, iż nie wypada, żeby siostra jego żony pozostawała zawsze w ukryciu, jakby była w niełasce. Twoja służebna przygotowuje ci wszystko co potrzebne. Ja sama dojrzę tego, by ci było w twej szacie do twarzy. Już ją zamówiłam i wiele dołożyłam starań, aby

odpowiednio obmyślić krój i barwę. Chciałabym, żebyś wyglądała przystojnie, Anno.

Z tymi słowami ucałowała lekko jej policzek równie łagodnym pocałunkiem jak ten, który składała na osiwiącej skroni swego małżonka. Była zawsze jeszcze dumną i wyniosłą panią, ale dziwna jakaś, nieuchwytna zaszła w niej zmiana, której Anna nie mogła pojąć.

Wieczorem służebna jejmości Anny przyniosła do jej komnaty przepiękną szatę. Była ona z wzorzystego atłasu, o barwie i połysku gołębiej szyi, a zdobiące szatę koronki przypominały swoją przejrzystą lekkością pajęczynę. Krój miała niezwykle zgrabny i pięknie dobrany do figury. I tak było w niej Annie do twarzy, że ujrawszy się w zwierciadle, zarumieniła się z miłego zdziwienia.

Znalazłszy się w olśniewających światłach komnat, w których się odbywał festyn, szukała okiem jakiegoś schronienia od tych barwnych a świetnych tłumów, aż wypatrzyła sobie kącik osłonięty złożonym parawanem skąd, sama będąc w ukryciu, mogła widzieć Kloryndę i hrabiego, witających swoich gości. Widok ten był dla niej dostateczną rozrywką, naprawdę bowiem uwielbienie jej dla siostry rosło z każdym dniem. Był wprawdzie czas, kiedy ciężka chmura nad nią zawisła i wtedy płakała i drżała, bezradna i pełna lęku, jednak i wtedy obiekt jej kornej miłości nie przestał jej przyświecać blaskiem gwiazdy, niczym nie przyćmionej, nie było bowiem takiego mroku, który ów blask mógłby przytłumić. Chmura zaś rozproszyła się niedługo i gwiazda jaśniała dalej na jasnym niebie jej duszy. Siedzieć w ukryciu i spoglądać na swe bóstwo, siejące dokoła blaski, spoglądać na cudne ruchy jej królewskiej głowy, uwieńczonej jarzącymi się klejnotami, czytać zachwyty w oczach wszystkich patrzących na owo nieporównane zjawisko, było już zaiste samo przez się dostatecznym ogromem szczęśliwości.

Ona jest jak zawsze — myślała w duchu — nie kobietą, ale cudną boginią, która raczyła zstąpić na ziemię. Ale hrabia wygląda nieswojo, tak żółto i mizernie i ma zapadłe oczy. To mnie trapi. Szkoda, aby tak godny i dobry pan miał cierpieć od cielesnych dolegliwości. Od wielu dni już widzę tę jego dziwną bladłość, ale na pytanie Kloryndy powiedział dziś, że mu nic nie dolega.

Właśnie gdy tak rozważała, zdarzyło się, iż jakiś wysoki, dostojny pan cofnął się aż do jej kącika, nie dostrzegłszy wcale jej obecności. Wydało się jej, że i on woli zejść ludziom z oczu i pomyślała, że jemu trudniej to przyjdzie z powodu okazałego wzrostu i wspaniałej postawy.

Zastanowiło ją, kto by to mógł być, tak niezwykła była od niego moc i powaga. Nie widziała go nigdy przedtem; widocznie bywał tu rzadkim gościem.

Jak Klorynda wzrostem przewyższała inne niewiasty, tak on górował nad wszystkimi mężami. W postawie jego było coś istic królewskiego. Przy tej mocy i tym majestacie gładyszek John Oxon wydawałby się mdłą kukłą woskową, w sam raz stworzoną do igraszek dla lekkomyślnych dam.

Jejmość Anna z podziwem i jakby ze czcią spoglądała na tego męża, a tak mu się przypatrując, dostrzegła, że wzrok jego w jeden tylko punkt jest wpatrzony i domyśliła się, że tu się ukrył, by móc swobodnie spoglądać tak samo jak ona, tylko z tajoną żarliwością męskiego serca na jedną tylko istotę, na jej siostrę.

Było to tak, jakby nagłe zawierzono jej cudzą tajemnicę. Wyczytała ją w jego rysach, bo nie wiedział, że jest przez nią widziany i przez chwilę odsłonił swe prawdziwe uczucia. Był jak człowiek strudzony dźwiganiem wielkiego ciężaru, który odłożył na chwilę swe brzemie, aby odpocząć i zebrać siły na dalszą wędrówkę. Słyszała, jak z jego piersi wyrwało się długie, ciche, stłumione westchnienie i zawstydzila się, że tak niepostrzeżona przez niego podgląda tajemnice jego duszy.

Wstała po cichutku ze swego kącika, zastanawiając się, jakby się wydostać z ukrycia bez obudzenia jego uwagi, w tej samej jednak chwili on cofnął się o krok dalej w głąb i obróciwszy się na szelest jej szaty, ujrzał ją stojącą obok siebie.

Twarz jego uległa natychmiastowej zmianie; przywdziała na nowo zasłonę szlachetnego spokoju. Skłonił się przed nią dwornie i z szacunkiem, nie okazując śladu zdziwienia z powodu jej niespodzianej bliskości.

— Wasza miłość — rzekł — proszę mi wybaczyć, że stanąłem jej w drodze, nieświadomy jej obecności.

Drgnęła, podnosząc na niego swe łagodne, ciche oczy. — Miłościwy panie — odrzekła — szukałam tu na chwilę wytchnienia od zgiełku i świetności, do których nie nawykłam, głównie jednak skryłam się, by móc stąd widzieć swą siostrę przez cały czas.

— Siostrę waszej miłości? — powtórzył pytająco i znów skłonił się, jakby przeproszał za to pytanie, które mu się mimo woli wyrwało.

— Jej miłość hrabinę Dunstanwolde — wyjaśniła. — Tak miły jest mi widok jej osoby, że nie mogę od niej oderwać oczu.

Było widocznie coś w jej głosie, pełnym tkliwego wzruszenia, co ujęło go za serce, gdyż nie tylko dworska uprzejmość ale jakaś miła, serdeczna łaskawość

zabrzmiała w jego głosie.

— Więc mam zaszczyt rozmawiać z panną Anną — rzekł. — Słyszałem o pani od hrabiego i jego małżonki. Jestem księżę Osmonde, krewniak naszego miłościwego gospodarza.

Uklonił się znów przy tych słowach, Anna zaś złożyła głęboki dyg.

Poczuła w nim taką dobroć i łaskawość, mimo jego dostojęstwa, że prawie rozproszyło się jej wrodzone onieśmielenie, tak zawsze stojące jej na przeszkodzie przy rozmowie z obcymi. Gdy John Oxon kłaniał się przed nią nisko, aż spływały mu z ramion złote loki, a uśmiechał się przy tym drwiąco i dziwnie, ginęła ze wstydu wśród palących rumieńców, ale ten dostojny mąż, który tamtego przewyższał i świetnością, i stanowiskiem, i charakterem, i rozumem, że i porównania być nie mogło, jak między bóstwem z Olimpu a malowaną, zgrabną kukłą, ten człowiek, tak jakby część własnej mocy udzielał jej słabości. Tak dwornie i tak życzliwie z nią rozmawiał, jak nikt dotąd. Uprosił ją, aby siadła i stał przy jej krześle wiodąc rozmowę pełną tak subtelnego zrozumienia jej myśli, jakby wznosił ją ku wyżynom, na których sam się znajdował. Znał wszystkich gości, obecnych na sali, i o każdym umiał wypowiedzieć jakąś mądrą a ciekawą uwagę. Prawił jej o wielkich czynach wodzów i mężów stanu, o zasługach wybitnych statystów, o urodzie i wdziękach wielkich dam, obecnych na balu.

O jej siostrze niewiele wspomniał, choć dobrze czuła, jaką nie sympatii tworzy między nimi ich wspólne dla niej uwielbienie.

— Nie dziwota, że się jej wasza miłość napatrzeć nie może — mówił — cały świat ma oczy zwrócone na nią z zachwytem i podziwem.

Wreszcie podał Annie ramię, ona zaś nabrawszy dziwnej odwagi, pozwoliła mu się prowadzić przez komnaty do sali, gdzie podawano zakąski i napoje. Na widok skromnej panienki, pojawiającej się w towarzystwie tak wielkiego i znakomitego magnata, oczy wszystkich gości, których mijali, obracały się na Annę, onieśmieloną tymi wszystkimi spojrzeniami i ukłonami.

Gdy wreszcie weszli na salę, gdzie oboje gospodarstwo czynili honory domu, Anna zauważyła, że jej przewodnik przystaje z nagłym wahaniem, ale wzrok jego nie w Kloryndę był utkwiony, a w jej małżonka, hrabiego.

— Wasza miłość — rzekł księżę Osmonde do Anny — proszę mi wybaczyć, że panią zatrzymałem, ale proszę spojrzeć na mego krewniaka. Przebóg! — zawołał z nagłym lękiem w głosie. — On się ślania na nogach! Biegnijmy do

niego szybko. On pada!

I rzeczywiście, w tej samej chwili okrzyk zgrozy wyrwał się z ust najbliższych stojących gości i tłum zafalował. Hrabia Dunstanwolde leżał nieruchomy i śmiertelnie blady na lśniącej posadzce sali.

Anna i książę Osmonde znaleźli się przy nim w jednej chwili i oboje uderzyła dziwnie woskowa przejrzystość i zapadłość tej twarzy, a także pot perlący mu się na czole.

Jego małżonka, klęcząca przy nieruchomej postaci, ujrawszy tłum, skupiający się dokoła, majestatycznym ruchem ręki nakazała odstąpić zgromadzonym.

— Odstąpcie! — zawołała. — Powietrza! Wody! Panie mój, panie! On jednak nie odpowiedział i nawet nie drgnął, gdy go tak wzywała i kładła rękę na jego wystygłej piersi. I przerażeni goście ujrzeli widok dziwny, ale cudowny swą wzniosłą tkliwością; ujrzeli, jak ta piękna pani, ubóstwiana przez cały świat, objęła ramionami bezwładne ciało straszliwe w swej nieruchomości i bladości i uniosła je w swych cudnych, mocnych ramionach, jakby to było ciało dziecięcia, a przeniósłszy je na sofę, tam je złożyła i uknęła przy nim.

Anna i Osmonde stanęli przy niej. Książę był blady ale pełen mocy i spokoju.

Już posłał po lekarza, a teraz pochylił się nad hrabiną. — Niech mi wasza miłość pozwoli — rzekł — podejść bliżej. Znam się na takich niedomaganiach.

Uknuł również i ujął w swe ręce nieruchomą dłoń, szukając pulsu, po czym położył rękę na piersi leżącego, chcąc się domacać serca. Długo wpatrywał się w zapadłą, woskową twarz.

— Drogi mój panie — szeptała hrabina do ucha spoczywającego małżonka, jakby była pewna, że jej głos go dojdzie, gdziekolwiek by był — Edwardzie, drogi panie mój!

Osmonde trzymał dłoń na piersi leżącego. Goście cofali się z przerażeniem, tak okropny był widok nieruchomego oblicza hrabiego Dunstanwolde.

Książę Osmonde z wolna wysunął dłoń i zwracając się do klęczącej niewiasty z tkliwym współczuciem w oczach, choć sam był blady jak marmur, przemówił do niej cicho i łagodnie.

— Miłościwa pani — rzekł — jest pani niewiastą mężną i w tym męstwie

trzeba szukać oparcia. Serce już nie bije. Szlachetny żywot dobiegł kresu.

Goście usłyszeli te cicho wypowiedziane słowa i jeszcze dalej się cofnęli; rozległo się ciche szlochanie niewiast i w tej chwili tłum się rozstąpił przed biegnącym lokajem, za którym spieszenie podążał wezwany medyk.

Anna zakryła twarz drżącymi dłońmi. Osmonde stał nieruchomo z opuszczoną głową. Hrabina Dunstanwolde klęczała przy zmarłym i skryła swą przecudną twarz na jego wystygłej piersi.

*

* *

Śmiertelne szczątki hrabiego Dunstanwolde przewieziono do siedziby jego przodków i tam złożono na wieczny spoczynek w pradawnym grobowcu, gdzie spali jego ojcowie. Przybyło wielu gości ze stolicy, aby mu oddać ostatnią przysługę i księżę Osmonde, jak przystało, był również w ich liczbie. Hrabina do nikogo nie wyszła, zamknawszy się w swych komnatach, nie widując nikogo prócz swej siostry Anny.

Noc, poprzedzającą ostatni obrządek, spędziła na czuwaniu przy trumnie zmarłego małżonka, budząc podziw w Annie swym dostojnym spokojem żałoby. Nie szlochała, nie zawodziła, jak to niewiasty zwykle czyniły, klęczała w milczeniu, majestatyczna, jak nigdy, a piękność jej była raczej pięknością marmurowego posągu niż żywej niewiasty. Odprawiła wszystkich innych czuwających, zatrzymawszy przy sobie jedną Annę.

Z dziwną dostojną łagodnością mówiła do niej o zmarłym — Nie wiem, czy umarli nas słyszą i widzą — mówiła. — Czasem na myśl mi to przychodzi i dreszczem mnie napełnia takie przypuszczenie, że oni, choć tak cicho spoczywają, może widzą, co czynimy, i słyszą, jak się o nich tu mówi niby o jakichś szmatach, które żywi radzi by najprędzej odrzucić, aby móc żyć nadal, jak nawykli, a może nawet weselej. Jeśli pan mój mnie widzi, rad będzie, że tu dziś czuwam przy nim w tej uroczystej komnacie. Tak go zawsze wzruszał każdy dowód pamięci i uczucia z mej strony.

Komnata była, jako rzekła, uroczysta i niema aż do zgrozy. Była to olbrzymia, zawsze zimna sala, teraz zaś przystrojona ciemnymi drape-riami, była mroczna i milcząca jak grób. Długie świece woskowe dawały słabe światło, pogłębiając tylko swym mdłym blaskiem uroczyste mroki cieniów, zalegające dokoła, a w bogatej trumnie spoczywał zmarły spowity w całun, z przejrzystymi, jakby z żółtego wosku wyrzeźbionymi rękoma, splecionymi na piersi.

Jejmość Anna nie śmiała by tu wejść sama, widok zaś zapadłych oczodołów i wyostrzonych zarysów nosa w tym tak dobrze jej znanym obliczu, napenił ją chłodnym lękiem. Klorynda jednak nie znała lęku. Podeszła do katafalku, a w oczach jej malowało się poważne, opiekuńcze współczucie, pochyliła się i złożyła długi pocałunek na zimnym czole zmarłego.

— Będę przy tobie czuwała przez tę noc — rzekła. — Nie opuszczę cię dziś, jak i ty nigdy byś mnie nie opuścił. Uklękła przy nim i swą mocną, ciepłą rękę położyła na jego zimnych, woskowych dłoniach, jakby je chciała rozgrzać własnym ciepłem. Anna klęczała, modląc się żarliwie, aby Bóg raczył darować wszystkie grzechy zmarłemu, aby ta biedna, dobra dusza mogła znaleźć pokój i miłość w Królestwie Niebieskim i o niczym się tam nie dowiedziała, co by mogło zatruć goryczą wspomnienie tego ostatniego roku szczęsnego zachwytu. W prostocie swej zapomniała, że nie ma takiego poznania rzeczy przeszłych, które by mogło przyczynić goryczy duszy, spoglądającej wstecz z niebiańskich wyżyn.

Widziała w ciągu nocnego czuwania, jak siostra jej trzymała bez przerwy rękę zmarłego, widziała, jak kilkakrotnie gładziła lekko i troskliwie jego siwą głowę, niby matka, nachylająca się nad swym chorym, śpiącym dzieckiem i znów całowała jego chłodne czoło, przemawiając do niego łagodnie, żeby się nie lękał, bo ona jest przy nim blisko, wreszcie uklękła. Anna zaś zastanawiała się w duchu, czy też siostra się modli i jaką to modlitwą, bo wiedziała, że piękna Klorynda do modłów nie nawykła.

Było to przed samym świtem, kiedy Klorynda uklękła, a gdy wstała z klęczek i stanęła nad zmarłym, wyjęła z fałdów swej szaty maleńkie zawiniątko.

— Anno — rzekła, rozwiązując wstążkę, którą zawiniątko było obwiązane — zastałam go raz, wkrótce po naszym ślubie, jak wyjął to z sekretarzyka i długo się wpatrywał w te pamiątki, trzymając je w dłoni. W pierwszej chwili wydawało mu się, że się poczuje dotknięta, ale mu powiedziałam, że mniej twardego jestem serca, niż mniemał o mnie, choć na pewno nie tak łagodna, jak ta niewinna panienka, która była jego pierwszą małżonką, która umarła, wydając na świat owo dziecko, co też niedługo pożyło. Spoglądał na jej miniaturę i na złotą obrączkę z jej palca i na dwa pasemka włosów; jedno kasztanowe, wijące się pięknie, obcięte z jej splotów, drugie zaś takie maleńkie źdźbło puszku, z główki zmarłego dzieciątka. Powiedziałam mu, żeby zachował te drogie pamiątki i często je brał do ręki, wspominając, jak niewinna była ta młoda nieboszczka i jak za niego umarła. Łzy jego spłynęły na mą dłoń, gdy ją całował, dziękując mi. Miał zawsze przy sobie w swoim sepeciku te drogie pamiątki, a teraz przyniosłam mu je do trumny.

Miniatura przedstawiała śliczną panienkę, o wielkich ufnych dziecięcych

oczach i liczku zarumienionym jak młoda jutrzienka. Klorynda spoglądała na nią ze smętną tkliwością.

— Tam się ani żenią, ani za męża wydają — szepnęła — ale gdyby tam istniało małżeństwo, ty byłabyś jego żoną, nie ja. Ja byłam tylko chwilową pociechą w jego samotności. Nosiłam jego nazwisko i z nim związane zaszczyty, ale gdy tam powitacie go oboje, ty i wasze dzieciątko, on zapomni o mnie... i wszystko będzie dobrze.

Przycisnęła miniaturę i miękkie sploty włosów do ust zmarłego męża i Anna dostrzegła ze zdziwieniem, że jej usta drgnęły od tłumionych łez. Obrączkę wsunęła na jego mały palec, a konterfekcik i włosy ukryła w splecionych dłoniach.

— Szlachetny to był człowiek — rzekła — pierwszy szlachetny człowiek, jakiego w swym życiu poznałam.

Z tymi słowami ujęła dłoń Anny i wyprowadziła ją z żałobnej komnaty, a dwie kryształowe łzy spłynęły na gors jej czarnej, wdowiej szaty.

Po wszystkich żałobnych obrządkach, najbliższy z krewnych, będący dziedzicem mienia i tytułu zmarłego, pozostał w pałacu, aby objąć w posiadanie fortunę, która mu przypadła w udziale, wdowa zaś wróciła pod dach rodzicielski, aby w ukryciu przed światem przeżyć okres żałoby. Pałac w stolicy zapisał jej zmarły na własność, nie chciała jednak tam zamieszkać, dopóki nie nadejdzie czas, kiedy będzie można zdjąć czerń i wdowie welony. Majątek, jaki jej przypadł mocą testamentu zmarłego, uczynił z niej bogaczkę, a jeśliby w świecie znów się zechciała ukazać, miała możliwość wystąpić równie strojnie i wspaniale, jak i za życia małżonka.

Podczas pobytu w ojcowskim domu wiele uczyniła, aby stary, opuszczony dwór uczynić godniejszym siebie mieszkaniem, sprowadzając sprzęty z Londynu jak i rzemieślników, aby do ładu doprowadzili pokoje dla niej i dla Anny. Nie chciała jednak zamieszkać w komnatach, które zajmowała za swych panięńskich czasów. Z jakiejś niewyjaśnionej przyczyny nabrała do nich uprzedzenia od pierwszego dnia swego przybycia, kiedy stanęła z Anną w progu starego dworu.

— Tu nie zamieszkać — powiedziała. — Nigdy nie lubiłam tych komnat, a teraz nie mogę znieść ich widoku. Wydaje mi się, jakby ktoś inny je zamieszkiwał a nie ja. Tamte dzieje tak są dawne, że stały się niby widma z innego świata. Przygotujcie dla mnie czerwoną komnatę i obie sąsiednie. Czuć tam pewno pleśnią, bo dawno nikt nie zaglądał i okien nie otwierał, ale każe się napalić we wszystkich kominkach, żeby było nam ciepło, i wietrzyć, żeby pleśń

obeschła. Sprowadzę też sprzęty i obicia z Londynu, żeby się milej mieszkało.

Następnego jednak dnia i tu się jej nie spodobało.

— Nie wiedziałam — rzekła, odwracając się nagłym ruchem od bocznego okna komnaty — że stąd widać różany ogród. Gdyby mi to przyszło na myśl, nie wybrałabym dla siebie tego pokoju. Zbyt smutny i dziki to widok na ów gąszcz splątanych cierni i na pęknięty słoneczny zegar.

— Słonecznego zegara stąd nie widać — zaprzeczyła Anna, pośpieszając ku niej z twarzą straszliwie pobladłą. — Wnętrza ogrodu nie można przecież widzieć z żadnego z okien.

— Nie — odrzekła Klorynda. — Niezbyt jest stąd blisko i zarośla są za wysokie, ale sama już pamięć o tych rzeczach jest dla mnie niemiła.

— Zasuńmy kotary i nie patrzmy w tamtą stronę — szepnęła biedna Anna. — I zapomnijmy. — Mówiąc to, drżącą ręką ściągnęła ciężkie kotary i tak już pozostały zasunięte przez cały czas pobytu Kloryndy w ojcowskim dworze.

Pani hrabina przez rok przeszło chodziła w żałobie, a jej powłóczyste szaty i welony podkreślały jej smętny majestat. Nikogo nie widywała w rodzicielskim domu prócz ojca i siostry. Ta szczególnie dotrzymywała jej towarzystwa, po całych dniach z nią przesiadując, towarzysząc jej na przechadzkach i przejażdżkach, gdy we dwie wyruszały odwiedzać chorych i ubogich.

Więcej wtedy mówiono o dostojnej powadze żałoby pięknej wdowy niż dawniej o szaleństwach nie okiełznanej panny, ci bowiem, którzy lubili plotki, spodziewali się po niej, iż zrobiwszy wspaniałą partię przez ślub z hrabią i tak szybko odzyskawszy swobodę w stanie wdowieńskim, zacznie znów okazywać dawną samowolę i pozwalać sobie na szalone zabawy.

Żeby jednak miała z taką stateczną godnością nosić żałobę po swym małżonku i tak surowo świata unikać jakby co najmniej była księżniczką krwi lub królewską wdową, tego się nikt nie spodziewał, toteż o niczym innym w całym hrabstwie nie mówiono.

Gdy już dobiegał kresu osiemnasty miesiąc żałoby, Klorynda wezwała pewnego dnia Annę na swe pokoje, a ta wszedłszy zastała siostrę otoczoną dookoła stosami czarnych szat i welonów, które służebna wszędzie porozkładała; na łożu, na krzesłach i ławach, i nawet na podłodze, a których ponurość, niby mroczna chmura, osnuwała pokój.

Klorynda stała pośrodku komnaty w powłóczystej szacie najczystszej bieli,

mając u piersi przypiętą szkarłatną różę. Służebna klęczała przed otwartą skrzynią, w którą składała, jedno po drugim, żałobne szaty swej pani.

Anna przystanęła w progu, olśniona promiennym zjawiskiem pośrodku komnaty i szkarłatną plamą na tle bieli. Zrozumiała, że wszystko się zmieniło, że minął czas żałoby i ciszy. Gdy siostra jej chadzała w czerni, wydawała się niemal blada, teraz jednak, gdy stała w blaskach słonecznych, rumieniec krasił jej lica, piękne usta płonęły szkarłatem, a gwiazdy jaśniały w jej promiennych oczach.

— Wejdz, siostró Anno — rzekła. — Oto odkładam szaty żałobne i welony. Znasz może jaką biedaczkę, świeżo owdowiałą, której by się one mogły przydać? Szkoda, żeby tyle czerni pleśniało w skrzyniach, jeśli są biedne dusze, którym potrzebny byłby żałobny przyodziewek.

Zanim dzień minął, nie pozostał na widoku ani skrawek czerni. Czego nie rozesłano potrzebującym, spakowano w skrzynie i wyniesiono na strych.

— Nie będziesz już nigdy nosiła tych szat, siostró? — spytała kiedyś Anna. — Będziesz się stroiła w jasne barwy, jakby się nic nie stało?

— Bo tak też jest, jakby nic nie było — odrzekła jej Klorynda. — Teraz już pan i małżonek zażywa szczęśliwości wiecznej, szczęśliwości tak wielkiej, że ja poszłam w zapomnienie. Wydawało mi się z początku, że... on się może na ziemię oglądał, wspominając... Widziałby, że mu pozostałam wierna, szanując jego pamięć. Ale teraz, pewna jestem...

— tu urwała z cichym śmiechem. — Wszystko to zdawało mi się tylko

— dokończyła. — Być może, iż o niczym nie wiedział od chwili, kiedy padł martwy u mych nóg, a gdyby i tak było, biedny, zacny pan, szczęśna jego dola. Tak, będę nosiła jasne barwy! — zawołała, unosząc ramiona, jakby się z kajdan otrząsała — jasne barwy i różę, i klejnoty co najbogatsze, i wszystko, wszystko, co mnie może uczynić piękną.

Następnego dnia przybyła skrzynia z Londynu pełna najwspanialszych szat, a gdy w kilka dni później pani hrabina odjeżdżała do stolicy w swej pozłocistej kolasie, jej sług nie przystrajała już czarna ze srebrem żałobna liberia, ale bogaty, złotem szamerowany przyodziewek, piękna zaś pani jaśniała wśród tych wesołych barw niby świeżo rozkwitły kwiat.

Drzwi jej pałacu otworzyły się na nowo i cały gmach przyszykowano na jej przyjęcie. Jejmość Anna towarzyszyła swej siostrze w drodze powrotnej. Zatrzymywano się w najlepszych gospodach i wszyscy, których spotykano w

drodze, panowie czy prostacy, podziwiali wspaniałość pojazdu i bogactwo orszaku pięknej pani hrabiny.

— To młoda wdowa po hrabim Dunstanwolde — mówiono sobie

— ta, która tak zasłynęła w stolicy z urody i z dowcipu, jak żadna inna wielka pani. Mówiono, że wyszła za niego dla jego tytułu i bogactw, potem jednak przekonano się, iż potrafiła zapewnić małżonkowi szczęście, choć mu nie dała dziedzica. W żałobie chodziła po nim dłużej niż wdowy zwykły chadzać, teraz zaś wraca do świata.

Jejmość Anna czuła się niby przyboczna jakiejś monarchini, tak się im bacznie przyglądano w drodze, tak się tłoczono, by zajrzeć w okna kolasy, taki podziw i zachwyt malował się w oczach gawiedzi.

— Tobie nic to, że tyle oczu w ciebie się wpatruje. Przywykłaś do tego, że przyciągasz ku sobie ludzkie spojrzenia.

— Całe życie patrzono tak na mnie — odrzekła piękna dama — już prawie tego nie dostrzegam.

W pałacu powitano je uroczyście. Cała służba zgromadziła się w sieni, tworząc szpaler. Klucznica stała na czele, pobrzękując olbrzymim pękiem kluczy u pasa, i pierwsza przypadła do rąk pani. Ostatni witał swą panią mały pazik, Murzynek, szczerząc swe białe zęby i uśmiechając się szeroko spod swego pstrego turbana. Bałwochwalczo ubóstwiał swą panią na sposób pogański swego ludu. Do niego należało prowadzić na przechadzki pieski hrabiny, toteż podprowadził teraz ku niej oba, na srebrnych łańcuszkach: białego, kudłatego bolończyka i jedwabistego spanielka. Pani pochyliła się, aby pogłaskać pieski, chwając dbałość małego sługi, ten zaś, zaszczycony jej łaskawością, zdobył się na śmiałość, by przemówić.

— Wczoraj — powiedział, przewracając oczyma w zachwycie, aż błyskały olśniewające białka na tle czerni jego skóry — gdy wyszedłem z nim, jeden pan zatrzymał się i chwalił je bardzo. Wiedział, czyje to są pieski, bo pytał, kiedy jaśnie pani hrabina powraca do miasta. Był to piękny, młody pan z jasnymi włosami.

— Sir John Oxon, proszę jaśnie pani hrabiny. — Wyjaśnił najbliższy stojący lokaj.

Pani przestała głaskać pieska i wyprostowała się sztywno. Murzynek przeląkł się jej gniewu, tak mu się wydała wysoka i dumna, ona jednak nic nie

powiedziała i poszła dalej.

U szczytu schodów obróciła się do jejmościanki Anny.—Znów twój ulubieniec — rzekła z gorzkim uśmiechem. — Zamierza nas odwiedzać teraz, kiedy zostałyśmy same. Może do ciebie pragnie udać się w konkury?

*

* *

Modny świat stolicy z otwartymi rękami powitał piękną hrabinę, gdy wróciła do miasta. Ci, którzy byli na dworskim przyjęciu, kiedy po raz pierwszy po swym owdowieniu składała hołd królowej, szeptali sobie, że poniesiona strata nie przyczyniła się do przyćmienia jej niezrównanych wdzięków, które raczej jeszcze większym zajaśniały blaskiem.

Od tego czasu jakby nowe życie zaczęło się dla hrabiny Dunstanwolde. Jako żona hrabiego miała już mnóstwo wielbicieli, jako wdowa po nim była wręcz oblegana przez niezliczony orszak admiratorów. Fortuna i wdzięk, dowcip i uroda — wszystkie te zalety jednoczyły się w jej osobie, a gdyby nie jej królewska postawa i dumna wyniosłość, natarczywi wielbiciele i pochlebcy zatruliby jej życie, nie zostawiając chwili spokoju. Ona jednak dobrze wiedziała w swej przenikliwości, który młodzieniec szuka sposobu przyczepienia się do bogatej wdowy dla wyzyskania jej fortuny, która dama pragnie zdobyć rozgłos i wpływy za jej pomocą.

— Rzuciliby się na mnie jak sępy — mówiła do Anny — gdybym była dość słaba lub nierozumna, aby im na to pozwolić. — Płaszczą się i łaszą jak pieski, a ich pochlebstwa do mdłości mogą doprowadzić, ale ja się nie dam wziąć na lep pochlebstw i każdego potrafię na miejscu usadzić, nie szczędząc komu trzeba, gorzkich nauczek.

Czyniła to bez litości i z czasem uwolniła się od niepożądanych zauszników, tak że przyjęcia u niej należały do najwytworniejszych w stolicy, gdyż spotykało się tu najlepsze jedynie towarzystwo.

Jednym z najpierwszych, którzy podążyli jej złożyć hołdy, był jaśnie oświecony książę Osmonde, który zastał ją samą, w towarzystwie Anny, zawsze obecnej przy siostrze.

Gdy lokaj oznajmił jego przybycie, Anna zauważyła, że jej piękna siostra drgnęła z lekka, a gdy Anna podniosła na nią oczy, ujrzała widok, jakiego nigdy się nie spodziewała. Oblicze pięknej pani spłonęło delikatnym, przecudnym

rumieńcem, przydającym dziwnego blasku jej świetlistym oczom. Wstała, jak królowa wstaje na powitanie króla, a takiej słodyczy, z jaką na księcia spoglądała, nigdy Anna nie widziała w jej oczach. Coś dziewczęcego było w tym spojrzeniu mimo majestatu jej postawy, tkliwość jakiej nikt by się nie spodziewał po dumnej pani.

Książę Osmonde był rycerski i dworny jak zawsze. Nie zabawił długo, a w czasie swych odwiedzin poruszał tylko najogólniejsze tematy, Anna jednak w jego oczach wyczytała jakiś nowy wyraz, choć sama nie potrafiłaby powiedzieć, na czym polegała ta zmiana. Wydało się jej, że wyglądał na szczęśliwego, jakby z jego ramion spadł jakiś ciężar, który go dotąd przytłaczał.

Zanim odszedł, pochylił się nisko nad ręką Kloryndy i długo pozostał tak pochylony, tuląc jej dłoń do swoich ust z czułością, której nie usiłował zataić. I ręka ta nie została mu zabrana. Piękna pani stała, spoglądając nań z uśmiechem pełnym słodyczy przyzwolenia, a od jej lic biły ognie jak od łuny. Annę przebiegł dreszcz wzruszenia na widok tej dziwnej przemiany w siostrze. Oczu od niej nie mogła oderwać i wydawało się jej jakby nowy czar narodził się w pięknej pani.

— Wasza książęca mość odwiedzi nas jutro — rzekła hrabina. — Otośmy dwie samotne niewiasty — dodała ze swym promiennym uśmiechem — i obecność waszej książęcej mości byłaby nam tarczą wobec świata.

— Gdybym przychodził tylekroć, ile bym chciał — odrzekł — zbyt często może pojawiałbym się w progach waszej miłości.

— Nie, wasza książęca mość — odrzekła. — Prosimy przychodzić tak często, jak wam to jest miłe, a zobaczymy, komu pierwszemu się to znudzi. Nie nam, w każdym razie.

Ucałował powtórnie jej dłoń tym razem w uniesieniu, a gdy opuszczał komnatę, jego szlachetna twarz promieniała, jak oblicze nowo ukoronowanego króla.

Klorynda stała przez długą chwilę bez ruchu, jakby wsłuchiwała się w odgłos jego kroków, potem zaś podeszła do okna i tam stanęła wśród kwiatów, spoglądając na ulicę.

Było to na początku ciepłej pory, okna i balkony pełne były kwiecica, narcyzów i żonkili i innych wonnych, wiośnianych dzieci wiosny. Woń ich owiała piękną panią, a tchnienie wiatru niosło na komnatę słodki ich zapach. Pierś Kloryndy wzniosła się westchnieniem zachwytu. — Wiosna idzie — szepnęła zdyszczym głosem. — Nigdy jeszcze nie szła dla mnie jak dziś.

Jednak w chwili gdy wymawiała te słowa, los, dziwny zaiste los wwiódł w jej proggi innego jeszcze gościa. Drzwi otworzono szeroko i lokaj wywołał donośnie jego nazwisko:

— Sir John Oxon!

*

* *

Wielki świat miłujący plotki bogatą do nich znalazł materię w rozważaniu przysłych prospektów małżeńskich pięknej hrabiny Dunstanwolde. Bo że za mąż wyjdzie powtórnie, w to nikt nie wątpił, tylko zastanawiano się, kto będzie owym wybrańcem. Wczoraj uśmiechnęła się podobno do pewnego statecznego wodza, dziś znowu pewien markiz trochę dłużej z nią rozmawiał, to znów jakiś młody lord, znany z bogactw i urody; ostatecznie jednak żaden z upatrzonych kandydatów nie znalazł łaski w jej oczach.

Tylko o dwóch jej wielbicielach mówiono częściej niż o wszystkich innych, a szanse ich do pięknej rączki hrabiny były przedmiotem licznych sporów: jednym z nich był książę Osmonde, drugim sir John Oxon. Co stateczniejsi i rozumniejsi wśród światowego tłumu obstawali za księciem, twierdząc, iż wystarczy, żeby się oświadczył, aby został przyjęty. Dziwiono się tylko, że tak długo zwleka z oświadczeniami.

Może tak czyni pragnąc jej zostawić swobodę wyboru, jako że jest mężem szlachetnego serca, a ona, mimo swej statecznej postawy, jest przecież młoda, a wielbicieli ma tak wielu.

Wśród mniej statecznych jednak światowców, zapalczywych młodzieniaszków, tkliwych panienek i sentymentalnych dam dopatrywano się innych dla pięknej wdowy prospektów.

Sir John Oxon był jej pierwszą miłością — mawiano. — Bywał w domu jej ojca jako piękny młodzian w kwiecie lat, który musiał zachwycić pannę nawykłą do towarzystwa wiejskich tylko prostaków, hreczkosiejów. Ponoć miłowali się wzajem, ale że byli dumni oboje posprzeczaali się gorzko. Sir John wyjechał wtedy do Francji usiłując zapomnieć o pannie wśród uciech. Uległ nawet namowom swej matki i do innej panny szedł w konkury, a jejmość Klorynda zemściła się na nim za to, wychodząc za starego hrabiego Dunstanwolde.

— Nigdy nie raczyła mu darować — mawiano również. — Zbyt jest harda i wyniosła, aby mogła przebaczyć mężczyźnie, że ją dla innej porzucił. Ponoć

nawet za dni, kiedy szeptano sobie, że jest mu przychylna, podrywała sobie z niego, jak to zwykła czynić z mężczyznami. Nie jest damą czułego serca i słynie z ciętości w mowie. Jeszcze mu się da nacierpieć, zanim się nad nim ulituje, gdyby on jednak zachował cierpliwość i nie przestawał się o nią ubiegać, on, za którym szaleją wszystkie niewiasty, rzecz pewna, że zwycięży wreszcie wytrwałym miłowaniem, gdyż on był pierwszym jej wybranym.

*

* *

Wielkiej mu łaskawości nie okazywała, to prawda, a jednak zdawałoby się, iż obecnie korzystał w jej domu z większych przywilejów niż za życia jej małżonka, chadzał bowiem za nią w ślad i w jej progach ukazywał się często, choć nie wiadomo było czy na jej życzenie, czy też wbrew jej woli.

Zdarzyło się kilkakrotnie, iż się zjawił wtedy, kiedy księżę Osmonde gościł u pięknej pani, a wtedy jej oblicze, tak ciepłym promieniejące blaskiem, gdy Osmonde był blisko, ulegało dziwnej zmianie. Zdawało się blade i chłodne, a w oczach zapalał się dziki blask, jak w oczach tygrysy, czającej się do skoku.

Księżę dostrzegał jej nagłe poblednięcia, a że słyszał o jej dawnych dziejach, lekki chłód zwątpienia zwykł był w takich chwilach ogarniać jego szlachetne serce. Nie zwątpienia w nią, lecz w siebie samego z obawy, by go nie uczynił zaślepionym żar zbyt wielkiej namiętności; był bowiem rycerskim mężem i rozumiał, jak była młoda i jak żałosny był jej los, że się chowała bez matki, zdana tylko na opiekę ojca, rubasznego hulaki i pijanicy, który czynił z niej dla siebie i swoich kompanów zabawkę

Jej bladość na widok młodego sir Johna wyjaśniał sobie tym, iż go w młodości musiała miłować, a że sam, jako mąż wzniosłego ducha, dziwnie był skromny co do własnych zasług, sądził, iż pod pozorami chłodu, jaki temu młodzieńcowi okazywała, może tkwić gorące uczucie, którego piękna pani nie chce ujawnić.

Więc choć nie zrzekał się nadziei zdobycia jej ręki, nie śpieszył z oświadczeniami, starał się tylko widywać panią swego serca i wtedy wpatrywał się z całym żarem swego uczucia w jej cudne oczy.

Nawet rok cały nie upłynął, nim osiągnął swój cel, ale biednej Annie wydawało się, iż minęły wieki.

Biedna istota znów wychudła, jak za dawnych dni, poprzedzających

małżeństwo siostry z hrabią, i oczy jej znów stały się wielkie w pobladłej twarzy. Ona jedna wiedziała to, czego nikt nie wiedział, ale żadnym słowem ani znakiem nikomu, nawet siostrze, nie dała poznać, co jej było wiadome.

W tym dniu, kiedy lady Dunstanwolde odwróciła się od ukwieconego balkonu ku drzwiom, w których progu stanął sir John Oxon, Anna wyczytała coś takiego i w jej oczach i w jego spojrzeniu, co jej duszę zmroziło lękiem. W szafirowych oczach sir Johna ujrzała taki krwiożerczy ogień, a w źrenicach Kloryndy takie błyskawice, że było to jakby wypowiedzenie śmiertelnej walki. To samo odtąd dzień w dzień czytała w oczach obojga przy każdym ich spotkaniu. Od czasu wdowieństwa Kloryndy weszło w zwyczaj, iż Anna wszędzie musiała jej towarzyszyć w jej światowych obowiązkach i Anna dobrze wiedziała, skąd ta konieczność. Dzięki jej obecności udawało się Kloryndzie uniknąć towarzystwa tych, którzy jej byli niepożądani, a sir Johna najczęściej chciała uniknąć, choć to nie było sprawą tak łatwą.

Wiele się zmieniło w usposobieniu tak wesołego dawniej kawalera. Ostatnie lata nie oszczędziły mu gorzkich doświadczeń. Fortunę swoją roztrwonił, a nową przez bogatą żeniączkę zapewnić sobie nie zdołał, hulaszczę życie podkopało jego siły, stracił fantazję i animusz, drwiący jego dowcip nabrał posmaku goryczy, galanteria zaś nie miała już tego młodzieńczego uroku.

Ta zaś, którą, jak mu się zdawało, miłował przez krótką chwilę młodzieńczych uniesień, ta, którą z młodzieńczym zuchwalstwem odrzucił, wzniosła się jak feniks z popiołów i zajaśniała na zenicie ówczesnego wielkiego świata.

— Podły był zawsze — powiedziała kiedyś Klorynda i to była prawda. Gdyby czuła się bezradna i złamana rozpaczą, gdyby oczy swe za nim wyplakiwała, byłby nią wzgardził w jej żałości i upokorzeniu, ale Klorynda dzisiejsza, triumfująca, dumna i wspaniała, w rozkwicie swej niezrównanej urody, Klorynda, spoglądająca na niego ze wzgardą, napelniała go dziwną namiętnością, w której miłość jednoczyła się z mściwą i okrutną nienawiścią. Torturą był dla niego jej widok, okrążonej rojami wielbicieli, pociągającej wszystkie oczy ku sobie, otoczonej własnym dworem, nawet kiedy się pojawiła na dworze królewskim.

To raczej jej wypadałoby zabiegać o dawniej miłowanego młodzieńca, wypatrywać spojrzenia jego oczu, błagać wzrokiem litości. Tak zawsze dotychczas z innymi niewiastami bywało, ale tu oto znalazła się białogłowa, która go obrzuciła wzgardą. Wyśmiała go i odeszła ku bogactwom, honorom, tytułom i triumfom, podczas gdy on, mężczyzna, on, którego prawem było deptać i gardzić, zstępował w niedostatek i zapomnienie, tracąc część po części

wszystko, co zdobył w świecie.

Zdawało mu się, iż ją miłował do szaleństwa, miłując w niej uosobienie piękna i triumfu, których obojga pożądał namiętnie, a miotany wściekłym żarem zazdrości poprzysiągł, iż nie da się tak przez nią sromotnie oszukać i podeptać.

Świat mówił, że oto kawaler szalejący z miłości i do rozpaczy doprowadzony potęgą swych rywali i dlatego z dala od widoku swej ukochanej ani na chwilę nie może pozostać.

Słów, jakie zamieniali, nikt nie słyszał. Myślano, że szepcze jej do ucha zapewnienia miłości, gdy w tłumie się ku niej przechylał, ona zaś, mówiono, słów jego słuchała z twarzą niezmienną, a jeśli raczyła odpowiedzieć, nie obracała nań nawet oczu. Anna jednak zawsze znajdowała się dość blisko siostry, aby słyszeć każde słowo.

Raz na wielkim przyjęciu, ledwo księżę Osmonde odstał od boku pięknej pani, rozległ się tuż przy jej uchu znienawidzony szept.

— Czy wasza miłość zamierza gardzić mną do końca? — mówił głos. — Czy wasza miłość jest pewna, że zdoła wytrwać?

Nie odwróciła głowy i nic nie odpowiedziała. Usłyszała cichy śmiech.

— Wasza miłość myśli, że tak można po kimś deptać. Zbyt zuchwale sobie wasza miłość poczyna.

Piękna pani poruszyła koronkowym wachlarzem, spoglądając przed siebie niewzruszonym wzrokiem i dalej kroczyła, witając znajome twarze w tłumie uprzejmym skinieniem głowy.

— Mógłbym opowiedzieć dzieje różanego ogrodu, rozgłosić, co oglądał zegar słoneczny i na co padał blask miesiąca... — syczał głos.

Usłyszał, jak wciągnęła powietrze przez zaciśnięte zęby, ujrzał, jak jej biała pierś podnosiła się szybko, jakby dzika bestia miotała się w jej wnętrzu zamiast serca i znów zaśmiał się złowieszczo.

— Jego księżęca mość powraca — rzekła spokojnie. Wezbrała w nim nienawiść na myśl o tym dostojnym rywalu.

— Chwilami chciałbym zabić cię, pani — szepnął.

— Waćpan myśli, że w ten sposób lepiej osiągnie swój cel? — spytała

cichym, martwym głosem.

— Tobie, pani, udaremnię osiągnięcie celu... i jemu.

— A więc, uczyn to waćpan — syknęła—kiedyś, gdy się waćpanowi będzie zdawało, że go się boję.

— Za mała byłaby to kara — odpowiedział. — Są rzeczy gorsze.

Piękna pani podeszła na spotkanie księcia Osmonde, który zmierzał ku niej. Zwróciła się do niego z nowym dla niej poczuciem zależności, jakiego w swym całym życiu dotąd nie знаła. Głębokie oczy, których blask padł na nią, pełne były troskliwego przejęcia.

— Czy wasza książęca mość zechce mnie odprowadzić do karocy? — spytała. — Źle się czuję. Czy mogę odjechać? — W głosie jej brzmiała prośba, pełna słodyczy.

Wzruszony tą prośbą ponad wszelkie słowa i jej bladością, podał jej ramię i podtrzymując ją, szybko wywiódł z sali.

Jejmość Anna źle spała tej nocy, wiele mając do rozważenia, jak często w tych czasach bywało. Gdy wreszcie zamknęła oczy, sen jej był przerywany i niespokojny, a około północy zbudziła się nagle wśród ciemności, jakby doleciał ją jakiś szmer. Może i był szmer, ale gdy się ocknęła, w pokoju panowała cisza, tylko na krześle przy jej łóżku siedziała piękna Klorynda w powłóczystej szacie z rękoma splecionymi na kolanach i błędnym wzrokiem.

— Siostro! — zawołała Anna zrywając się w swej pościeli. — Siostro!

Klorynda z wolna obróciła ku niej głowę i Anna wyczytała w jej oczach zgrozę i rozpacz niewymowną, mękę ponad siły.

— Połóż się, Anno — powiedziała. — Nie bój się, to tylko ja, tylko ja — dodała z goryczą. — Jest tu się czego bać?

Anna skuliła się na poduszkach i zakryła twarz dłońmi; wiedziała, dlaczego siostra tak mówi.

— Nigdy nie myślałam, iż nadejdzie czas — rzekła Klorynda po chwili — kiedy u ciebie będę szukała pociechy. Naszło mnie coś... oszaleję może... Tej nocy, w samotności mojej komnaty zachciało mi się mieć przy sobie żywą duszę... Niepodobne to do mnie, powiedz, Anno!

Anna przysunęła się bliżej skraju łoża i wysunąwszy rękę, nieśmiało dotknęła jej splecionych dłoni: były zimne jak marmur.

— Pozostań przy mnie, siostró — prosiła — Nie odchodź. Co mam ci powiedzieć?

— Nic — brzmiała odpowiedź. — Nic tu rzec nie można. Tyś zawsze była niewiastą. Ja... nigdy, aż do tej chwili.

Wstała, i ręce pod głowę zarzuciwszy, jęła się przechadzać niespokojnym krokiem tam i z powrotem po cichej komnatce.

— Nieszczęsna ze mnie istota! — zawołała. — Po co się urodziłam? I znów chodziła tam i z powrotem od ściany do ściany niby dziki zwierz zamknięty w klatce.

— Czemu na ten świat przyszłam? — zawołała, szarpiąc białe koronki na swej piersi. — Czemu taka się narodziłam i nikogo nie było, co by czuwał nade mną w ciągu tych wszystkich szalonych lat? Taką otrzymać od losu postać... i być rzuconą na łup wilkom!

Obróciła się ku Annie z wyciągniętymi ramionami i tak stała, niby jakiś posąg z wielkimi kroplami perlanych łez, spływających wzdłuż twarzy. Z urywanym szlochem chwytała oddech.

— Wilkom mnie rzucono — szlochała — by mnie ścigały i ślady ich zębów pozostały, i nic blizn nie zatrze. Och, czemuż to serce — zawołała, w pierś się bijąc — nie pozostało jak przedtem kamienne? Nie serce niewiasty, nie, lecz młodej wilczycy. Czemu?

Anna wybiegła z łóżka i rzuciła się ku niej tuląc się do jej kolan i gorzko szlochając.

— Biedne drogie serce — szeptała wśród łez. — Biedne, najdroższe serce.

Jej dotknięcie, jej słowa, jakby przywołały Kloryndę do oprzytomnienia. Drgnęła, niby zbudzona ze snu i wyprostowała się sztywno.

— Oszalałam — rzekła. — Cóż czynię?

Przesunęła ręką po czole i roześmiała się krótko, nieprzytomnie. — Oto — dodała — oto co znaczy być niewiastą, ulec słabościom swym i biec do innych niewiast, i gadać, i łzy wylewać. Tak, po tych znakach poznaję, że jestem tylko niewiastą.

Zacisnęła zęby a jej oczy, niby oczy zgonionej i w łańcuchy okutej tygrysy, zapłonęły migotliwym blaskiem.

— Ale nie ma takiego, który by mnie uderzył — dodała przez dziko zacisnięte zęby. — Nie ma takiego! Wstań, Anno — rzekła, pochylając się nad nią. — Wstań, bo i ja klękne, a trzeba bym się trzymała mocno na nogach.

Uczyniła ruch, jakby zamierzała opuścić komnatę bez dalszych wyjaśnień, ale Anna czepiała się wciąż jej kolan. Znów siostra budziła w niej lęk, ale jej miłość, pełna bezmiernego współczucia, mocniejsza była od lęku.

— Pozwól, bym ci towarzyszyła — zawołała. — Pozwól, żebym się położyła blisko, w gotowalni, żebym była przy tobie na każde zawołanie.

Klorynda położyła dłonie na jej ramionach, i pochyliwszy się, złożyła na jej czole pocałunek, czego nigdy prawie nie zwykła czynić.

— Niech ci Bóg błogosławi, biedna moja Anno — rzekła. — Wierzę, że i na mym progu leżałabyś całą noc, gdyby było trzeba, ale i tak za wiele już sobie pozwalałam na kaprysy niewieście. Muszę wracać do siebie i pozostać sama. Myśli me tutaj mnie przygnały. Chciałam tylko i posiedzieć i na twoje zacne liczko spojrzeć, siostró, nie zamierzałam cię zbudzić. Wracaj do swej pościeli.

Nie chciała ustąpić i sama Annę do łóżka z powrotem zaprowadziła, sama ją kołdrami otuliła, a potem stała jeszcze chwilę przy jej łożu, z dziwnym uśmiechem, rękoma oplótłszy swą białą szyję.

— Kiedy byłam maleństwem nowo narodzonym — powiedziała — miałam wąły oddech. Czy nie lepiej by było, żebym umarła? Znalaziono mnie ponoć pod zimnymi zwłokami matki. Jaka szkoda, że przed wydaniem ostatniego tchnienia dłonią ust mi nie zasłoniła, nie stałoby się wtedy to... — tu znów zaśmiała się krótko i dziko... — nie spędziłabym tej nocy bezsennie!

Z tymi słowami odeszła.

*

* *

W tej dziwnej duszy były takie głębie i otchłanie, których mierzyć nie można było zwykłą miarą. Jedną tylko rzecz mogłaby zgiać tę hardą duszę, a tą byłby wszechogarniający żar ogromnej miłości — nie jakiś błahy, tkliwy sentyment, ale uczucie potężne, jakie w jej sercu mógł zbudzić tylko ktoś mocą i głębią jej równy, ktoś we wszystkim jej dorównujący.

— Samotna byłam, samotna przez całe życie — rzekła raz lady Dunstanwolde do swej siostry i prawdę powiedziała.

Nawet w dzieciennych latach czuła już swoją odrębność od całego otaczającego ją świata. Zanim doszła do wieku rozumu, wiedziała, że tkwi w niej moc i hart większe niż w kimkolwiek z ludzi dokoła. Mocy tej używała w tych dniach na samowolną tyranję i tak czyniła również i później. Zawsze wszystkimi rządziła według swej woli. W pierwszych latach dzieciństwa rządziła wśród dziewczek służebnych, masztalerzy i pacholków, a jednak, może dla jej żywości i dowcipu, a może dla urody, prostacy ci znosili chętnie jej humory i lubili ją na swój sposób. Rządziła potem swym ojcem i jego kompanami, a ci uwielbiali ją i pieścili, ani jednego wśród nich jednak nie znalazła, do którego zwrócić by się zapragnęła serdeczniej, żadnego z nich za przyjaciela nie uważała, na żadnego inaczej jak ze wzgardą nie spoglądała w skrytościach swej duszy.

Istota ludzka, tak nadzwyczajnie przez naturę obdarzona, musiała czuć się samotna, wśród ludzi, na mniejszą od niej przykrojonych miarę, niczym bogini olimpijska wśród Pigmejów.

Nie miała przyjaciół, bo nikt jej nie dorównywał. Dla Anny czuła litość, wzruszona jej upośledzeniem. John Oxon spodobał jej się swą żywością, urodą i animuszem, dla hrabiego Dunstanwolde żywiła wdzięczność i przywiązanie, ale nikt głębiej nie poruszył jej serca.

W dniu, kiedy przyjęła oświadczyzny hrabiego i ten przedstawił ją swemu krewniakowi poczuła, napotkawszy spojrzenie głębokich i władczych oczu nieznanomego magnata, że to jedyny mężczyzna, który mógłby mieć moc nad nią i mógłby objąć panowanie nad jej duszą.

Nie pomyślała tego, jak sentymentalna panna: objawiło się jej to w nagłym, burzliwym porywie serca, w nagłym, do lęku podobnym olśnieniu. Oto był człowiek na jej własną miarę, oto duch równy jej mocą, oto ten, który byłby ją całą przeistoczył, gdyby go choć o rok wcześniej poznała.

W dniach swego małżeństwa z hrabią czytała w szlachetnym obliczu Osmonde'a coś, czego nikt inny by nie wyczytał, coś, nad czym on nakazywał sobie władzę, a ta powściągliwa dostojność napełniała ją żarliwszym tylko, wdzięczności pełnym uczuciem.

Gdyby był łotrem—mówiła sobie—uczyniłby me życie gorzkim bojowaniem, ale on mnie miłuje, nie siebie, i dlatego stoi na straży mojej czci.

Teraz czytała ten sam żar w jego oczach, ale już nie hamowany. Wzrok jego

napotykał jej oczy, już nie kryjąc tego płomienia, którym pałała jego wzniosła dusza, ona zaś była dziś wolna, wolna, by go móc przyjąć! Jedna tylko gorycz pozostała w jej sercu: oby był przyszedł w porę... wielki Boże! Czemu nie został jej zesłany w porę?

W porę czy nie w porę, dość, że przyszedł, a wzajemny żar ich serc nie powinien pójść na marne. Tej nocy, zanim poszła do komnatki Anny, biegała po swoich pokojach łamiąc ręce w rozpacz i po tysiackroć to sobie powtarzając. Rzuciła się na kolana, płacząc krwawymi, palącymi łzami.

On jest tak szlachetny — szlochwała — tak szlachetny i tak go za to ubóstwiam... a ja taka byłam niegodziwa...

Wśród tej udręki nie dopisały jej siły po raz pierwszy w życiu. Do tej pory nie знаła owych słabości, właściwych jej płci, ale oto zbudziła się w niej niewiasta i dlatego załamała się w sobie i pobiegła do komnatki Anny, sama nie wiedząc, jakiego tam szuka ratunku. Był to niewieści postępek, a zrozumiała to dopiero, ujrawszy Annę, szlochającą u jej kolan. Niewiasty, płaczące i wiodące rozmowy po nocach, zwykły zwierzać się sobie wzajem ze swych tajemnic...

I tak się stało, że Anna już nigdy nie ujrzała w oczach siostry owej męki, jaką wyczytała wówczas w swej komnacie o północy. Piękna dama postanowiła ani chwili nie zaznać samotności. Następnego dnia wydała wspaniałe przyjęcie, na drugi dzień bankiet wystawny, na trzeci — sama wybrała się na wielki bal. Wyjeżdżała na miasto w najbogatszych ekwipażach, przechadzała się po promenadzie, otoczona rojem swych wielbicieli, darząc wszystkich uśmiechami, zachwycając wszystkich czarującym dowcipem swych odpowiedzi. Nigdy nie była tak zachwycająca, nigdy tak uprzejma.

W tym czasie kupiła sobie najdzikszego, ale i najpiękniejszego konia, jakiego kiedykolwiek widziano. Wspaniały to był zwierz, ale tak nieposkromiony, że pachołkowie bali się do niego dostąpić, a handlarz, co go sprzedawał, choć łotr, widocznie jednak ruszony sumieniem, wyznał pięknej damie, iż koń ów, jako że dwóch masztalerzy już zabił pod sobą, przez uprzedniego swego pana na zastrzelenie został skazany, a jeśli jest jeszcze żywy, to tylko dla swej niezwykłej piękności, dla której mu darowano jeszcze kilka dni łaski. Przypadkiem dowiedziała się o tym koniu hrabina Dunstanwolde i obejrawszy go, kupiła bez targu.

— Oto bestia, jakiej mi trzeba — odrzekła, a w oczach jej zamigotały błyskawice. — Niech ją przekonam, że znajdzie się od niej mocniejszy.

Do ujeżdżenia ognistej bestii potrzebny był ciężki harap, a nie mogąc znaleźć

gotowego, kazała sobie taki sporządzić, bardzo mocny, z rączką umyślnie obciążoną ołowiem.

Gdy po raz pierwszy na owej wspaniałej bestii pojechała do Hyde Parku, pierwsze jej utarczki z ognistym wierzchowcem były powszechnym widowiskiem. Byli tacy, którzy przekupywali jej stajennych pachołków, żeby podawali wieść, kiedy pani hrabina tego Szatana (bo tak się zwał ów koń) dosiąść zamierza, aby mogli sami w porę znaleźć się w parku, żeby na ten widok popatrzeć. Modni kawalerowie szli o zakłady, czy koń zabije panią, czy też pani konia, i z nieopisaną ciekawością przyglądali się jej harcom.

— Słusznie nazwano go Szatanem — powiedział jeden z patrzących — gdyż naprawdę to raczej diabeł niż koń. A gdy dęba staje i cofa się, i rzuca łbem, ukazując zęby, oczy jego płoną takim samym ogniem, jak jej oczy, jakby walczyły z sobą dwa szatany. Ona nie ustąpi, to pewne, ale i on jakby poprzysiągł sobie, iż nie da się zwyciężyć.

Gdy po raz pierwszy po zakupieniu konia podprowadzono go pod pałac, Anna przelekła się i twarz jej stała się szara jak popiół. Żałowała w duchu, że książe Osmonde wyjechał z kraju, wiedziała bowiem, że gdyby był w pobliżu, umiałby ostrzec hrabinę mądrym i rozważnym słowem i że jego jednego by usłuchała, gardząc napomnieniami wszystkich innych. Gdy Anna odważyła się sama przemówić, Klorynda zmierzyła ją surowym spojrzeniem.

— Przez całe życie jeżdżę tylko na koniach ostrych i narowistych

— powiedziała — a to dla przyjemności, jaką mi sprawia ich przy-krócanie. Gdyby mnie ten miał zabić, koniec byłby walki czy to z ludźmi, czy z końmi. Umarłabym przynajmniej w samym kwiecie lat, a ci, którzy o mnie zechcą wspomnieć, jedno tylko zachowają w pamięci, iż mnie miłowali.

Ale koń jej nie zabił, ani ona nie pozbawiła go życia. Dzień po dniu sama szła do stajen, kiedy go miano wyprowadzić, i sama go nieraz kielźnała, taki lęk bowiem wzbudzał dziki rumak w pachołkach. Potem jechała na nim w stronę Hyde Parku, a od jej pałacu stał już po obu stronach ulicy szpaler ciekawych, którzy podążali za nią aż do bram ogrodu i z pełnym grozy podziwem przyglądali się pięknej pani, która dumna i wyprostowana siedziała na wspaniałej bestii, całej mokrej od potu, toczącej skrwawioną pianę z pyska, bestii z oczyma tak do jej oczu podobnymi, tylko że w jej oczach pałał ogień triumfu, oczy zaś konia płonęły żarem buntu zwyciężonej istoty.

— Dobrze mi to robi — mówiła piękna pani do Anny. — Zanadto już stałam się zniewieściała, a teraz potrzebna mi jest cała siła, na jaką mnie stać. Walka z

diabłem tkwiącym w tej bestii pobudza we mnie wszystko, co zahamowałam w sobie od chwili, gdy się stałam małżonką nieboszczyka hrabiego. Szatański opór tej bestii pobudza we mnie całą pasję z tych dni, kiedy to klęłam i szalałam, i biłam wszystkich, którzy mnie do gniewu pobudzali. Ogarnia mnie furia i chciałabym kląć i krzyczeć na niego, gdyby wypadało, ale że to nie przystoi, zaciskam zęby i klnę, i krzyczę w swej duszy, choć nikt nie słyszy.

Pomiędzy tymi, którzy ani dnia nie chcieli opuścić, żeby nie widzieć pięknej pani ujeżdżającej Szatana, jeden był kawaler najwytrwalszy, a był nim sir John Oxon. Przystawał jak najbliżej i z oka nie spuszczał walki, a w źrenicach jego żarzył się tajony ogień, jakby wyniki tego pojedynku miały dla niego jakieś szczególne znaczenie. Czasem usta zagryzał aż do krwi, czasem rumieniec zalewał jego twarz, to znów pokrywała ją śmiertelna bladość, a razu pewnego widziano, jak nagle rękę położył na gardzie swej szpady i tak ją trzymał, choć jasne było, że szybko się opamiętał, gdzie się znajduje.

Co zaś do pięknej amazonki, która zazwyczaj tak starannie unikała z nim spotkania: przy tych okazjach, kiedy walczyła z koniem, odczuwała jakąś złowieszczą radość, że on patrzył. Było to tak, jakby walka między nimi samymi się toczyła. On, wiedząc to w głębiach swej marnej duszy, chwilami pragnął z dziką żądzą, żeby się bestia na nią zwała, na śmierć ją miażdżąc lub też na ziemię ją zrzuciwszy, kopytami jej cudną twarz podeptała. Pogarda, jaką mu okazywała piękna pani, wdzięki jej upajające aż do szału, uroda jej promienna i coraz promienniejsza w dziką furie przeistoczyły jego miłość. Zawsze był łotrem, od najmłodszych lat. Nawet kiedy był chłopcem, dziwili się starzy, w swych grzechach zatwardziali zbereźnicy, samolubnej bezlitości jego serca, czarności jego młodej duszy. Mawiali już wtedy, iż nie widzieli jako żywo, żeby ktoś z tak lekkim sercem popełniał lotrowstwa, albo żeby ktoś tak wiele dla siebie potrafił brać, tak mało dając w zamian. I zaiste, w miarę jak czas płynął, dawni jego kompanowie, sami o dość wytartych sumieniach, jęli się z wolna od niego odwracać i rzadziej z nim przestawać. Wmawiał w siebie, iż to dlatego, że fortunę przetrwonął i ścigany był przez wierzyieli. Może była w tym cząstka prawdy, ale tylko cząstka.

— Przebóg — mówili dawni jego znajomkowie siedząc przy kielichach — toż żaden z nas nie zdobyłby się na takie zatracone postęпки jak on, choć przecież niejedno się ma na sumieniu. A on nawet się nie zawaha, jakby w tym zła nie widział.

Były czasy, kiedy mógł żyć bez owej pięknej pani, którą prześladował, ale dziś, im więcej ją ścigał, tym potężniej rozpalala się dzika jego namiętność, tym straszliwiej szalał w nim ogień żądzy, tak że nienawiścią był raczej ów żar niż

miłością. Miotał się przeto w swym łożu bezsennie i przeklinał los, wspominał szalone dni młodości i zgrzytał zębami jak potępieniec. Wiedział z jak twardego była ulana spizu Klorynda, wiedział, iż choćby go wtedy miłować przestała, nim on ją zdradził, byłaby mu do śmierci dochowała wierności. A on wszystko to odrzucił dla jednej chwili chciwości i głupoty, teraz zaś, kiedy w jej ręku było wszystko i bogactwo, i stanowisko, i uroda, teraz czarne jej oczy, ze wzgardą na niego spoglądające, paliły go, niczym ognie piekielnej otchłani.

Dzika bestia, którą hrabina usiłowała okiełznać, wydawała mu się równie żądna zguby owej pięknej, jak on sam. Na próżno jednak piekielny rumak miotał się i rzucał, ona trzymała się w siodle, jakby ze spizu wykuta, jakby dłonie jej były z żelaza, a ramiona ze stali. Tak mocno trzymała bestię przy pysku, że się szarpnąć nie mogła bez narażenia na piekący ból, okładała ją tak gęsto ciosami, że koń był jak oślepiiony. Pewnego razu, gdy Szatan miotał się w najlepsze, a sir John Oxon stał opodal, hrabina spojrzała mu w oczy, a kawaler w głos zaklął.

— Nie zwalczy go wasza miłość — powiedział podchodząc tak blisko, by go słyszała.

— Chyba że on mnie zabije — odrzekła — a nie tak łatwo mu to przyjdzie.

— Zabiłbym waszą miłość, gdybym był w jego skórze — powiedział sir John.

— Gdyby waćpan mógł! — brzmiała jej odpowiedź. — Ale on nie może, z wędzidłem w pysku i z mą ręką na cuglach. A nawet gdyby mnie zabił, nie on byłby zwycięzcą. Byle łotr zabić potrafi. To bestia nieokiełznana, a ja jestem z tych, którzy mają władzę bestie zwyciężać. Obaczy waćpan, jak go ujeżdżę.

I tak spoglądał na jej zapasy dzień w dzień, wraz z tłumami innych widzów, aż wreszcie zaświtał w jego mózgu strach przed ową surową, a nieubłaganą władczynią.

— Na Boga! — wołano w tłumie. — Bestia ustępuje! Jej opór złamany! — A John Oxon zaklął przez zaciśnięte zęby i pobladł śmiertelną bladością.

Od tej chwili pewne było zwycięstwo pięknej amazonki. Pojedynek sił coraz mniej się stawał uporczywy; bestia, skoro już pojęła sens nauki, dała ją sobie wdrożyć do końca. Wspaniały był to rumak, ognisty i dumny. Nauczony posłuszeństwa nie miałby sobie w kraju równego, a posłuszeństwo to wdrażała mu piękna pani dzień po dniu. Opanowawszy go, próbowała z nim różnych chodów; to truchtem, to rysią, to w cwał, to szalonego kłusowania. Na każde dotknięcie cugli stał się niezwykle czuły.

I ci, którzy przychodzili podziwiać walkę, podziwiali teraz zwycięstwo. O niczym innym nie mówiono na wszystkich modnych przyjęciach w całej stolicy. Były subtelne damy, które twierdziły, że nie miałyby serca tak bić konia. Mówiły przy tym, że na pewno hrabinie wcale z tą walką nie było do twarzy, że musiała być zaczerwieniona od wysiłku i włosy się jej pewno rozwiały, że takie sztuki dobre są dla silnych, brutalnych mężczyzn i wierzyć nie chciały, gdy panowie zapewniali, że nigdy piękna pani nie wyglądała tak cudnie i nie wzbudzała takiej admiracji w sercach patrzących, jak właśnie w czasie owej walki z dzikim rumakiem.

Następnego dnia po owym pierwszym zwycięstwie nad koniem, gdy hrabina wracała do domu na swym rumaku całym spienionym choć już spokojnym, zdarzyło się coś, co dało znów miastu nowy powód do rozmów.

Księżę Osmonde bawił we Francji i nie spodziewano się jego powrotu wcześniej jak za dwa tygodnie, ale owego ranka, kiedy hrabina jechała w cieniu alei, śledzona wzrokiem licznych ciekawych, przypatrujących się, czy koń nie wróci jeszcze do swych dawnych narowów, ujrzano nagle zbliżającego się jeźdźca pędzącego w cwał, a kędy przejeżdżał, uchylały się kapelusze w niskich ukłonach i zdziwienie malowało się w oczach przechodniów. Słyszając zdziwione okrzyki, sir John Oxon obejrzał się i zobaczył tuż obok siebie przejeżdżającego księcia Osmonde. Słońce jasno przyświecało, a park cały jaśniał weselem świeżej zieleni drzew i trawników.

Klorynda czuła, jak ciepło tego blasku przenika całą jej istotę. Baczną uwagę miała zwróconą na konia, ale czuła, że ten idzie posłusznie; wiedziała, że został zwyciężony i że triumf jej oglądał ten człowiek, który jeden zrozumiał znaczenie owej walki. Radość tej myśli tak ją przepelniała, że jechała pełna animuszu, gdy nagle usłyszała tętent kopyt za sobą, a obejrzawszy się, spłonęła jasnym szkarłatem i czuła, że rumieniec ten ogarnął ją płomieniem aż po szyję i ramiona pod aksamitem szaty; nie kto inny bowiem, tylko sam księżę Osmonde ją doganiał i zrównawszy się z nią, odkrył głowę w dworskim ukłonie.

Jakże płonęły jego oczy, gdy na nią spojrział! Słów znaleźć nie mogła pod tym spojrzeniem; toteż on przemówił pierwszy, ale głos jego ledwie był dosłyszalny, jakby pod wpływem ogromnego wzruszenia.

— Wasza miłość... — zaczął i nagle z porywem niewymownego uniesienia: — Kloryndo, ukochana moja!

Oto nadeszła chwila, w której już nie umiał milczeć dalej, zrozumiała to i serce porwało się w jej piersi. Ani słowa jednak nie rzekła. Cudne jej oblicze, płonące i mieniące się przed jego oczyma, było dostateczną odpowiedzią.

— Gdybym się nie bał spłoszyć konia waszej miłości — mówił książę — pochwyciłbym cudną twoją dłoń, pani. W szalonym pośpiechu przygnałem tu z Francji, dowiedziawszy się, że wasza miłość dzień w dzień naraża swe życie, tak drogie mi do szaleństwa. Przebóg, najmiłsza, okrutna, nieubłagana... chyba wiesz!

— Tak, tak — mówiła zdyszczanym szeptem — Wiem.

— A jednak na takie się narażasz niebezpieczeństwa, wiedząc?

— Spójrz, książę — rzekła z promiennym uśmiechem, a oczy jej zabłyśły od łez — jak go zwyciężyłam! Już po wszystkim.

— Tak, o pani, zwyciężyłaś go, zwyciężyłaś nas wszystkich — odrzekł. — Ale niech cię Bóg strzeże, żebyś mnie miała na taką znów skazywać mękę.

— Wasza książęca mość — wyjąkała. — Już nigdy!

— Niech mi wasza miłość raczy wybaczyć moją szaloną mowę — rzekł książę. — Nie tak zamierzałem oświadczyć swe uczucia, ale byłem jak oszalały, gdy mnie doszła ta wieść, a że obowiązki nie pozwalają mi wrócić jeszcze na dobre, wróciłem na chwilę, wiedząc, że jeśli serce waszej miłości zmięknie na gorącą prośbę, wyrzeknie się wasza miłość tej straszliwej igraszki.

— Wyrzekam się — odrzekła szeptem.

— Ubóstwiam cię, ubóstwiam — odpowiedział, a oczy ich spotkały się, zatoneły w bezmiernej tkliwości.

I tak mknęli w cwał, bok przy boku, wymieniając spojrzenia wymowniejsze od słów, a patrzący czytali w jej promiennej twarzy i w jego radosnym uśmiechu odpowiedź na pytanie, które zadawali sobie tak często.

Jaśnie oświecony był wybrańcem jej serca, nikt inny. Jak słońce przebija chmury, tak miłość ich jaśniała poprzez osłony światowych konwenansów. Nie wiedzieli oboje, że ludzie sobie szepcą, że patrzą na nich, a gdyby nawet widzieli, niczym by to było dla nich.

— Spójrzcie, wasza książęca mość — rzekła pani, gładząc szyję rumaka. — On wie, że wyście przybyli i już jest spokojny.

Razem podjechali przed jej pałac, na oczach wszystkich, a gdy minęli sir Johna, ten dosiadł swego konia i kłusem odjechał ze zbielełymi ustami i z oczyma pełnymi szalu.

— Niech mi wasza miłość pozwoli się w swe progi odprowadzić — mówił książę do pięknej pani — bym u jej stóp mógł uklęknąć i serce swe przed nią otworzyć, jak marzyłem. Jutro muszę wracać do Francji, bo nie skończyłem tam jeszcze swego posłannictwa.

Odprowadził ją, a gdy razem wstępowali do wielkiej sieni, lokaje skłonili się nisko przed księciem, wiedząc, że witają swego przyszłego pana.

Razem weszli do sali palisandrowej, pięknej, wielkiej komnaty, gdzie wisiały cenne obrazy, gdzie słońce przyświecało jasno, a kwiaty w wazonach napełniały wonią powietrze, a gdy lokaj zamknął drzwi za obojgiem, obrócili się ku sobie i padli sobie w ramiona, i długo tak stali, w objęciach się trzymając, a serca ich biły z taką mocą, iż zdawało się im, że chyba nigdy dwoje serc człowieczych takim nie było uniesieniem.

— O miłości moja, niebiańska miłości moja! — zawołał książę.

— Tak długo czekałem na tę chwilę, całe wieki!

Jak w swoim czasie hrabia Dunstanwolde znalazł przyczynę do podziwu jej łagodności, tak i on, wybranek jej serca, zdumiewał się wielką słodyczą teraz, gdy dane mu było oświadczyć swe uczucia. Wydawało mu się, że chyba śni, mając ją tak blisko przy swym sercu, w całej jej krasie niezrównanej, czując jej cudne ramiona oplecione dokoła swej szyi, spoglądając w głąbie jej oczu, wzniesionych ku niemu.

— Od pierwszej godziny, kiedy na was oczy podniosłam — mówiła piękna — wyście byli moim panem. I ból okrutny przeszył me serce, żeście się zjawili o godzinę za późno, bo gdyby nie to, już byłam z hrabią po słowie, wiedziałam, jakże dobrze wiedziałam, że serca nasze byłyby razem, nie jako dwa serca, ale jak jedno.

— Jak i teraz! — zawołał.

— Jak i teraz, — powtórzyła.

— A w owej chwili, kiedy róża z twego wianka u nóg mych upadła i kiedym ją wziął do ręki — mówił — wiedziałem, że oto spotkałem swe szczęście. Ale kiedy stanęłaś przede mną przy boku hrabiego i nasze oczy się spotkały, nie mogłem pojąć, uwierzyć nie mogłem, że to szczęście zostało mi zabrane.

I tak, w ramionach ją trzymając, jął wspominać minione dni, opowiadał, jak świadomy niebezpieczeństwa trzymał się z dala, wymawiając się od odwiedzin w domu krewniaka, męka bowiem widywania jej zbyt często była dla niego ponad

siły. Mówił jej o tym, jak godzinami się w nią wpatrywał, choć nie wiedziała o jego obecności i ani się domyślała jego męki. Mówił, jak czasami o północy przechadzał się po ulicy pod jej oknami, spać nie mogąc w swej rozpaczycy i jak wróciwszy do domu, nadal nie znajdował spokoju tylko wzmożoną mękę.

— Czasami — mówił — nie śmiałem spojrzeć w twe oczy z lęku, by mnie moje oczy nie zdradziły, ale teraz wolno mi patrzeć w głębiny twej duszy, bowiem minęły ciemności nocne i radość nadchodzi o świcie.

I to mówiąc, dłonią tak leciuchno przesuwiał po jej licach i po jej jedwabistej koronie włosów, jakby dotykał maleńkiego dziecka, w oczach jej bowiem ujrzał to spojrzenie, które w ramionach umiłowanego człowieka miewa każda chyba prawdziwie miłująca niewiasta ufne spojrzenie dziecka, pełne bezgranicznej słodyczy, oddania i wiary.

Ale gdy tak oczy ku niemu wznosiła, nagle głowa jej opadła ciężko na jego pierś i twarz swą skryła, mocniej jeszcze ramionami jego szyję oplatając.

— Och te szalone, szalone dni przeszłości! — zawołała. — Szalone, szalone dni.

— Minęły dawno, najmiłsza — odrzekł swym głębokim głosem, a myślał, iż mówiła o szaleństwach swych najmłodszych lat — a dni radości dopiero nadchodzą.

— Tak, tak! — zawołała, tuląc się do niego mocniej, ale z dreszczem. — To wszystko było, a radość... radość... nadchodzi.

*

* *

Książę Osmonde wyjechał znów do Francji dla dokończenia swego posłannictwa, a wszyscy wiedzieli, że gdy wróci do kraju, rozpoczną się przygotowania do jego ślubu z piękną hrabiną Dunstanwolde. Nie zamierzano zwlekać z tym związkiem, wiadomo było bowiem, że pani hrabina już myśli o wyprawie. W sieniach jej pałacu pełno było od samego rana złotników, sukienników i koronczarek. Kupcy ze swymi pachółkami wnosili błamy brokatów, tyftyków i atlasów. Widywano kolasę hrabiny zatrzymującą się przed ich składami, a tak się jej zakupami interesowano, że modne damy przybywały w tych samych co ona godzinach, żeby tylko zobaczyć, co też pani hrabina wybierze. W pałacu także wielkie było poruszenie; służebne ustawicznie stroje pani przeglądały i przekładały, lokaje opatrywali swe liberie, pomni, że wkrótce

staną się sługami słynnego księcia, mały zaś Nero, Murzynek, puszył się jak paw w swym nowym turbanie, dumny, że wkrótce będzie miał naszyte na liberii korony książęce.

Modny świat podziwiał promiennosc oblicza hrabiny, które teraz jaśniało jak słońce. — Pokochała nareszcie — mawiano — i stąd ów blask i rozkwit tej niezrównanej urody.

I zaiste, było coś w jej obliczu i głosie, coś tak cudnego, że Anna omal nie płakała z zachwytu. Rzekłbyś, iż zalew szczęśliwości zmył z niej wszystko, co było wyniosłością i chłodem. Oczy jej straciły wyraz drwiącego wyzwania, jakie zwykła rzucać światu, a uśmiechały się tylko jakby do jakichś najmilszych i utajonych myśli.

Pewnego wieczoru, gdy wybierała się na bal, strojna w białosrebrne brokaty i w diamenty Dunstanwoldów, którymi była obsypana niby iskrzącymi się, wielkimi kroplami rosy, tak była cudna i nieziemska, że Anna, olśniona blaskiem tej jaśniejącej bieli, na kolana przed nią padła i rękę jej do swych ust uniosła.

— O, siostró — zawołała. — Wyglądasz jak duch czysty, zstępujący z niebios, jakbyś nic wspólnego z ziemią nie miała, jakby twe oczy niebo oglądały i Tego, co w nim króluje.

Piękne oczy Kloryndy zajaśniały jak gwiazdy zaranne.

— Siostró Anno — odrzekła dłoń do białej piersi przykładając

— i mnie samej się zdaje, jakbym była duchem, tak niebiańską odczuwam radość. Jest mi tak, jakby Ten, w którego ty wierzysz, a który ma moc gładzić nasze grzechy, zmiłował się nade mną i moje grzechy mi wybaczył, abym swe biedne życie na nowo mogła rozpocząć. Ach, lepszym je uczynię, będę się starała unikać wszelkiego zła i czynić tylko dobro, i będę wierzyła, i modlić się będę co dnia na kolanach o to, aby Bóg zesłał mi łaskę takiego życia, które by mnie uczyniło godną pana mojej duszy, mego Geralda, aby on darować mi mógł wszystko, co dawniej czyniłam. Och, dziwne z nas ludzi istoty, siostró — dodała z drżącym uśmiechem — nie wierzymy, dopóki czegoś nie pragniemy tak bardzo, że śmierć nam byłaby miłsza niż zawód i wtedy klęczymy i modlimy się, bo musimy do kogoś wołać o pomoc.

— Ależ pomoc jest ci dana, siostró — rzekła biedna, tkliwa Anna, znów całując jej dłoń — a ja tak się będę modliła, tak modliła...

— Módl się, Anno, módl się z całej duszy — odrzekła Klorynda — tak mi

bardzo trzeba twych modłów! Tyś zawsze miała wiarę i tak mało prosiłaś dla siebie, że chyba będziesz wysłuchana.

— Niebo obsypało mnie darami, dając mi ciebie — odrzekła Anna — jesteś mi jak gwiazda i Niebu na kolanach dziękuję, że mi wolno na jej blask spoglądać.

— Biedna Anno, droga Anno — rzekła Klorynda, obejmując ją i całując — módl się, dobra, tkliwa moja Anno, żeby twoja gwiazda nie zgasła... — I znów rękę do piersi przycisnęła.

— Ach, Anno — zawołała, a w dźwięcznym jej głosie brzmiało wzruszenie — jedno jest tylko moje na tym całym bożym świecie, jedno, mój Gerald. Mój jest i nie będzie mi zabrany, bo jest duszą duszy mojej.

— Nie będzie ci zabrany — rzekła Anna — nie będzie...

— To się stać nie może — odrzekła Klorynda — to byłoby nieludzkie.

Westchnęła głęboko i znów odzyskała spokój.

— Czy słyszałaś — zaczęła mówić, zapinając na rękę bransoletę — że John Oxon ma wyjechać za granicę, jako uczestnik jakiejś delegacji?

— Słyszałam takie pogłoski — odrzekła Anna. — Daj Boże, żeby to była prawda.

— Daj Boże — rzekła Klorynda — żeby wyjechał.

Nie wyjechał jednak jeszcze, bo gdy weszła na salę balową, stał w drzwiach, jakby na nią czekał, i dostrzegła w jego oczach błysk zaczajony, błysk tak piekielny, że był jak nóż wepchnięty w jej serce i pierś jej przebijający na wylot; zrozumiała bowiem, że nie spoglądałby tak, gdyby nie czuł się w posiadaniu jakiejś mocy, o której ona nie wiedziała.

Błysk ten zapalał się w jego oczach, ilekroć jej wzrok napotkały, a zdarzało się to często tego wieczoru, bowiem piękny kawaler chodził za nią od komnaty do komnaty i tak stawał przed nią, aby nie mogła podnieść oczu nie natrafiwszy nań wzrokiem, a nawet, kiedy menueta z księciem krwi tańczyła, zuchwalec bezwstydnie ścigał ją wzrokiem bez przerwy.

Wygląda, jakby jej groził — mówiono. — Oszałał z miłosnego zawodu.

Nie miłość zawiedzioną w oczach jego czytała, tylko szal nienawiści i drwiące wyzwanie, a widząc to, duszę swą opasała mocą, świadoma, iż z dzikszą

tu bestią walczyć jej wypadnie, z bestią zdradliwszą i niebezpieczniejszą niż był jej koń Szatan.

Wiedziała, że duchem jest od niego mocniejsza, ale wiedziała również, iż podłość jest jego bronią, a granice tej podłości były dla niej niezgłębione.

O północy, gdy już pokłon złożyła przed królową i zamierzała wracać do domu, sir John podszedł do niej blisko i przystanął przy jej boku.

— Dziś — szepnął — wasza miłość była jako sama Junona, królowa Olimpu.

Nic nie odrzekła.

— Ja zaś stałem i przypatrywałem się, jak się wasza miłość przechadzała pośród pomniejszych bogiń, niby księżyc wśród gwiazd i uśmiechałem się, myśląc, co by też powiedziały te pomniejsze boginie, wiedząc, co na mej piersi dziś noszę.

Nie drgnęła, czuła tylko, jakby słowa jego powoli w kamień ją zamieniały.

— Odnalazłem mój skarb dawno zgubiony — mówił kawaler — mam go tu, przy sobie, ów splot czarnych włosów jak skrzydło kruka na pięć stóp długi. Czyż jest druga w całej Anglii niewiasta, która mogłaby się takimi włosami poszczycić?

Czuła, że jej serce w kamień się obróciło, taki ją ogarnął chłód lodowaty. — Nie wiedziałam — rzekła powoli i z przytłumionym oddechem, zgroza bowiem tej chwili odebrała jej siły — nie wiedziałam, doprawdy, że piekło spłodzić może takiego gada.

To rzekłszy, uczyniła krok naprzód i nagle tłum dokoła zafalował i wszyscy się ku niej rzucili, dziwna bowiem cielesna słabość owładnęła nią tak całkowicie, iż cała się jakby w marmur zamieniła i zachwiała na nogach. I oto ujrzano cudną hrabinę Dunstanwolde w szacie tkanej ze srebra i bieli, w brylantowym blasku klejnotów, jak martwą, rozciągniętą na lśniącej posadzce.

Błada była i zgaszona, gdy wracała do domu. Nikomu się nie dała odprowadzić, prócz własnych służących, choć wielu kawalerów ofiarowało jej swe usługi, a między nimi i sir John Oxon. Wszystkim odmówiła.

— Na nic to — szepnął sir John, ukłon przed nią składając pożegnalny. — Jutro z rana pozwolę sobie złożyć waszej miłości wizytę.

Anna nie położyła się do snu, czekając powrotu Kloryndy, spragniona raz jeszcze jej cudnego widoku. Biedactwo, któremu los odmówił wszelkich łask, tak żyło pięknnością i triumfami swej siostry, jakby te stanowiły część jej istoty.

Tego wieczoru przeklęczała cały czas w swej komnatce modląc się w pokorze ducha i dziękując Niebu za każdy najdrobniejszy i najpo-wszedniejszy dowód łaski. Wznosiła też prośby, ale nie za siebie tylko za Kloryndę i za księcia, aby ich miłość została uwieńczona szczęściem, aby żaden cień nie zaćmił blasku ich szczęśliwości.

Gdy wreszcie skończyła modlitwy, wzięła do rąk nabożną księgę, którą lubiła czytywać, gdy nagle usłyszała turkot kolasy przed bramą i zdziwiła się, nie spodziewała się bowiem tak wczesnego powrotu siostry.

— Wraca — pomyślała sobie — gdyż bal nie stanowi dla niej uciechy, jako że księcia nie ma wśród gości.

Zeszła na dół na spotkanie siostry i zastała ją siedzącą bezwładnie na sofie, z rękoma opuszczonymi, z pochyloną głową, z oczyma spoglądającymi przed siebie zagasłym wzrokiem.

— Kloryndo! Kloryndo! — zawołała Anna, biegnąc ku niej i klękając u jej boku — Kloryndo, Boże miłosierny, co tobie?

Nigdy jej nie widziała w takim stanie: twarz jej była trupio blada, oczy zapadłe, tak że znikła cała jej uroda, ale gorzej przeraziło Annę to, że nowa jej słodycz wyrazu jakby została wymazana, a wróciła dawna, twarda zawziętość, połączona z jakąś niewymowną rozpaczą.

— Przed godziną — wyjaśniła — zemdlałam. Oto, dlaczego tak wyglądam. Jeszcze jeden znak, że tylko niewiastą... niewiastą.

— Jesteś chora, zemdlałaś? — troszczyła się Anna. — Pozwól, bym zawołała medyka. Gdyby książę Osmonde tu był, zaniepokoiłby się bardzo.

— Osmonde? — powtórzyła pani. — Gerald? Czy gdzieś na świecie istnieje Gerald, Anno?

— Siostro! — zawołała Anna, przestraszona dziwnym wyrazem jej oczu — och siostro!

— Niebo widziałam — rzekła Klorynda. — W progu stałam i zajrzałam przez uchylone wrota niebieskie, a potem zepchnięto mnie z powrotem do piekieł.

Anna tuliła się do niej bezradnie.

— Ale ja do piekieł nie chcę wracać — mówiła dalej piękna pani. — Gdybym nie ujrzała Niebios, mógłby mnie tam wciągnąć szatan, ale teraz nie chcę, przysięgam! Są rzeczy, których znieść niepodobna, których żadna kobieta nie zniesie. Nawet ja, która nie kobietą się narodziłam, ale dzikim wilczęciem, nawet ja nie mogę tego znieść. Nieubłagane, straszliwe, miażdżące kolisko losu, do którego jestem uwiązana, zgnieść mnie chce pod swym ciężarem. A ja... nie chcę dać się zmiażdżyć.

Powiedziała te słowa przez zaciśnięte zęby, z dziką pasją, niby za dawnych swych, szalonych lat i nawet na Annę spoglądała jak dawniej, twardo, jakby nie miała cierpliwości do istoty tak słabej, tak o wiele od niej słabszej.

— Znajdę drogę — rzekła. — Znajdę! Po raz drugi już nie zemdleję. Wstała, wyprostowała się, rumieńce wróciły na jej lica, ale słodki

blask spojrzenia nie wrócił. Było tak, jakby się dawna jejmość panna Klorynda Wildairs narodziła na nowo.

— Jutro wyjadę na Szatanie — rzekła. — Nie będzie mnie w domu, gdyby ktoś przyszedł w odwiedziny.

Co się tej nocy działo w jej komnacie, tego się nikt z żyjących nie dowiedział. Anna, która własną komnatkę opuściwszy, wślizgnęła się na pobliskie pokoje, aby czuwać, słyszała tylko, że siostra przechadzała się tam i z powrotem niespokojnie, ale nic ponadto, a wchodzić do niej nie śmiała.

Gdy piękna pani opuściła z rana swe pokoje, była w niej taka wyniosłość, jak za dni, kiedy rządziła w ojcowym dworze i na łowy wyjeżdżała w orszaku niemłodych hulaków. Oczy jej błyszcząły, twarz pałała. Głowę miała dumnie wzniesioną, a w głosie jej było coś, przed czym drżały służebne, a lokaje zwijali się w mig, aby spełnić każde jej żądanie.

I koń jej poczuł w niej tę straszną moc, bo obejrzał się na nią, jakby o litość prosił.

Nie wzięła sługi ze sobą, nie pojechała w stronę parku, lecz za miasto. Znalazłszy się na szerokim gościńcu, konia puściła w cwał, pędząc prosto przed siebie bez wytkniętego celu. Sama nie wiedziała, dokąd jedzie, jedno tylko czuła, że ta jazda szalona chłodzi wściekły żar, kipiący w jej żyłach. Podczas gdy tak mknęła, myśli opętane przez mózg jej przebiegały.

Co uczynię? — powtarzała sobie. — Co mam począć ze sobą? Jestem

schwytana w potrzask niby dziki zwierz i nie ma dla mnie ucieczki.

Krew jak wezbrany potok tętniła w jej żyłach, dudniła w jej uszach, serce tłukło się w piersi i miotało jak oszalałe na wspomnienie minionych chwil i na myśl o grozie obecnej chwili.

Czegóż innego mogłam się spodziewać? — jęczała. — Niczego innego, niczego. To kara, kara od losu zesłana na mą zgubę.

Gdy dziś odjeżdżała, nie miała nadziei, że odnajdzie drogę wyswobodzenia ze straszliwych sideł. W ciemnej komnacie miotała się całą noc w szalonych myślach, spoglądała w twarz Przeznaczeniu i znała całą jego grozę. Przed nią otwierał się raj wielkiej, cudnej wzniosłej miłości, szlachetnego żywota i szczęśliwości takiej, jaka rzadko bywa udziałem niewiasty. Za nią ziała otchłań szalonych, dzikich lat i jedno czarne wspomnienie, jako plama, rzucona na całą przyszłość, choć niczym byłaby ta plama, gdyby nie raj miłości, który się na chwilę przed duszą jej otworzył.

— Gdyby nie miłość — zawołała. — Gdyby tu szło tylko o honor, umiałabym walczyć, ale miłość... miłość... zabiłaby mnie ta męka.

W chwili, gdy jęcząc wymawiała te słowa, usłyszała bliski tętent kopyt. Jeździec przeskoczył żywopłot i znalazł się u jej boku. Zacisnęła zęby i odwracając oczy spojrzała w twarz sir Johna.

— Wasza miłość mniemała, iż jej nie odnajdę? — pytał drwiąco. — Jechałem w jej ślad z dala, teraz będę jechał z bliska.

Nie odpowiedziała, tylko mknęła dalej. — Wasza miłość sądzi, że zdoła mnie prześcignąć? — spytał, przymuszając rumaka do szybszego biegu. — Odprawdę waszą miłość do domu. Dotychczas nie zostałem nigdy jawnie odprawiony, bo wasza miłość żywi obawę, bym nie wzbudził skandalu. Tego samego i teraz będzie się wasza miłość obawiała i dlatego nie nakaże swym lokajom zamknąć mi drzwi przed nosem.

Piękna hrabina obróciła nań znowu swe oczy. Blask słońca padał na długie, złote loki kawalera, a jego szafirowe oczy błyszcząły jak za dni, które tak dziwnie dalekimi się zdawały, choć minęło od nich zaledwie pięć lat.

— Dziwne to — rzekła — żyć i tak czarnym być szatanem.

— Ejże, wasza miłość, piękne to słówka — drwił — ale nie miejsce na piękne słówka między nami. Dajmy im pokój. Pragnę odprawdzić waszą miłość do pałacu i tam z nią pomówić na osobności.

W drwiącym jego głosie było coś, co ją do szachu doprowadzało; krew zaszumiała w jej uszach. Raz jeszcze ogarnęła ją dzika pasja, jak za dni dzieciństwa: poczuła obłądne tętno serca, poczuła gorącą krew, która zalewała jej lica; płomień miała w głowie i w oczach płomienie. Gdyby to był kto inny, a nie John Oxon, sama jej twarz byłaby dla niego dostatecznym ostrzeżeniem, on jednak, czując przewagę w swych rękach, radował się temu dzikiemu, rozpaczliwemu szaleństwu, jakie wyczytał w jej oczach, on, który by jak pies zbity odstąpił, gdyby po jej stronie przeczuwał większą moc.

— Nadeszła chwila dawnych porachunków — syczał. — Wiele długów będzie do spłacenia. Gdy wasza miłość różami się wieńczyła, mnie podeptawszy ze wzgardą, nie pomyślała o tym, że nadejdzie chwila, kiedy ja pięknym za nadobne będę się mógł odplacić.

Zacięła Szatana harapem i rączy koń podskoczył z kopyta, ale sir John tuż za nią pędził. I on miał rączego konia, a ostróg nie żałował, tak że wyścig trwał między tych dwojgiem na śmierć i życie. Piękna pani zacisnęła usta, oczy jej miały płomienie, pierś podnosiła się urywanym oddechem. Oblicze sir Johna blade było od pasji i on dyszał ciężko, o jednym tylko myśląc, aby się jej nie dać prześcignąć.

— Odstap! Ostrzegam cię! — krzyknęła zdławionym głosem.

— Odstąpić? — powtórzył, oślepy z wściekłej pasji. — Do piekła będę cię ścigać!

Tak mknęli w cwał białym gościńcem, aż znikły żywopłoty i na nowo znaleźli się na ulicach miasta. Ludzie przystawali, aby się im przyglądać i zdumionym wzrokiem ścigali szalonych jeźdźców. Piękna pani powściągnęła cugli i zwolniła bieg rumaka, świadoma z nieubłaganą pewnością, że dokoła niej zaciskają się sieci.

— Co mi waćpan chciał rzec? — spytała, z trudem chwytając oddech.

— Co chciałbym rzec, muszę rzec w czterech ścianach, żeby mnie wasza miłość spokojnie wysłuchała — odpowiedział. — Tym razem to nie czcze pogroźki. Chcę coś waszej miłości pokazać.

Jechali przez ulice, a kopyta koni rozbrzmiewały donośnie po bruku. Piękna pani, podniósłszy swe oczy, rozglądała się dokoła po domach i twarzach ludzkich i po niebie, z dziwnym uczuciem, jakim spogląda człowiek skazany na śmierć, gdy go wiodą na szubienicę.

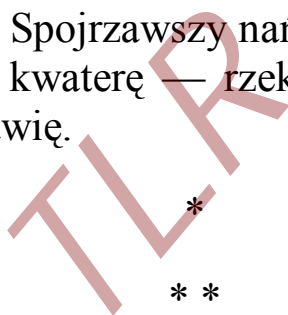
Na śmierć bowiem szła, czuła to dobrze, a tak była młoda i pełna sił, tak pełna miłości i życia, taką błogością i szczęściem powinna być w tej chwili otoczona, gdyby nie jej dawne szaleństwa. Zaś jej towarzysz, ten jasnowłosy młodzian o wejrzeniu pięknego szatana, był jej katem i niósł ze sobą sznur, aby wkrótce założyć pętlę na jej białą szyję.

Gdy wjechali w dzielnicę, gdzie znajdowały się siedziby wielkich tego świata, poznawali ich przechodnie i dziwowali się, że tych dwoje razem wraca z przejażdżki.

Może zdołał ją przebłagać swą wielką miłością — szeptało sobie — i postanowiła dla niego być łaskawsza, jako że dla wszystkich ostatnio jest łaskawa.

Gdy oboje stanęli przed pałacem, sir John pierwszy zeskoczył z konia, asystując jej przy wejściu z pozorami dworności, ale oczy jego drwiły, dobrze o tym wiedziała.

Koń jego był okryty pianą. Spojrzawszy nań, zwrócił się do jednego ze sług. — Odprowadźcie go na moją kwaterę — rzekł. — Zbyt jest zgrany, aby mógł czekać, a ja dłużej tu zabawię.



Sir John poszedł za piękną hrabiną do sali palisandrowej, tej samej, w której książę Osmonde serce swe przed nią otworzył, tej samej, gdzie gości swych po południu zwykła przyjmować. Z rana rzadko tu zaglądała i nie byłaby tej sali obrała na przyjmowane tak niepożądanego gościa, ale gdy jej powiedział, iż „lepiej byłoby, aby wasza miłość wprowadziła mnie do jakiej komnaty, gdzie mógłbym bez przeszkód na osobności z nią rozmawiać” wiedziała, że innej, nad tą bezpieczniejszej, nie było w całym pałacu.

Gdy drzwi się zamknęły za obojgiem i twarzą w twarz naprzeciwko siebie stanęli, dziwny przedstawiali widok. Ona, z dzikim wyzwaniem i dzikszą jeszcze w oczach rozpaczą, on z drwiącym uśmiechem, dobrze znanym każdej niewieście, która go kiedykolwiek miłowaniem swym i swoją ufnością darzyła, dobrze znanym, gdy już wszystko było dla niej stracone. Niewiele było tak podłych dusz wśród żyjących jak jego, a cała moc jego niegodziwości była w tym, iż nie znał, co to wstyd ani honor mężczyzny.

— A teraz — rzekła — słucham złej wieści.

— Nie taka zła — odrzekł — upominać się o swoje i przysięgać, że nikt inny mi tego nie odbierze. Tak poprzysięgłem i tego dotrzymam.

— O swoje? — rzekła — o swoje? Waćpan śmiesz to mówić... łotrze?

— Moje własne, skoro upomnieć się mogę — odparł — i sobie zatrzymać. Byłaś moją, pani, zanim poślubiłaś hrabiego, moją z wolnej a nieprzymuszonej woli.

— Nigdy! — zawołała. — Było to jakieś szaleństwo, którego okropności nie pojmowałam, bo tak byłam młoda, i niczego prócz zła nie znałam... a waćpan taki był podły i przebiegły.

— Czy wasza miłość była niewiniątkiem? — spytał. — Nie zdawało mi się wówczas.

— Niewiniątkiem jeśli szło o wszystko co dobre! — zawołała — o wszystko co wzniosłe i szlachetne, o wszystko, com poznała dziś, poznawszy, czym prawdziwe męstwo i honor.

— Książę Osmonde nie jest świadom naszej dawnej miłości — odrzekł. — I mnie wypadałoby go oświecić.

— Czego żadasz, piekielniku? — zawołała. — Jaka twoja cena?

— Żądam, aby wasza miłość nie została księżną Osmonde — rzekł podchodząc do niej bliżej — żądam, aby została małżonką Johna Oxona, jak się sama pani nazwała ongiś, kiedyśmy przysięgi miłosne zamieniali, choć żaden klecha nad nami swych zaklęć nie mamrotał...

— Któż nas rozwiódł? — zawołała, dysząc ciężko — byłam przecież uczciwym stworzeniem, choć innych cnót nie znałam. Byłabym słowa dotrzymała waćpanu. Kto nas rozwiódł?

— Wyznaję — odrzekł z ukłonem — że ja sam... do czasu. Byłem młody i zmienny, być może...

— I porzuciłeś mnie! — zawołała. — I zrozumiałam, żeś tylko jak złodziej przyszedł, a ponieważ tak się odnosiłam do ciebie przed ludźmi, żeś się nie miał czym przechwalać i ponieważ nie miałam bogatego posagu, którym waćpan mógłbyś poratować swą nadwreżoną fortunę, przeto mnie porzuciłeś, zwracając się do innej.

— Co książę Osmonde uczyni, gdy usłyszy moją opowieść? — odrzekł. —

Nie jest on z tych, którzy znieśliby wieści krążące o matce jego synów, dotyczące jej młodości...

Byłaby krzyknęła w głos, gdyby się w porę nie pochwyciła za gardło.

— Powiedz mu waćpan! — zawołała. — Powiedz mu, a zobaczymy, kogo usłucha. Moje słowo przeciwko waćpanowemu.

— Wasza miłość myśli, że tego nie wiem? — drwił, wyjmując z zanadru zawiniątko, spowite w jedwab. — Dlaczego do tej pory tylko groziłem? Gdybym do niego poszedł bez dowodu, przesyłby mnie szpadą, jak wściekłego psa. Czyż jednak jest w Anglii druga niewiasta, z której głowy mógłby galant wykraść splot włosów równie długi i równie kruczoczarny?

Rozwinął jedwabną chusteczkę i inny jedwab się wysunął; gęsty i długi splot kruczonych włosów, które spłynęły niby ogromny wąż i choć trzymał je wysoko, sięgały aż do samej ziemi.

— Boże miłosierny — szepnęła z dreszczem i zasłoniła twarz dłońmi.

— Szło tu o zakład, przyznaję — rzekł. — Zbyt wiele słyszałem o szalonej, pięknej pannie, gardzącej mężczyznami, by moja żądza nie zapaliła się i bym nie zapragnął dowieść jej i innym, że z niej przecież tylko białogłowa. Poprzysiągłem sobie, że wrócę kiedyś ze zwycięskim trofeum i to obciąłem z bujnych splotów waszej miłości, bez jej wiedzy.

I znów pochwyciła się za gardło, by zdławić podnoszący się w nim krzyk bezsilnej grozy.

— Diable, łotrze i psie podły... wszystko tego na cię mało! — dyszała. — Gadzino jadowita, której każda myśl jest z piekła rodem.

— Gdym to z sobą zabierał — rzekł — począłem szaleć i pić i schowałem ten splot w bezpieczne miejsce, ale kiedy otrzeźwiałem, nie pamiętałem miejsca ukrycia. Wczoraj, dziwnym zbiegiem okoliczności, odnalazłem to miejsce. I wasza miłość myśli, że to można by przyjąć za włosy innej niewiasty?

Uniosła dłoń. — A więc? — rzekła. — Oddasz to waćpan księciu i powiesz mu waćpan, powiesz mu...

— Opowiem mu historię różanego ogrodu i słonecznego zegara, powiem mu o tej pięknej pannie, której nie brakło dowcipu, aby przed ludźmi drwić z kawalera, chcąc zdobyć możność tym swobodniejszego romansowania z nim w ukryciu. Wielki był jej spryt i dowcip, jak na szesnastolatkę. Dobrze uczyniłby jej

małżonek, strzegąc jej pilnie, gdy ma dwadzieścia lat.

Powinien był widzieć ostrzeżenie w jej płonących oczach, powinien, gdyby czytał w ich złowieszczym żarze.

— Wszystko, co waćpan możesz powiedzieć, jest mi wiadome — rzekła — i wiem, jak waćpan to powiesz i jak po swojemu przedstawiś. A ja jego jednego miłuję. Nikogo innego nie ma dla mnie na tej ziemi. Gdyby był żebrakiem, bezdomnym włóczęgą, poszłabym za nim na szeroki gościniec. Mój on jest i ja jestem jego... jego!

— Jego? — drwił szatańsko. — Szlachetny i wielki to pan, nie trzeba mu za małżonkę odrzuconej przez innego igraszki.

Pierś jej unosiła się ciężkim, urywanym tchnieniem, nozdrza drgały, jak u dzikiej lwicy.

— I powiedzieć, że kiedyś — syknęła — kiedyś... miłowałam cię... psie!

Oszalały swym łotrowskim triumfem, wybuchnął złym, drwiącym śmiechem.

— Miłowałaś mnie! — rzekł — Ty? Tak ty mnie miłowałaś, jak jego miłujesz, tak umiłuje każdego dziewczka karczemna... za talara!

Na stole przed nią leżał harap. Pochwyciła go i zakreśliła nim w powietrzu. Ślepa była od krwi, która jej uderzyła do głowy, nie wiedziała, gdzie i jak uderza, byle uderzyć!

Ciężka, ołowiem naładowana rączka harapu trafiła w jego skroń, a zamach szedł od dłoni mocnej jak stal... Uderzony kawaler otworzył usta, chwytając powietrze, rozpostarł ramiona i padł ciężko u jej nóg.

Okropna jednak zawierucha furii, jaka ją porwała, targała nią, jak skrzydła wichru miotają oderwaną gałązką. Nie zauważyła prawie, że on upadł, tylko jęła biegać po komnacie od ściany do ściany, jak obłąkana.

— Diable! — krzyczała. — Psie! Łotrze! Za ciebie mam męki potępięcze cierpieć całe życie? Młodość ci moją niosłam, uśmiechy moje szczodrze, jak monarchini rzucałam, a ty, bezwstydnym, jak kramarz przychodzisz, że źle ci idzie twój oszukańczy handel... przychodzisz targować się, jakbym ja, ja, mogła na nowo twój kram wzbogacić.

Wielkimi krokami, z pianą na ustach, szła ku niemu. — Myślisz, że nie

wiem, ty który śmiesz napastować bezbronną kobietę, że chciałeś mnie kupić pogrózkami, bo żadna już ciebie nie zechce, łotrze, chyba taka, którą mógłbyś groźbą przymusić. Wstań, gadzino, wstań! Bo cię zabiję!

W swym ślepych szaleństwie zacięła go raz jeszcze harapem po twarzy.

Ale on się nie poruszył i coś w bezwładności jego pod batem, coś w jego nieruchomości dziwnej sprawiło, że przystanąła, dysząc ciężko i spoglądając obłąkanymi oczyma na to, co leżało u jej stóp.

Rzecz to była bowiem, martwy przedmiot i to ujrzała w owej chwili. Był to martwy przedmiot, kukła z rozsypanymi lokami, z oczyma tak przewróconymi, że tylko białka było widać, z czerwonosiną plamką na czole, skąd się sączyło wążutkie pasemko krwi.

*

* *

„Znajdzie się wyjście” powtarzała sobie przedtem, ale w szalonej nawet swej rozpaczy o takim wyjściu nie pomyślała, rzecz dziwna zaiste, jeśli wziąć pod uwagę jej szaloną i samowolną młodość. A jednak nigdy o czymś podobnym nie pomyślała, nigdy! W momencie obłędu, kiedy sama nie wiedziała, co czyni, ciężki harap znalazł dla niej ową drogę... jedyną!

A teraz widząc, co uczyniła... co się przydarzyło, jakby ten cios nie jego w skroń dosięgnął a ją samą w serce. Straszliwego, zabójczego doznała ciosu. Pobladła śmiertelnie, zlodowaciała, dech w niej zamarł ze zgrozy.

— To niemożliwe! Niemożliwe! — dyszała, z oczyma szeroko rozwartymi, obłąkanymi z niewymownej trwogi.

— Porusz się! — nawoływała głośnym szeptem. — Rusz się! Czemu tak leżysz?

On się jednak nie ruszył; leżał sztywno z ustami ściągniętymi tak, że białe zęby prześwitywały z lekka, jakby przedśmiertna męka wykrzeszała w nim uśmiech. Dreszczem zimnym wstrząsana, podeszła bliżej z nieprzytomnymi oczyma. Drżącą dłonią sięgnęła po jego rękę. Dłoń, którą uniosła, opadła bezwładnie, bowiem życia już nie było w tym ciele i żadna już moc nie mogła go przywrócić.

— Otom cię zabiła... zabiła! — szepnęła przez zaciśnięte zęby. — Zabiłam cię, choć sama nie wiedziałam o tym, nawet piekło mi przyświadczy. A teraz... ty

nie żyjesz... i to jest ze wszystkiego najgorsze.

Raz jeszcze uniosła jego martwą dłoń, która ciężko opadła. Wciąż trwała przed nim na klęczkach, a w oczach jej zamigotał taki dziwny wyraz, jakiego nikt u niej jeszcze nie widział, wyraz istoty udręczonej do kresu wytrzymałości, która, gdy męka dosięga zenitu, poczyną się uśmiechać do okrutnego losu.

— Zabiłam go — szepnęła głosem cichym i pełnym zgrozy — i on tu leży, a dokoła są ludzie i nikt o niczym nie wie. Ale on wie i ja... i zdaje mi się, że on się uśmiecha, wiedząc, co mi uczynił!

Pochyliła się nad nim niżej jeszcze, aby mu się lepiej przyjrzeć i zaiste, wydało jej się, że drwi z niej i z samej śmierci, jakby się zapytywał, jak się go teraz pozbędzie? Było to tak, jakby mówił: „Teraz, gdy tu leżę, twoja już rzecz mnie stąd usunąć”.

Wyprostowała się sztywno, jakby rozciągnięta na kole tortur. Zgroza bowiem, jaka ją ogarnęła, napełniała całą salę, nie zostawiając jej powietrza do oddychania ani światła do patrzenia.

— Teraz tylko mi oszaleć — szeptała sobie — tylko oszaleć. To ja ten cios zadałam, ja!

Zgrzytała zębami, suknię zaczęła na piersi szarpać w dzikiej rozpacz; poczuła, że oto się zaczyna szaleństwo, że ją pochłonie, jeśli się w porę nie ocknie.

— Nie, nie dam się! — zawołała. — Był zawsze Ktoś, kto mnie nienawidził i na zagładę mnie przeznaczył od chwili, gdy mnie pod zwłokami matki znaleziono. Nie wiem, kim on jest, ale jest! Zła byłam od zarania swego życia, wśród zła porzucona, aż poznałam takiego, który uwielbieniem duszę mą napełnił, którego i teraz uwielbiam. Tak miłować i aniołowi by przystało. A u wrót rajsu szatan szczyrzy do mnie zęby i z powrotem mnie wlecze, abym się potknęła i padła w otchłań.

Wyciągnęła ramiona gestem rozpacz, jakby niebo i ziemię wzywała na świadków.

— Ni nadziei, ni zlitowania, nic, jeno piekło i potępienie! — zawołała — chyba że udręczona istota okaże swą moc.

Spojrzała na bezwładną rzecz u swych stóp. Jak szpetnie wykrzywiona była ta twarz skamieniała, jakież drwiące zdawała się rzucać wyzwanie. Uklękła przy zwłokach, a krew gorącą falą zalała jej zlodowaciałe członki.

— Drwij! — zawołała głosem tak donośnym, jakby przeszyć chciała milczenie śmierci. — Myślisz, że zwyciężona? Otóż nie! Cios to był uczciwy, zadany przez istotę zadęconą do obłędu. Drwij, a przecież gdyby nie pamięć o jednym człowieku, byłabym w tej chwili wybiegła na ulicę, wołając: „Oto łotr, którego w szale uderzyłam i leży martwy! Nie żądam miłosierdzia tylko sprawiedliwości”.

Bliżej się pochyliła, dysząc szybko. Czuła, jakby do żywego człowieka przemawiała, do człowieka, który ją słyszy, jakby na jego słowa odpowiadała.

— I znalazłaby się dla mnie w mej ojczyźnie sprawiedliwość — szeptała. — Przysięgam! On by mi ją oddał, on! Tak, drwij, ale pomiędzy nim i jego wzniosłą miłością, a mną — nie stanie twoje podłe ścierwo!

Zabity leżał, jak padł przy wielkiej otomanie, tak blisko, że jedną z rozrzuconych rąk przysłańiała spływająca do ziemi falbana. Zobaczyła to dopiero w tej chwili: do tej pory nie widziała nic, prócz śmierci rozlanej na jego obliczu. Myśl jej zabłysła jak płomień nagle wzniecony i potężny, myśl tak dziwna i śmiała, że aż oddech w niej zdławiła i włosy jej języć się poczęły na głowie.

— Czy szaleństwem jest taka śmiałość? — spytała głosem zachrypłym i z dreszczem zasłoniła oczy. — Dobrześ upadł — mówiła do martwej postaci — leżąc tu, jakbyś mi sam wbrew sobie wskazywał, co czynić. Gdybyś wiedział, nie byłbyś mi tak pomocny. Teraz idzie gra między mną a Przeznaczeniem.

Podsunęła mocną dłoń pod ramiona trupa i wepchnęła go, już sztywniejącego, pod szerokie siedzenie otomany. Zetknięcie z martwymi, stygnącymi zwłokami nie nappełniło jej już drzeniem. Przekroczyła już granicę, jaka życie oddziela od piekła i do żadnych ludzkich uczuć w tej chwili nie była już zdolna. Była niby biedna, zgoniona zwierzyna, ze wszech stron osaczona przez ogary, miotająca wokół dzikie spojrzenia krwią nabiegłych oczu, dysząca ostatnim tchnieniem, ostatnią walką o życie.

Podsunęła drugą rękę pod sztywne ramiona trupa i wepchnęła go jeszcze głębiej, aż leżał pod szerokim siedzeniem, a szkliste, rozwarte oczy zdawały się spoglądać ze zdziwieniem na to niskie sklepienie nad nim. Pchnęła go jeszcze trochę, aż bogate falbany opadły, wtedy je wygładziła i sprawdziła, że nic nie widać.

— Leż tu do nocy — rzekła. — A potem... potem...

Poniosła długi, jedwabisty splot włosów, który jak wąż leżał zwinięty u jej nóg i wrzuciła go do ognia, płonącego na kominku. Długo przyglądała się, gdy

się palił, jak to włosy spalać się zwykły z cichym sykiem; czekała, aż wszelki ślad zniknie i zostaną tylko popioły.

Przycisnęła wówczas dłonie do czoła i oczu, a myśli jej krążyły jak ptaki. Umysł jej, choć zmałowany jeszcze, pracował usilnie, ukazując jej niebezpieczeństwa, jakie mogą powstać i środki obrony. Wola, która w niej od urodzenia była potężna, a ćwiczeniem jeszcze się wzmocniła, dałaby się porównać do jakiejś straszliwej dźwigni, na której poruszeniu wymagającym nadludzkich sił, leżał cały jej ratunek. Męka, jaką od wielu miesięcy znosiła, walka szaleńczej przeszłości ze wzniosłą teraźniejszością, uczyniła jej świadomość dziwnie, wprost nadludzko jasną.

Ten cios był mi przeznaczony od złych mocy—mówiła sobie — i one się teraz radują.

Przez chwilę dyszała ciężko, ale wnet opanowała wyraz swego oblicza, przywdziewając maskę spokoju. Podeszła do dzwonka i pociągnęła go władcą dłonią.

Gdy wszedł sługa, stała, przeglądając jakieś papiery.

— Idźcie za sir Johnem Oxonem — rozkazała — powiedzcie mu, że rzecz wielkiej wagi zapomniałam mu powiedzieć i proście, aby powracał natychmiast. Nie traćcie czasu ani chwili. Wyszedł dopiero co i nie mógł jeszcze daleko zajść.

Sługa zrozumiał, że nie ma chwili do stracenia. Bał się, jak wszyscy, jej monarszego spojrzenia i nawykł do natychmiastowego wypełniania wszelkich rozkazów. Ukłoniwszy się nisko, zawrócił ku drzwiom i pośpieszył wykonać jej zlecenie, choć nie widział, żeby gość wychodził, a bał się do tego przyznać, zdradziłby się bowiem w ten sposób, że zszedł ze swego posterunku, jak też i było naprawdę.

Wiedziała, że sługa wkrótce powróci i tak się też stało.

— Jaśnie pani hrabino — rzekł — wybiegłem szybko na ulicę, biegłem aż do rogu, ale sir Johna nigdzie już nie było widać.

— Głupcze, nie dość szybko biegłeś — rzekła gniewnie. — Poczekaj, dam ci tu kartkę. Biegnij do jego domu. To bardzo ważna rzecz.

Podeszła do stołu stojącego przy otomanie tak blisko, że stopą mogła dotknąć Tego, co leżało w cieniu wielkiego sprzętu i nakreśliła parę słów w pośpiechu. Było to żądanie, aby To, co tam sztywniało w śmiertelnym tężcu, przybyło do niej z powrotem jak najspieszniej, aby mogła zadać Mu pewne

pytanie wielkiej wagi, o jakim zapomniała, gdy odchodził.

— Nieście to na kwaterę sir Johna — rzekła. — A nie zwlekajcie po drodze. Żeby mi to było doręczone do jego własnych rąk. I natychmiast przynóście odpowiedź.

Gdy znów pozostała sama, jęła się przechadzać po sali i wzrok jej padł na otomanę.

— Dobrze to uczyniłam — rzekła sobie. — Gdy sługa wróci i zamelduje, że go nie zastał, będę zagniewana i każę mu wracać znów i czekać.

Przystanąła chwilę i rękę po twarzy przesunęła. — To wszystko jest niby jakaś okropna zmowa — rzekła.

Stała przez chwilę, a ta w niej cząstka, która była słabością niewieścią, przez chwilę zagrażała jej śmiertelnym niebezpieczeństwem, aż zacisnęła skronie rękoma zimnymi i twardymi jak stal.

Stój! Stój! — mówiła sobie. — Toż to szal. To ustępstwo z placu na rzecz Tego, który mnie nienawidzi i śmieje się, widząc, na co mi przyszło.

Nic prócz owej nadludzkiej woli nie zdołałoby utrzymać w ryzach słabości niewieściej, jaka ją ogarnęła, ale wolała ta, nad wszystko mocniejsza, stłumiła wszelkie przerażenia i omdlewania białogłowskie.

Przez dzień dzisiejszy muszę żyć — powiedziała sobie — i strzec każdej chwili, która mija. Moja twarz w niczym mnie nie może zdradzić, ani mój głos. On zaś będzie milczał, Bogu wiadomo, że będzie milczał na zawsze.

Gdy lokaj wrócił, minę miał jeszcze bardziej zalęknioną niż poprzednio.

— Jaśnie pani hrabino — wyjąkał. — Sir John jeszcze nie powrócił na swą kwaterę. Słudzy jego nie wiedzą, kiedy go się mają spodziewać.

— Idźcie znów za godzinę i zczekajcie — rozkazała pani. — Musi powrócić niedługo, chyba że wyjechał z miasta.

*

* *

Gdy tego straszliwego ranka hrabina opuszczała komnatę, by się przebrać do gości, rozejrzała się dokoła bacznie i spokojnie.

— Zanim tu wtargnie pstry i gadatliwy tłum, będzie tu panowała cisza jak w grobie. Dziś muszę być czujna i przytomna i tak pięknie wyglądać, aby nic, prócz mnie, ich uwagi nie przyciągnęło.

W tych dniach goście tłoczyli się u niej gorliwiej niż kiedykolwiek. Wielka piękność, mająca wkrótce zostać księżącą małżonką, jest znajomością, której zaniedbywać nie należy. Tego zaś dnia szczególnie liczne tłumy napływały w odwiedziny.

Wielu może ściągnęła tu ciekawość, co też wyniknęło z dzisiejszego spotkania z sir Johnem Oxopet, którego świadkiem był niejeden. Spodziewano się, że może sir John, zjednawszy sobie przebaczenie pięknej pani, sam się dziś tu zjawi na herbacie.

Zastano jednak panią hrabinę samą z siostrą, jejmościanką Anną, która rzadko bywała na popołudniowych przyjęciach obecna, źle się czując wśród światowego gwaru i światowych dowcipów. Świat widział w niej tylko nieładną, nikłą panienkę, której fortunniejsza siostra udzielała łaskawej protekcji. Nikt nie odczuwał jej nieobecności, nikt też wielce na nią uwagi nie zwracał, gdy się pojawiła na widowni. Dziś większą może niż kiedykolwiek ściągała na siebie uwagę, tak wielki bowiem kontrast stanowiła jej bladość ze świeżą cerą jej pięknej siostry. Twarz Anny wydawała się dziś woskowożółta; pod oczyma miała wielkie, sine kręgi, a policzki jej były zapadłe jak w ciężkiej chorobie. Za to hrabina Dunstanwolde, strojna w bogaty robion z wzorzystego, szkarłatnego atłasu, z precudnymi fałbanami z kremowych koronek u rękawów i z taką kryzą u szyi, z włosami wysoko nad czołem upiętymi, wyglądała wspanialej niż kiedykolwiek, co też sobie szeptali o niej goście, choć nic w tym nie było nowego, należała bowiem do tych niewiast, które w patrzących umiały wdrażać przekonanie, że nigdy w takim blasku urody jak dziś nie były.

Gdy Klorynda wracała ze swych komnat do sali palisandrowej, spotkała w korytarzu Annę.

— Czemu tak drgnęłaś, jakbyś zobaczyła widmo? — spytała. — Czy jestem podobna do widma? Zwierciadło co innego mi mówiło.

— Nie — szepnęła Anna — wyglądasz tak... tak promiennie i wspaniale w tych szkarłatach... a ja...

Piękna pani podeszła do niej szybkim krokiem, -r- Ty, biedaczko, wcale mi promiennie ani wspaniale nie wyglądasz — rzekła. — Ty sama do widma jesteś podobna. Co tobie?

Anna podniosła na nią bezradnie swe wielkie, łagodne oczy, a głos się jej załamywał, gdy mówiła.

— Myślę... że jestem chora, siostró — rzekła. — Słabo mi i czuję dziwne dreszcze.

— Połóż się i każ wezwać lekarza — rzekła hrabina. — Wyglądasz na chorą.

— Nie — szepnęła Anna — błagam cię siostró, żebyś mi pozwoliła być dziś przy sobie. Tyś taka silna... pozwól...

Wyciągnęła do niej rękę, ale dłoń jej wnet opadła bezwładnie, jakby ją opuszczały wszelkie siły.

— Pełno tam będzie gadatliwych gości — rzekła jej siostra. — Nie lubisz przecież licznej kompanii, to cię tylko zmęczy.

— Nie dbam o ludzi, chcę być przy tobie — rzekła Anna z dziwnym błaganiem w głosie. — Pewno to jakaś chorobliwa fantazja, że się boję pozostać sama. To tylko słabość. Pozwól, abym dziś została przy tobie.

— Idź więc i włóż inną suknię — rzekła Klorynda — i uróżuj choć nieco policzki. Możesz przyjść, jeśli chcesz. Dziwne z ciebie stworzenie, Anno.

Z tymi słowy podążyła do swych apartamentów. Gdy ją służebne ubierały w szkarłatą i trefiły włosy przed zwierciadłem, czuła, że godzina, w której rada by krzyknąć i szaleć, i zdradzić się, już minęła, pozostawiając po sobie taką martwość, jakby groza znieczuliła w niej wszelką wrażliwość, zachowując jej jednak umysł jasny i przytomny. Nie zapomniała o tym czymś, co spoczywało pod otomaną, nie zapomniała spojrzenia w słup obróconych oczu, nie zapomniała rozsypanych złotych loków i siennej plamy na skroni. Widziała to wszystko równie wyraziście jak w pierwszej chwili, kiedy jej szaleństwo minęło, ale teraz nastąpiło odurzenie. Po raz pierwszy, odkąd pokochała, poznała niewieściami słabość i lęk. Ten lęk byłby ją dziś wpędził w obłąd, a to tylko dlatego, że stała się niewiastą, niewiastą, która rzuciła się na chwilę w objęcia jedyne go pana swej duszy.

Ale nie tą niewiastą, pomną tkliwych uniesień miłości, powróciła na palisandrową salę. Wróciła tam jako istota spokojna, świadoma niewidzialnego towarzysza, który tam na nią czeka i będzie czekał, póki go się nie zdoła pozbyć.

Po dzisiejszej nocy zniknie on z mego życia, jeśli wytrzymam w swej roli do końca — mówiła sobie. — Wtedy będę wolna.

Na otomanie zwykła siadywać, gdy przyjmowała swoich gości, ale tego popołudnia, gdy weszła do pustej jeszcze sali, zawahała się chwilę. Poczowała, że chłód owiewa jej twarz i zagryzła usta.

To jak na cmentarzu — mówiła sobie. — Ileż razy siedziałam na mogilnym kamieniu, a pod spodem nic przecież innego, gorszego niż tu nie było.

Gdy trzepotliwe, rozszczebiotane zastępy modnych gości zaczęły przybywać na salę, hrabina powstała ze swego zwykłego miejsca na ich powitanie. Była uosobieniem wdzięku i łaskawości. Słuchała modnych ploteczek, rzucając dowcipne uwagi, z dworzanami rozmawiała o królewskiej rodzinie, ze statystami o ważnych sprawach państwowych, taką wykazując owych spraw znajomość, że się nadziwić nie mogli, z dowcipniami zamieniała olśniewające dowcipy, piękne panie zabawiała pochwałami ich toalet i urody.

Przez cały ten czas jednak nie przestawała ani na chwilę odczuwać obecności tego Czegoś, tak blisko spoczywającego i jej udręczonej duszy zdawało się, iż on słyszy wszystko i drwi i nie mogąc przełamać lodowatych okowów śmierci szaleje tam i klnie swą bezsilność, która mu nie pozwala poruszyć martwej bryły zwłok i wytoczyć ją na oczy modnych gości.

Nie może — powtarzała sobie przez zaciśnięte zęby — nie może tego uczynić.

Raz, gdy tak sobie powtarzała, napotkała oczy Anny, bezradnie w nią utkwione. Wydawałoby się, iż istotnie, słabość jej szukała oparcia w mocy siostry, gdyż przez cały ten czas trzymała się jej boku, a teraz, jakby błagała jakiejś pomocy, a nie śmiała powiedzieć.

— Za słaba jesteś siostrze, aby tu pozostawać — rzekła hrabina. — Lepiej byś wróciła na swe pokoje.

— Słabo mi — odpowiedziało cichym głosem biedactwo — ale nie tak, abym nie mogła pozostać. Pozwól mi usiąść, siostrze, tutaj.

Drżącą ręką dotknęła poduszek otomany, podnosząc oczy na siostrę. Może pomyślała, że miejsce to jest jakby tronem, na którym nikomu, prócz tej pięknej królować nie wolno.

— Za skromna jesteś siostrze — rzekła Klorynda. — Toż to nie stolec koronacyjny ani ława sędziwska. Siadaj, wina ci każę podać.

Skinęła na jednego z lokai i wydała mu rozkaz. Dobrze widziała, że Anna, odkąd obok niej usiadła, stała się jeszcze bledsza.

Gdy wniesiono wino, hrabina napełniła kielich i własnoręcznie podała go siostrze, namawiając ją, by piła, a potem zwróciła się do stojącego z tacą lokaja.

— Czy Jenfry wrócił od sir Johna Ochoпа? — spytała swym jasnym, dźwięcznym głosem. Wszyscy nadstawili uszu, ciekawi, co teraz nastąpi.

— Nie, jaśnie pani hrabino — odrzekł lokaj. — Mówił, że jaśnie pani hrabina kazała mu czekać.

— Ale nie przez cały dzień, głupcowi nieszczęsnemu — odrzekła pani, odstawiając na tacę pusty kielich Anny. — A gdyby mu i noc całą czekać wypadło? Dajcie znać natychmiast, kiedy wróci.

Anna wyprostowała się nagle. — Siostro, proszę jeszcze jeden kieliszek — szepnęła.

Klorynda podała go jej natychmiast, ona zaś jednym tchem wychyliła wino.

— Nie zastał go? — spytała ciekawie jedna z dam.

— Nie — odrzekła hrabina uśmiechem. — Musiał odejść w wielkim pośpiechu, bo posłałam sługę zaraz po jego odejściu. Że go jednak nie dogonił, posłałam go po raz wtóry na kwatere sir Johna, aby mój list do własnych rąk doręczył, a temu gapie zdało się, iż czekać musi aż do jego powrotu.

Na stoliku opodal leżał ciężki harap hrabiny; uznała bowiem, iż śmielej uczyni, tu go pozostawiając, jakby go zapomniała, a tym czyniła sobie na przekór, bowiem serce tak w niej zabiło, gdy wróciwszy, ujrzała ów fatalny oręż, iż drżała wprost żądzą odrzucenia go precz, skrycia go przed ludzkimi oczami. „Muszę mieć moc stawienia czoła wszystkiemu przed czym drzę” — powiedziała sobie — „inaczej jestem zgubiona”.

Omdlewająca piękniśnią o tkliwych błękitnych oczach, wdzięcząc się przed swymi wielbicielami swą eteryczną wiotkością, ujęła ciężki harap w swe wąskie, białe rączki.

— Jak wasza miłość może władać czymś tak ciężkim? — spytała.

— Toż to nie na siły niewieście. Ale wasza miłość nie jest... nie jest...

— Nie jest całkiem niewiastą — rzekła piękna pani wstając wyprostowana wspaniale i uśmiechając się do owej białej, porcelanowej kukielki swym olśniewającym uśmiechem.

— Nie niewiastą! — zawołało dwóch kawalerów równocześnie.

— Boginią raczej! Olimpijską boginią!

Wątpiła piękność znieść nie mogła tych porównań, w cień rzucających jej własne, eteryczne wdzięki. Z wielkim wysiłkiem uniosła ciężki oręż, uwydatniając smukłość swego białego ramienia i delikatną siateczkę żyłek na swej przejrzystej dłoni.

— Nie — sepleniała rozkosznie — tu trzeba sił mężczyzny, aby to podnieść. Ja bym nie zdołała, a cóż dopiero konia tym uderzyć!

I dla okazania, jak brutalnej siły na to trzeba i jak wielce jej niewieścia, wdzięczna rączka takiej siły jest pozbawiona, upuściła ciężki harap na podłogę, aż się potoczył pod sam skraj otomany.

Teraz — przemknęła jak strzała myśl przez głowę Kloryndy — teraz on się śmieje!

Nie miała czasu się poruszyć, bo oto już trzech kawalerów znalazło się na kolanach i każdy z nich gotów był ręką sięgnąć pod siedzenie i szukać... i znaleźć... gdyby jej Bóg nie uratował. Tak, o Bogu pomyślała w tej straszliwej, szaleńczej chwili. Jego bowiem cudem było to, co się stało.

A stało się to, że Anna, biedna jejmość Anna, taka blada i słaba, i drżąca Anna, wyprzedziła wszystkich galantów, schyliwszy się z niezwykłą żywością i rękę pod otomanę wsunawszy, wyciągnęła upuszczony przedmiot, wszystkim go pokazując.

— Oto jest — rzekła — i zaiste, siostró, nie dziwię się, że go można było upuścić, tak wielką ma wagę.

Klorynda wzięła harap z jej ręki. — Nie będę już ujeżdżała takich bestii jak Szatan — rzekła — a na spokojnego konia harap ten za ciężki. Poniecham go przeto.

Wstała i przez pokój przeszedłszy, odłożyła na półkę fatalny oręż.

— Niezwykle jest ciężki — rzekła — umyślnie był dla tego konia zrobiony, którego słusznie nazwano Szatanem. Skończyłam już z nim.

W tej chwili na jej twarz, która niedawno jeszcze była blada, napłynął cudny rumieniec, a ci, co spoglądali, mówili sobie, że to myśl o księciu Osmonde wywołała ten rumieniec. A po długiej chwili, takież rumieniec na jej licach znów

ujrzano, gdy szedł lokaj niosąc na tacy dwa listy, a na wierzchnim była mitra książęca. Tę dojrzała hrabina i wzięła list do ręki, zanim sługa zdążył się odezwać.

— Kurier księcia przyjechał z Francji — oznajmił. — Polecono mu ten list wcześniej niż inne doręczyć. — Zapewne jego książęca mość powróci wcześniej niż zamierzał — rzekła pani, a wtedy zauważyła i drugi list na tacy.

— To list jaśnie pani hrabiny — wyjaśnił lokaj nie bez lęku. — Odniesiono go z powrotem, jako że sir John Oxon do tej pory nie powrócił, a Jenfry czekał trzy godziny.

— Aż za długo — rzekła pani. — Wystarczy, gdy to się jutro załatwi. Nie odłożyła listu księcia, ale go w ręku zatrzymała, a goście widząc,

że czeka ich odejścia, by list otworzyć, zaczęli się żegnać. Jedni po drugich opuszczali salę z niskimi ukłonami; panowie zachwyceni jej cudną urodą, panie z uczuciem niejakiej zazdrości; księżę Osmonde bowiem od najmłodszych lat wzbudzał podziw i zachwyt w niewiastach. Gdy ostatni goście odeszli, Klorynda rozdarła kopertę i list mocno do swych ust przycisnęła i tak go całowała kilkakrotnie, wcale na Annę nie bacząc, choć ta na nią patrzała. Następnie zasiadła do czytania z pałającym obliczem, z piersią podnoszącą się tkliwym, do bólu podobnym wzruszeniem. Oto jakie słowa chłonęły jej oczy:

Gdybym w nagłówku tej karty napisał „Bogini moja i Królowo i Monarchini duszy mojej”, czy więcej bym powiedział niż pisząc: „Miłości moja” i „Kloryndo moja” skoro te słowa są wyrazem wszystkiego, czym dusza moja płonie i czego spragnione jest me serce? Duszą i sercem i całą swoją istotą tak żądny jestem Ciebie i tak za Tobą stęskniony, miłowanie Ty moje najśłodsze i najcudniejsza Pani, jaką kiedykolwiek natura wydała dla radości oczu śmiertelnych, iż tylko Niebios proszę, aby mi pomoc swą zesłały dla wytrwania tych dni, które dzielą mnie od chwili, gdy się stanę najszcześniejszym człowiekiem, już nie na całą Anglię, ale na cały świat Boży. I o to Niebiosa proszę, by mi zesłały pokorę, która mi zapomnieć nie da, że jestem człowiekiem, tylko człowiekiem, a nie bóstwem, choć do serca swego boginię przygarne i wolno mi będzie w oczy jej spoglądać, które są jak rajskie, głębokie jeziora, a w których jednak czytam zapewnienie najcudniejszej miłości, jaka kiedy płonęła w sercu białogłowy. Za smutnych dni, kiedy zwykłem z dała tylko na Cię, moja Pani, spoglądać, z sercem gorejącym afektem, męką mi było największą, iż nawet nakaz honoru nie mógł milczenia w nim nakazać owym płomiennym myślom, które rwały się ku Tobie z każdym biciem serca i tylko ze śmiercią mogłyby zamilknąć.

Gdyby było coś, co by jak złe widmo chciało stanąć między nami, gdyby coś

było, co by nas chciało rozłączyć, poprzysięgnijmy sobie nawzajem, duszo duszy mojej, że to nas tylko mocniej spoi w objęciach i że ciosy przeciwności nigdy nie zachwieją naszych zjednoczonych sił.

Niedługo jednak, o niebiańska moja, wzniosła miłości, skończy się czas mego wygnania i o tym właśnie miał Ci ten list donieść, że za cztery dni Twój słudzy otworzą przede mną wrota i wejdę w Twe progi, i u stóp Twoich najśłodszych uklęknę, i skraj Twojej szaty ucałuję, aby powstać i w ramionach swych utulić do stęsknionej piersi tę, która wkrótce będzie moją małżonką.

Cała dawniejsza słodycz wróciła na lica pięknej pani, twarde rysy złagodniały, a rzęsy zabłysły brylantową rosą łez.

Anna, siedząca sztywno przy jej boku, nie śmiała się odezwać, wiedząc, że nie należy jej z nadziemskich wyżyn przywoływać na ziemię. Lepiej aby jak najdłużej trwała w swym zachwyceniu.

Piękna pani przeczytała list nie raz, ale trzy razy, zatrzymując się na każdym słowie, a gdy wreszcie oczy od białych kart oderwała, na ustach jej był uśmiech, gdyż zaiste, zapomniała o wszystkim innym na świecie.

— Jeszcze mocniej spoi nas w objęciach — powtórzyła — jeszcze mocniej. Geraldzie mój, Geraldzie!

Anna wstała i podchodząc do niej, dłoń położyła na jej ramieniu.

— Chodźmy stąd na Chwilę — rzekła stłumionym głosem. — Chodźmy.

*

* *

Dobrze wiedziała piękna pani, iż musi opuścić palisandrową salę o określonej porze, inaczej ściągnęłaby na siebie niezwykłym zachowaniem uwagę służby, tryb jej życia bowiem był nader regularny.

Jeśli wieczerzała w domu, siadała z nią do stołu Anna w wielkiej jadalni, a zastawa ugięła się od sreber i kryształów, a lokaje w perukach i pozłocistej liberii stali za krzesłami i uwijali się po sali, jakby nie na dwie osoby, a na tuzin co najmniej nakryto.

Po śmierci hrabiego często się zdarzało, że pani hrabina do późna siadywała, pisując listy i przeglądając dokumenty, dotyczące zarządu jej dobrami, którego nie pozostawiała całkowicie na opiece rządców i prawników, jak inne panie

zwykły czynić. Sama przeglądała wszystkie umowy sprzedażne i dzierżawne, wszelkie rachunki i wszystko jasne być musiało, zanim na czym położyła swój podpis. Gdy miała jakiegokolwiek wątpliwości, przywoływała do siebie swych rządców i prawników.

Nigdy nie widziano takiej głowy na ramionach niewieścich — mawiali ci ludzie, którzy drżeli na sam widok listu, pisanego jej śmiałą ręką.

Taka pani, taka pani — dziwili się rządcy. — Niepodobna jej w błąd wprowadzić, a gdyby tak szczodra nie była jak jest przenikliwa, nikt by nie wyżył na jej służbie.

Odwołana przez Annę, Klorynda udała się na swe pokoje, aby dać się służebnym przebrać do wieczery. Gdy dokończono jej toalety, odprawiła niewiasty, sama zaś długo spoglądała w zwierciadło, a uznawszy, iż zanadto jest blada, sięgnęła po róż, którego nigdy nie używała, ale który jednak stosownie do ówczesnej mody miała na swej gotowalni.

Nie wolno mi okazywać bladości, na Boga — mówiła sama do siebie, wcierając barwiczkę.

Każdy pomyślał, że twarz jej płonie zdrowym rumieńcem, gdy zeszła wieczerzać do jadalni, a słudzy szeptali sobie, że snąc kurier księcia przywiózł dobre wieści i że zapewne wkrótce przyszyły ich pan powróci.

Przy stole, piękna pani, choć czuła wstręt do wszelkiego jadła, przymuszała się do skosztowania każdej potrawy, za to Anna nic do ust nie wzięła i blada była śmiertelnie. Twarz jej jakby skurczyła się i zapadła, a nawet jakby się przedwcześnie pomarszczyła. Siostra jej rozmawiała z ożywieniem, opowiadała ostatnie, dziś zasłyszane nowinki i wieści polityczne, żartowała sobie z owej delikatnej, porcelanowej damy, która w mdłych rączkach nie umiała utrzymać ciężkiego harapu.

Podczas gdy mówiła, łagodne, pozbawione blasku oczy Anny spoglądały na nią nieustannie z jakimś oszołomieniem, ale nic w tym nie było nowego: piękna pani przywykła do podziwu ze strony swej skromnej siostry.

— Taka cicha z ciebie myszka, Anno — rzekła hrabina ze swym czarownym uśmiechem — że nigdy mi nie przeszkadzasz, a jednak brakłoby mi ciebie, gdyby cię w domu nie było. Gdy księżę zabierze mnie do Camylottu, musisz ze mną pojechać. Zamek jest tak ogromny, że i tam znajdę ci przytulne komnatki, w których się będziesz czuła szczęśliwa. Jak słyszę, cudne to miejsce, a park, ogrody i kwietniki słyną na całą Anglię.

— Będiesz... bardzo szczęśliwa, siostró — wyjąkała Anna — jak królowa.

— Tak — odrzekła Klorynda z nagłym wzruszeniem w głosie. Po skończonym posiłku udały się obie do palisandrowej sali.

— Możesz posiedzieć ze mną, Anno, jeśli chcesz — rzekła — ale obawiam się, żeby ci nudno nie było, gdyż zamierzam pracować. Mam wiele ważnych dokumentów do przejrzenia i listów do napisania. Długo będę dziś czuwała. — Z tymi słowami obróciła się do sługi, który przed nimi otwierał drzwi. — Jeśli przed dziesiątą będzie odpowiedź od sir Oxona, życzę sobie, aby mi ją natychmiast przyniesiono, ale później nie chcę, by mi przeszkadzano. Można z tym będzie zaczekać do rana.

Gdy wymawiała te słowa, miała przed oczyma wyraźny obraz Tego, co oczekiwało na nią w komnacie, do której weszła.

Do północy siedziała za stołem, z sepetem przy boku, z rozpostartymi przed sobą papierami. O trzy kroki obok niej była otomana, ale nie spojrzała nawet na ten sprzęt. Siedziała odczytując, przeglądając i sprawdzając dokumenty. O północy wstała i zadzwoniła na sługę.

— Zabawię dłużej, niż myślałam — rzekła. — Nikogo mi tu z was na dole nie trzeba. Idźcie wszyscy spać. Powiedźcie też i mojej garderobianej żeby się położyła, obejdę się bez niej, a gdyby mi była potrzebna, zadzwonię. Od sir Johna wieści nie było?

— Żadnych, proszę jaśnie pani hrabiny — odparł sługa i odszedł z miną zadowoloną, a pani już więcej nie pytała. Wiedziała, że każdy z lokai jest rad, gdy go zwolnią od obowiązku nocnego czuwania, chyba że byłby jakiś bal, wtedy chętnie by czuwali choćby do świtu dla napiwków.

Jejmość Anna siedziała skulona w wielkim fotelu, a twarzyczka jej była szara i zapadła. Gdy usłyszała stuk zamykanych okiennic, brzęk zasuw i zgrzyt kluczy, wiedziała, że zbliża się chwila, kiedy i ją siostra zechce odprawić. Zatrzęsnięto drzwi od sieni i cisza zapadła, jak we wszystkich domach, gdy czeladź się uda na spoczynek. Nic w tym przecież nie było dziwnego, ale tej nocy cisza tak przejęła Annę do głębi, że własny jej oddech wydawał jej się zbyt głośny.

— Idź spać, Anno — rzekła siostra. — Za długo już czuwasz.

Anna wstała z fotela i podeszła do niej blisko. Wątlą była istotą i dziwnie wątló dziś wyglądała z tą swoją bezbarwną twarzyczką i zagasłymi oczyma, z

drobnym kosmykiem włosów, przylgniętym do zwilgotniałego czoła. I taki wiechetek stanąć miałby w drodze do tego straszliwego dzieła, jakie owej nocy miało być dokonane?

— Nie — rzekła hrabina Dunstanwolde, ściągając piękne brwi.

— Wracaj do swej komnatki, Anno, i kładź się spać. Ja muszę wziąć się do pracy i ukończyć tej nocy to, co zaczęłam.

— Ale, ale... — wyjąkała Anna, zalękała, jak zawsze, w obliczu swej mocnej siostrzycy — czy nie mogłabym ci dopomóc, w miarę swoich sił? Czy nic nie mogłabym dla ciebie uczynić, siostrzo?

— Nic — odrzekła Klorynda prostując się na całą wysokość swego wspaniałego wzrostu. Oczy jej dziwnie pociemniały. — Co ty się na tym rozumiesz?

— Choć jakiś drobiazg chciałabym spełnić, jakąś ubożuchną usługę — prosiła Anna, zaplatając w zakłopotaniu dłonie, przeraziły ją bowiem chmury, gromadzące się na czole hrabiny. — Zawsze cię tak miłowałam, siostrzo, i tak miłuję, że chwilami umysł mój się przejaśnia i rozumiem więcej, niżby ci się zdawało. Powiedziałaś kiedyś...

Sama nie wiedziała, jak to się stało, że nagle została porwana w mocne białe ramiona pięknej pani i przygarnięta do jej piersi; poczuła, jak tam się tłucze dumne serce szalonym biciem, poczuła mocny pocałunek na swym policzku i gorące krople łez.

— Powiedziałam wtedy, że gdybym kogoś zamordowała w twych oczach — zawołała Klorynda — nie przestałabyś mnie kochać i byłabyś mi przyjacielem i pociechą.

— Na pewno, na pewno! — zawołała Anna.

— Wierzę ci na słowo, biedna, wierna duszo, wierzę — rzekła piękna pani i znów ją mocno ucałowała, ale po chwili puściła ją wolno i zaśmiała się krótkim śmichem. — Ale cię nie wystawię na próbę

— rzekła — bo nie jestem winna morderstwa. A za dwa dni mój Gerald będzie tu i będę bezpieczna, bezpieczna i szczęśliwa na zawsze.

A teraz dobranoc. Chciałabym sama pozostać i skończyć moją pracę.

Wróciła do stołu i zasiadła przy nim, Anna zaś, wiedząc że jej tu dłużej

pozostać nie pozwoli, wolnym krokiem odeszła ku drzwiom i jeszcze w progu przystanąła, aby się obejrzeć. Ujrzała, jak światło z kandelabrow krwawo migoce w rubinowym naszyjniku dokoła szyi jej pięknej siostry i w diademie, tkwiącym w jej czarnych, wspaniałych włosach, wysoko upiętych nad czołem.

*

* *

Dziwnie łatwo na tym świecie człowiekowi stracić swe znaczenie. Ten, który jest dziś celem wszystkich oczu i przedmiotem wszystkich rozmów, niech tylko z miejsca swego na chwilę ustąpi, a już wróciwszy, zostanie je zajęte przez rywala, a siebie w takim ujrzy zapomnieniu, jakby wcale nie istniał. Zaledwie kilka lat temu żaden modny festyn nie udałby się, gdyby go swą obecnością nie okraszał piękny i dworny galant, sir John Oxon. Damy wielce go faworyzowały, panowie gustowali w jego kompanii, powtarzano sobie jego dowcipy, naśladowano jego fryzury oraz krój jego kamizelek. Był podówczas i młody i bogaty, ale gdy roztrwonił fortunę, a zamierzony związek z bogatą dziedziczką nie doszedł do skutku, wyraźniej jakoś dostrzegać poczęto jego wady i narowy. Przy tym zaś, na widnokręgu modnego świata zjawili się inni młodzi kawalerowie, równie piękni jak on, nawet bogatsi, i ci stali się przywódcami mody zdobywając serca niewieście. I tak z wolna uwaga publiczna poczęła się odwracać od słynnego jeszcze niedawno galanta i mniej życzliwie poczęto się o nim odzywać.

Niebezpiecznie matronom z córami na wydaniu—powtarzano—za często w swych progach oglądać kawalera, który fortunę swą na grę w kości i hulanki przetrwoniał, a w dodatku jak wiadomo, odrzucony został przez młodą, a bogatą dziedziczkę.

I tak się stało, że damy poczęły unikać sir Johna, a jego łaska u dworu i wzięcie w świecie malały z każdym dniem. Miał przy tym tyle długów i tak był ścigany przez wierzycieli, że nawet gdyby sukces w świecie zachował, byłby zmuszony tryb życia mocno zmienić. Nie zajmował już kwatery w najmodniejszej i najbogatszej dzielnicy miasta, jego brokaty i koronki nie były już tak wspaniałe i świeże ani się strój jego najpiękniejszym krojem nie odznaczał. Nie mógł już utrzymać ekwipażu i nie stać go już było na więcej niż jednego wierzchowca. Wkrótce po owym zerwaniu jego zaręczyn z bogatą dziedziczką, odumarła go matka, a dalsi krewni, z dawna przeciwni lekkości jego obyczajów, niechętnie z nim utrzymywali stosunki.

Tak się więc przydarzyło, że gdy się nie ukazał na swej kwaterze, dokąd hrabina Dunstanwolde kilkakrotnie posyłała swego lokaja, nikt się nie dziwił jego dłuższą nieobecnością, nawet jego pacholek, nawet gospodyni, od której kwaterę

odnajmował.

„Uciekł z Anglii, żeby się nam wymknąć”, mruzcili zagniewani krawcy i bławatnicy, którzy jego drzwi na próżno oblegali od wielu miesięcy. „Ładne grosze nam wyrwał z kieszeni!” żalili się wszyscy. „Obrabował nas i uniknął więzienia, w którym siedziałby za długi już od dawna, gdybyśmy nie byli głupcami”.

— Myślicie panowie, że on już nie wróci? — pytała jego gospodyni.

— Bóg mi świadkiem, że mi dotąd szeląga nie zapłacił za kwaterę, ale taki był z niego świetny i piękny kawaler, i taki układowy, zawsze się tak wdzięcznie uśmiechał i do mnie i do mojej Jenny.

— Pilnuj waćpani dobrze swojej Jenny, gdyby wrócił — zaśmiał się gorzko krawiec.

Ale sir John nie wrócił, a gdy wieść się rozeszła w modnym świecie, że od wierzycieli umknął, nikt się bardzo jego zniknięciem nie przejmował. Ciekawsze były rzeczy do omawiania, choćby bliski ślub pięknej hrabiny Dunstanwolde z księciem Osmonde. A było o czym myśleć, każdy bowiem, kto się spodziewał być proszony na wesele, musiał zawczasu przygotować stroje, kto zaś nie miał być proszony, ten myślał o własnym rozczarowaniu.

Sir John uciekł z Anglii, żeby nie być świadkiem tego wszystkiego

— mówili niektórzy.

Uciekł, żeby uniknąć czegoś gorszego, niż zawód miłosny — drwili inni. — Był już bez grosza, a widząc, że hrabina Dunstanwolde nie zamierza poratować jego niedostatku swoją fortuną, i że wierzyciele tracą cierpliwość, umknął zniechęcony.

Lady Dunstanwolde, zamierzając po ślubie opuścić swój pałac, wydała rozkazy, aby dokonano w nim różnych przeróbek, spodziewała się bowiem nadal tutaj mieszkać po powrocie do stolicy. Pomędzy innymi reperacjami zarządziła zamurowanie wejścia do nieużywanej nigdy części lochów.

— Będzie to bezpieczniejsze, gdyż sklepienia są tam zmurszałe i grożą zawaleniem, a przy tym czuć tam pleśnią i wilgoć stąd się rozchodzi na dom — powiedziała.

Nakazała, aby nie tracono czasu, toteż od razu murarze zabrali się do pracy. Wnet nazwożono cegieł i wapna.

Zdarzyło się, iż jeden z majstrów, młody i przystojny, wchodząc właśnie tylnym wejściem pałacu z faską wapna na ramieniu, ujrzał u tego wejścia przerażoną, ładną i młodą wieśniaczkę, a że sam był chłopcem przystojnym i żywym, obejrzał się za nią i uśmiechnął się przyjaźnie. Ponieważ zauważył to samo dziewczę następnym razem, kiedy przy drzwiach przechodził, zagadnął je, uśmiechając się życzliwie.

Dziewczyna spojrzała na niego wzrokiem pełnym wdzięczności i wtedy dopiero ów człowiek zauważył, że biedaczka ma oczy czerwone od łez.

— Myślicie, panie — spytała — że jaśnie pani hrabina dopuści do siebie biedną dziewczynę? — spytała. — Nie mam odwagi żadnego z tych sług zapytać, powiedzcie, panie, czy mnie od drzwi nie odegnają? Czy ona wygląda na panią gniewliwą i twardego serca?

— Gdzie zaś! — odrzekł majster, rad pomówić z ładną dziewczyną.

— Przed chwilą ją zaledwie widziałem, kiedy wydawała rozporządzenie, gdzie i jak murować. Wysoka to i stateczna pani, ale ma takie cudne oczy, że każdy rad by w nie spoglądać.

Łzy poczęły płynąć z oczu dziewczki. — Tak mówią — rzekła.

— Ma licznych wielbicieli. Niejeden kawaler sprzeniewierzył się swej lubej dla jej pięknych oczu. Myślałam, że jest sroga i okrutna. Znacie, panie, kogoś ze sług pałacowych? Moglibyście spytać któregoś, co myśli, czy też raczyłaby ta pani wysłuchać biednej dziewczyny, która by z nią pomówić chciała... o pewnym, znanym jej kawalerze.

— Pewno, że mógłbym spytać któregoś w liberii — odrzekł majster — ale pani hrabina za mąż wkrótce idzie, a choć ja tam się nie znam na panach, ale zdaje mi się, że nie będzie miała chęci, żeby jej przeszkadzano.

— Tego i ja się boję — rzekła dziewczka — ale błagam was, spytajcie panie któregoś z nich, takiego, co mu dobrze z oczu patrzy.

— Macie szczęście, panienko — odrzekł murarz. — Oto właśnie wyszedł starszy lokaj. Jest tu młoda dziewczka ze wsi, która chciałaby się widzieć z jaśnie panią hrabiną — dodał, zwracając się do sługi.

— Lepiej by szła precz — rzekł sługa. — Myślicie, że jaśnie pani ma czas na rozmowy z byle kim?

— Prosiłabym tylko o chwilę widzenia — rzekła dziewczyna. —

Chciałabym mówić z jaśnie panią hrabiną o... o sir Johnie Oxonie...

Twarz sługi zmieniła się na dźwięk tego imienia, był to bowiem właśnie ów Jenfry, którego pani posyłała na kwatery sir Johna.

— Spytałem jaśnie pani hrabiny—rzekł. — Gdybyście panienko inne imię wspomnieli, nie śmiałybym dziś jaśnie pani fatygować.

Pani hrabina była w alkowie z jejmością Anną, gdy lokaj przyszedł oznajmić o nieznajomej petencie.

— Wiejska jakaś dziewczuszka, proszę jaśnie pani hrabiny — rzekł. Przychodzi od sir Johna Oxona.

— Od sir Johna Oxona! — zawołała Anna, zerwawszy się z krzesła. Hrabina Dunstanwolde ani drgnęła, obróciła tylko bacznie wzrok na sługę.

— A więc powrócił? — spytała.

— Powrócił! — powtórzyła Anna bezdźwięcznym głosem.

— Słyszałam, że wyjechał po owym dniu, kiedy mnie do domu konno odprowadził — rzekła hrabina. — Widać jednak powrócił. Czego chce ta dziewczyna?

— Chce mówić z jaśnie panią hrabiną — odparł sługa — o samym sir Johnie, jak powiada.

— Sprowadźcie ją tu — rozkazała pani.

Wprowadzono dziewczeczkę przeleklą i drżącą. Było to stworzenie przybyłe prosto ze wsi, liczące lat siedemnaście, o różanej cerze, oczach dziecińczych, błękitnych, o złotych włosach, zwijających się w bujne kędziory. Była tak przestraszona wspaniałością swego otoczenia i majestatyczną urodą pani, mającej wkrótce zostać księżną, że przystanąła w progu, dygając lękliwie i trzęsąc się ze strachu, a w jej oczach zakreśliły się łzy.

— Nie bój się — rzekła hrabina. — Pdejdź tu bliżej, dziecko, i powiedz mi, co cię tu sprowadza.

Zaiste nie wyglądała wcale na panią gniewliwą i twardego serca, a jej niespodziewana łagodność tak nagły przewrót uczuć sprawiła w dziewczęce, że podeszła kilka kroków bliżej i padła na kolana ze wzniesionymi rękoma, zalewając się łzami.

— Miłościwa pani — rzekła — sama nie wiem, jak się ośmieliłam przyjść, ale jestem w rozpacz, a pani hrabina jest taka szczęśliwa, że myślałam... myślałam, że się zmiłuje nade mną.

Pani pochyliła się ku niej. — Przychodzisz od sir Johna Oxona? — spytała.

— Nie od niego, za przeproszeniem jaśnie pani hrabiny — rzekła dziewczeczka —... ale... ze wsi... do niego... — tu głowę na pierś opuszczyła — i nie wiem, gdzie on jest.

— Do niego przybyłaś? — spytała pani. — Byłabyś jedną z tych, które on... skrzywdził?

Młoda petentka spojrzała na nią rozszerzonymi ze zdziwienia oczyma.

— Jakże mógł mnie skrzywdzić on, który był tak cnotliwym i nabożnym panem? — wyjąkała.

Pani hrabina wstała nagłym ruchem. — Był taki? — rzekła.

— Gdyby nie był taki — odrzekła dziewczeczka — matka moja bałaby się mu ufać. Matka moja jest wdową i mamy dworek we wsi, bardzo ubogi dworek. Wychowała mnie jednak starannie i uczciwie, a kiedy sir John przybył do naszej wioski, pani matka się bała, boć to pan ze stolicy. Gdy jednak poznała jego nabożność i jak do kościoła chadzał, i psalmy śpiewał, i modlił się kornie a żarliwie, pozwoliła mi przyjąć jego oświadczyń.

— Więc chadzał do kościoła i modlił się, nim go poznałaś? — spytała hrabina.

— W kościele mnie zobaczył po raz pierwszy, miłościwa pani — padła odpowiedź. — Mawiał, że gdy w nieznannej miejscowości do kościoła idzie, napotyka nieraz niebiańskie liczka, bo pobożność i niewinność czynią lica do anielskich podobne: i serce jego niewinność i cnota zapaliły do miłości, a nie jedynie przemijające wdzięki.

— Mów dalej, niewinne stworzenie — rzekła pani i obróciła się do Anny, na uboczu do niej przemawiając cichym, szybkim szeptem, żeby jej dziewczeczka nie słyszała, a oczy jej pałały dziwnym ogniem. — Boży dom — rzekła — Boże modlitwy, pieśni ku Bożej chwale... Wszystko to wykorzystał, aby niewinne serce uwieść i niewinne życie pchnąć w otchłań zatracenia... i jednak piorun z nieba go nie ubił?

Anna zakryła twarz dłońmi i zadrzała.

— Był to szlachetny i wielki pan — mówiło dziewczę ze łzami — i niegodna jestem być mu towarzyszką, ale on mnie miłował. Mówią, że miłość czyni ludzi równymi, a on mi powtarzał, że jestem najśłodszym w świecie, niewinnym stworzeniem i że on beze mnie żyć nie może. I powiedział pani matce, że już nie jest ani bogaty, ani już nie jest modnym kawalerem, że już zerwał znajomości ze światowymi przyjaciółmi, którzy mogliby wyśmiewać się z jego skromnej, młodej żony.

— Więc chciał się z tobą żenić? — spytała pani. — Powiedział, że się z tobą ożeni?

— Tysiąc razy mi to powtarzał, miłościwa pani, i pani matce również, ale powiedział, że muszę przybyć do miasta i ślub brać z jego kwatery, bo inaczej ślub nie będzie ważny przed prawem, jako że on jest ze stolicy a ja ze wsi.

— I ty przybyłaś tu, dziecko — pytała jejmość Anna, z której oczu płynęły wielkie łzy — przybyłaś tu na jego wezwanie?

— Kiedy przybyłaś? — spytała pani głosem pełnym niepokoju.

— Byłaś na jego kwaterze i przebywałaś tam z nim... choćby godzinę? Dzieweczka podniosła zdziwione oczy. — Nie zastałam go! — zawołała. — Przybyłam sama, bo powiedział, że trzeba będzie rzecz trzymać z początku w wielkiej tajemnicy, a serce tak mi biło od radości, miłościwa pani, że kiedy gospodyni tego domu, gdzie on mieszka, wpuściła mnie na kwaterę, głosu nie mogłam wydobyć. Ale ona jest kobietą wesołą i życzliwą i tylko śmiała się i dodawała mi otuchy, kiedy siedziałam, drżąc z przejęcia.

— Co ci ona powiedziała? — spytała pani, a pierś jej unosiła się gwałtownie.

— Powiedziała, że on jeszcze nie wrócił, ale że wróci na pewno do takiego ładnego i miłego stworzenia jak ja, że muszę na niego zaczekać, bo nie darowałby jej, gdyby mi pozwoliła odejść. A kiedy tak czekałam, przyszedł jakiś ksiądz w sutannie i komży, ale wcale świątobliwie nie wyglądał i słyszałam, jak sobie żarty stroił w sąsiednim pokoju z gospodynią i oboje tak się brzydtko śmiali, że mnie strach zdjął, aż rada byłam, że potem przeszli w inną stronę domu.

— Ale on nie wrócił tej nocy — rzekła pani — Bogu niech będą dzięki.

Dzieweczka zerwała się z kolan, rękę przyciskając do piersi.

— Czemu Bogu miłościwa pani dziękuje? — spytała, a łzy lały się z jej oczu. — Biedna jestem dziewczyna i nic na świecie nie miałam, oprócz tego

wielkiego szczęścia i to mi zostało zabrane, a pani hrabina Bogu dziękuję!

Wtedy łzy popłynęły i z oczu pięknej pani. Podeszła, pochwyciła dziewczeczkę za rękę, a jej szkarłatne usta drżały.

— Nie dlatego, że ci radość została zabrana, dziękowałam Bogu — rzekła. — Nie jestem okrutna, Jemu jednemu wiadomo i jeśli On mnie skarże, to nie za okrucieństwo. Już nie wiem, czemu to powiedziałam, ale ty mów dalej, co wówczas uczyniłaś?

— Poszłam do ubogich ludzi, żeby zanocować, bo miałam przy sobie parę groszy — wyjaśniła dziewczeczka. — Zaczny to dom, choć bieda tam i ciasnota. Następnego zaś dnia znów poszłam na jego kwaterę i pytałam czy wrócił, ale okazało się, że nie i wejść nie chciałam, choć mnie ta kobieta namawiała, zapewniając, że sir John wkrótce wróci, bo wczoraj widziano go, jak konno jechał z hrabiną Dunstanwolde i jak do jej pałacu wstępował. Na pewno też do domu zamierzał wrócić, bo pani hrabina trzykroć przysyłała tu swego lokaja z listem.

Ręka, którą jejmość Anna zasłania oczy, poczęła drżeć. Zadrżałyby i dłoń pani hrabiny, gdyby nie przedziwna moc jej woli.

— I nie wrócił? — spytała. — Nie widziałaś go już? Dzieweczka potrząsnęła złotymi puklami swych bujnych włosów, szlochając cichutkim, przerywanym szlochem.

— Nie wrócił! — zawołała — i nie wiem, co mam czynić... i wielkie miasto wydaje mi się tak pełne złych ludzi, mężczyzn i kobiet. Nie wiem, w którą stronę się obrócić, bo wszyscy jakby się na mnie zmówili i chcieliby mnie w hańbę wciągnąć, a wrócić do matki nie mogę.

— Dlaczego nie, dziecko? — spytała pani.

— Nikt by we wsi nie uwierzył mojej opowieści. Przecież nie wziął ze mną ślubu... a przy tym... on może wróci.

— A gdyby wrócił? — spytała hrabina.

Na to pytanie dziewczeczka znów rzuciła się na kolana i kraj sukni hrabiny pochwyciła, podnosząc na nią błagalnie oczy.

— Miłuję go — szlochała — tak bardzo go miłuję, że nie mogę opuścić miasta, dokąd on może wrócić. I on mnie miłował, choć z niego taki wielki pan! Nie mogę zapomnieć tego wieczoru, kiedy mnie tulił do piersi przed naszym

dworkiem, a słowik śpiewał wśród bzów, a on tak dziwne słowa mi szeptał. Leżę i płacę po nocach, aż poduszka mokra jest od łez... Tak pragnę go widzieć, słyszeć jego głos... A kiedy się dowiedziałam, że był w pałacu, ośmieliłam się przyjść, myśląc, że może miłościwa pani słyszała coś od niego, dokąd się udał. Nie mogę stąd odejść, myśląc, że on będzie tu za mną tęsknił lub że go utracę na zawsze. Och, pani, miłościwa! To miasto jest tak pełne zasadzek i zła, że może ktoś mu zadał jakiś cios skrycie, może ktoś go zamordował i ukrył i nikt się o niego nie upomni, chyba ta, która go miłuje. Czy tak być mogło, czy mogło? Pani hrabina tak dobrze wie, jak w stolicy bywa. Błagam, miłościwa pani, powiedzcie mi, błagam, na Boga zaklinam!

— Boże miłosierny — szepnęła Anna, tłumiąc szloch. Hrabina Dunstanwolde pochyliła się śmiertelnie blada.

— Nie, nie — rzekła. — Nikt go nie zamordował, nikt. Ucichnij, biedactwo, ucichnij. Coś ci muszę rzec.

Usiłowała unieść ją z kłeczek, ale dziewczę tylko się czepiało jej szaty, drżąc ze wzniesionymi w górę oczyma.

— Gorzka to rzecz — rzekła pani. — Niech nam Bóg dopomoże, tobie słów moich wysłuchać, mnie powiedzieć. Niech nas Bóg wszystkich wspiera. Nie mówił mi o swym wyjeździe, ale dokądkolwiek pojechał, wierzaj mi, lepiej, że tak się stało.

— Nie, nie — zawołała dziewczeczka — nie, to niepodobna. On mnie miłował, jak księżę pan miłuje panią hrabinę.

— Źle ci życzył — rzekła pani z dreszczem—i krzywdę by ci uczynił. Łotr to był, łotr, który cię chciał oszukać. Gdyby go Bóg piorunem zgładził tego dnia, byłoby to łaską dla ciebie. Znałam go dobrze.

Dzieweczka wydała przeraźliwy krzyk i padła u jej stóp zemdlna, hrabina zaś uklękła przy niej, rozpinając jej gorsecik, rozgrzewając jej ręce, jakby była jej rodzoną siostrą.

— Każ podać wody, Anno — rzekła — i wina. Biedactwo wróci do przytomności, a jeśli w porę znajdzie życzliwą opiekę, ból rychło minie. Bogu niech będą dzięki, że nie zaznała bólu, na który nie ma lekarstwa. Zaopiekuję się nią jak wszystkimi, których on skrzywdził i opuścił.

Była tak dziwnie łaskawa dla biednej, wiejskiej dziewczyny, która do przytomności wróciwszy, wciąż tylko zalewała się łzami i mdlała na nowo, że

służebne, które wezwała sobie do pomocy, oczom wierzyć nie mogły, dziwiąc się tej wielkiej pani, która na samym progu własnego szczęścia potrafiła się nachylić, by pociechę i opiekę zapewnić tak nisko postawionej istocie. Mówiono, że ta dziewczyna była ofiarą sir Johna Oxona, który opuściwszy swych wierzycieli, nie zawahał się również opuścić tej wiejskiej piękności.

Dobrze trafiła — mówili słudzy. — Ponoć kiedyś sir John kochał się w naszej pani i ona mu podobno przez czas jakiś nie była przeciwna, ale to już dawne dzieje. Miłosiernego serca pani z naszej hrabiny, oby wszystkie wielkie panie szły w jej ślady. Obiecała wyprawić tę dziewczynę z matką do Dunstanwolde, jeszcze w tym tygodniu. Tam nikt jej nie zna i nikt nie będzie pytał o jej nieszczęsną przygodę. Aż się lekko na sercu robi słysząc o takiej łaskawości.

*

* *

Gdy książę powrócił z Francji i wnet w odwiedziny pośpieszył do tej, która miała stać się jego małżonką, słudzy hrabiny wprowadzili go nie do palisandrowej sali, a do innej, którą pani właśnie w ciągu dwóch dni kazała przerobić i którą uczyniła jak najbardziej do tamtej komnaty niepodobną. Boazerie były tu białe, mebelki delikatne, jasne, obite wzorzystą materią, kotary także jasne w bukieciki kwieciami wstążkami różowymi i niebieskimi wiązane i także dywany. Okna tu były szerokie, weneckie, przez które wdzierały się jasne promienie słońca. Komnata była ukwiecona różami; pełno ich było we wszystkich wazonach, a woń wydawała przesłodką.

Z ławy przy oknie, spośród kwiatów i zieleni, wstała postać ubrana w śnieżną biel, postać, ni to dostojnej dziewczycy, ni to anioła. Była to Klorynda, która szła na spotkanie księcia, z rumieńcami na licach, z jaśniejącymi promiennie oczyma, a którą w ramiona pochwycił z takim uniesieniem miłości, z tkliwością tak błogą, że niebo mogłoby się uśmiechnąć na ten widok.

— Miłości moja, miłości! — wyszeptał. — Życie me, duszo duszy mojej!

— Geraldzie mój! — zawołała. — Mój Geraldzie, niech mi wolno to będzie po tysiącokroć na twojej piersi powtórzyć.

— Żono — rzekł — ty, która moją będziesz wkrótce aż do kresu żywota!

— Nie, nie! — zawołała, tuląc swe lica do jego lic—przez wieczność całą! Miłość bowiem nie zna końca!

Jako że wzrostem przewyższała wszystkie niewiasty, tak i miłość jej wyższa się zdawała i większa, równie wolna od ziemskiego ubóstwa uczuć, jak uroda jej wolna była od skaz. Miłość ta nie znała wątpliwości, była wolna od pychy, miłość bez granic, niczym nie zmierzona.

— Jestem nowo narodzoną istotą •— mówiła. — Dopóki mnie miłością swą nie nazwałeś, nie było we mnie życia. Wszystko przedtem było ciemnością. Tyś, mój Geraldzie, powiedział: „niech się stanie światłość” i stała się światłość!

— Cicho, cicho, najśłodsze ukochanie, słowa twe zanadto mnie czynią podobnym do Boga.

— Toż Miłość jest Bogiem!—zawołała z rękoma na jego ramionach i z oczyma ku niemu wzniesionymi. — Czymże innym? Miłość znamy, miłość uwielbiamy i przed nią kłękamy, miłość nas zwycięża i oddaje niebu. Zanim to poznałam, w nic nie wierzyłam. Teraz kłękam co wieczór i co rano i modłę się, i modłę, o to tylko, by mi wszystko było wybaczone i bym stała się ciebie godna.

— Nie wiem, jaki jest Ten, który jest nad nami — mówiła — ale jeśli On nas stworzył, musi wiedzieć dlaczego nas uczynił słabymi i złymi, a gdy przed Nim w proch padamy i błagamy o wybaczenie, On na pewno wybaczy. Nic nie wiemy i nic nie rozumiemy, tak niewiele posiadamy, a tak wiele nam zagraża, ale w imię miłości będę się modliła, jak umiem, i w imię miłości nie będzie prochu dość niskiego dla mnie, bym się weń nie rzuciła, gdy wznoszę swe błagania.

I dziwne to było, ale prawdziwe, że przez swego Geralda, który był szlachetnym mężem o wzniosłej duszy, doszła do złożenia pokłonu przed tronem Bożym, jak najpokorniejsza z jego sług, choć nikt jej wiary nie uczył, aż się znalazł ten jeden na świecie, który jej nauczył miłości.

— Życie trwa krótką tylko chwilę — rzekła do Osmonde'a — za krótkie mi się wydaje, aby je spędzać na ziemskich radościach, a gdy dzień nadejdzie, Geraldzie mój, dzień, gdy nas śmierć rozłączy... musi tak być, by to z nas, które tu pozostanie, wiedziało, że to rozstanie nie jest na zawsze.

— Nie może być na zawsze, ukochana—rzekł Osmonde. — Miłość, zaiste, jest wieczna.

Często w tych błogich godzinach była jak dziecko, tak tkliwa, tak się do niego czule garnąca. Nieraz jej wielkie, cudne oczy pełne były błagania, jakby się zasnuwały mgłą łez. Tak było i w owej chwili.

— Uczynię, co w mej mocy — rzekła. — Będę się modliła i dawała

jałmużny, będę dążyła do uświęcenia swego życia, aby w końcu On mnie od ciebie nie odrzucił, aby mi było wolno przy tobie zostać, nawet w najniższym miejscu, bylebym mogła twe oblicze oglądać i wiedziała, że i ty mnie widzisz.

Do Anny przychodziła teraz z dziwną pokorą, wypytując ją o rzeczy wiary, o obowiązki religijne, radząc się, jakie czytywać księgi nabożne i na jakie nabożeństwa uczęszczać.

— Tyś była nabożna przez całe życie — mówiła. — Dawniej zdawało mi się to głupotą, ale teraz...

— Ale teraz... — podjęła Anna urwane słowa.

— Teraz nie wiem, co myśleć — odrzekła. — Chciałabym się dowiedzieć.

Gdy jednak słuchała nabożnych słów Anny, te wzbudzały w niej tylko niepokój i niezadowolenie.

— Nie, to nie to — mówiła. — To jest czymś większym, czymś głębszym, czymś olbrzymim, a wasze kazania nie mogą tego objąć. Nastawiają moją myśl jedynie do pytań i buntu.

Niewiele czasu upłynęło do dnia, w którym odbyły się obrzędy weselne, a takiego ślubu modny świat nie widział od lat wielu, powiadano. Królewska para uświetniła go swą obecnością, najwięksi dostojnicy kraju czuli się szczęśliwi móc się do grona gości zaliczać, a orszak weselny przez kilka ulic się ciągnął.

Młoda para przeniosła się po ślubie do Camylott, najpiękniejszego zamku wśród licznych włości oblubieńca. Minęły dni weselnych przyjęć i ceremonii, nużących dla obojga, ale których jednak nie skrócili, aby nie zasmucać gości. Gdy jednak z tym skończono i pałace obojga w mieście pozamykano, a ekwipaże młodej pary wyjechały z miasta na szeroki gościniec, księżę i jego pani siedzieli w kolasie, ręka w rękę, spoglądając sobie w oczy z tak żarliwą i niewinną radością, jakby byli parą prostych, młodych wieśniaków, uciekających od ludzi, by przed ich oczyma skryć swoją miłość.

— Jak to być może, iżby tak królewsko dostojna pani — mówił Osmonde — miała oczy tak młode jak dziecko. Nigdy niczego podobnego nie widziałem.

— Bo jestem nowo narodzonym dziecięciem, już ci mówiłam, ukochany — odrzekła, przechylając się do niego. — Widzisz, nigdy przedtem nie byłam dzieckiem. Przychodzę do ciebie nowo narodzona, uczyn ze mnie niewiastę, jaką być powinnam, abym zasłużyła na miłość męża i miłość Bożą. Jestem twym dzieckiem i twoją służebnicą.

Zawsze tak bywało, że ksiązę tłumił podobne słowa, porywając ją mocnym ramieniem i przygarniając do swej piersi. Była tak piękna i dumna i do bogini podobna, a jednak przychodziła doń z taką pokorą miłości, że się nigdy dość nie mógł nadziwić.

— Za piękne to i za cudowne — mawiał — aby mogło być prawdziwe.

W złocisty wieczór, gdy słońce już skłaniało się ku zachodowi, przybyli do Camylottu. Dzwony rozbrzmiewały z siwej dzwonnicy starego kościoła, wieśniacy wyszli na spotkanie państwa młodych przystrojeni w najlepsze swe szaty niedzielne, w białych kabatach i czerwonych płaszczach, kłaniając się z radosnymi okrzykami. Małe wiejskie dziewczątka rzucały polne kwiaty koniom pod nogi, a co śmielsze to i do samej kolasy. Pojazd przebywał triumfalne bramy uwite z zieleni i kwieciami, a z wieży starego zamczyska powiewała flaga na łagodnym wietrze.

— Niech Bóg błogosławi jaśnie oświeconym państwu — wołali prostaczkowie. — Niech im Bóg da długie i radosne lata.

— Cóż to za piękna z nich para — szeptali sobie ludzie. — A młoda księżna! Choć mówiono o niej, że taka dumna z niej pani, a jakże się słodko uśmiecha do każdego.

— Niech Bóg błogosławi naszej pani — wołano.

Księżna Osmonde wychylała się z kolasy i uśmiechała się do wszystkich uśmiechem promiennego anioła.

— Nauczę ich, by mnie miłowali, Geraldzie — rzekła. — Nie dość miałam miłości.

— Czyż cię nie miłował cały świat? — spytał ksiązę.

— Nie — odrzekła. — Tylko ty, i Dunstanwolde, i Anna. Późną nocą wyszli razem na wielki taras pod wieżą. SzafiroWoczarne

sklepienie niebios nad nimi wybite było miliardami Bożych brylantów, pod nimi rozpościerało się piękno całej krainy; rozległe pola, łagodne wzgórza, lasy i łąki spowite i otulone w aksamitną szatę nocy. Z parku i pól płynął świeży zapach gleby, żywiczna woń lasów i zagajników pełnych paproci, wonność róż i tysiącznego kwieciami z ogrodu, ciche wzdychanie wiatru w olbrzymich dębach i bukach, rosnących wzdłuż wielkich alei i królujących, niby władcy potężni nad bezmiarami zieleni.

Jak przechadzali się kochankowie od dni Edenu, tak i przechadzało się dziś tych dwoje, nie książe i księżna, ale mężczyzna i niewiasta, tak bliscy raju, jak tylko dane to być może śmiertelnym przed dniem, w którym Bóg skruszy okowy wiążące człowieka z ziemią.

Książę objął ją ramieniem, ona zaś wsparła się o niego; ich powolne kroki tak były dostrojone do siebie, jak tony niebiańskiej harfy. Słowiki wywodziły swe trele w różanych zaroślach, nie płoszone cichym szeptem ich głosów. Może tej nocy, tak bliscy byli oboje natury, iż przekroczyli granicę dzielącą człowieka od stworzenia i może czuli się tak szczęśliwi, jak te słowiki.

— O, być niewiastą — szepnęła Klorynda. — Być niewiastą! Zwano mnie „Diana” i „Boginią” i „Monarchinią”, ale nikt mnie nie nazwał słodkim mianem niewiasty. I gdyby się nie przecięły nasze ścieżki, nigdy bym tej słodczy nie poznała, gdyż niewiastą nigdy się nie czułam.

— O, niewiasto, niewiasto! — szeptał, tuląc ją do siebie. — Niewiasto, która jesteś moja, choć zwykły tylko ze mnie śmiertelnik.

— Jednym jesteśmy — rzekła — jednym tchnieniem, jedną duszą, myślą jedną i jednym pragnieniem. Gdyby tak nie było, nie byłabym niewiastą i twoją żoną, a ty mężczyzną i moim małżonkiem. Gdyby tak nie było, byłibyśmy nadal każde sobie, choćbyśmy byli tysiąc razy poślubieni. My zaś w rozłączeniu byłibyśmy jak części odrąbane od jednego ciała, tak zaś... jesteśmy jednym.

Przez chwilę nic nie mówili, a słowik w gąszczu róż, których gałęzie przerzucały się przez balustradę, uniósł swą maleńką główkę i zaśpiewał ku miliardom złotych gwiazd nad nimi. Stali oboje i słuchali, ręka w rękę, a jej biała pierś podnosiła się szybko, oczy zaś wzniesione były ku iskrzącym się niebiosom.

— Jestem częścią tego wszystkiego — mówiła — jak i częścią ciebie. Dziś tak jak tętni puls ziemi i drży światło gwiazd i wiatr wzdycha, tak i ja, będąc niewiastą, pulsuję i drzę, i wzdycham. Ziemia żyje dla słońca i dziwną tajemnicą rok w rok niesie owoc i kwiaty; miłość jest mym słońcem, a przez jego świętość i ja mogę rozkwitnąć i być równie szlachetna jak ziemia i to, co ona rodzi.

*

* *

W jasnej wieży, której okna spozierały na dalekie lasy i na bujne, zielone doliny zstępujące ku morzu, jejmość Anna miała swą siedzibę przeznaczoną jej

przez siostrę na mieszkanie. Tu mieszkała i modliła się, i spoglądała na piękny świat, i radowała się szczęściem tych, których miłowała.

— Wydają mi się, jak pierwsi nasi rodzice w raju — mówiła sobie

— ale im Drzewo Wiadomości nie jest wzbronione i żadnego ich nie uczy zła.

I tu, jak i dawniej w rodzicielskim dworze, lubiła na siostrę spoglądać z okienka, tylko nie skrycie jak wtedy, i radość czuła w oglądaniu dostojnej pary, przechadzającej się po tarasie lub wśród kwiatów ogrodu.

— Tak mi jest, jakbym widziała oblicze samej miłości, tej miłości, którą Bóg uczynił — mówiła sobie z cichymi westchnieniami.

Wydawało jej się bowiem, iż miłość i życie przeświecają poprzez ziemskie powłoki tych dwojga, jak światło przez alabastrową lampę, a tak byli w sobie pogrążeni, że żadna myśl nie mogła przejść przez umysł jednego z nich, aby wnet w drugim nie znalazła oddźwięku.

— Dziwne, w obecności księżnej Osmonde czuje się człowiek, jakby był w kościele — powiedział jeden z modnych, stołecznych kawalerów.

— Nie tak było za dni, kiedy była hrabiną Dunstanwolde. Dziś w blasku jej oczu nikt nie ośmieliłby się na zbyt lekki żart lub na powtarzanie gorszących stołecznych plotek.

Gdy księstwo wrócili do stolicy, nie zamieszkali w pałacu hrabiego Dunstanwolde, ale w obszernej stołecznej siedzibie księcia i tu gromadzili w swych apartamentach najprzedniejszych mężów stolicy. Bywali tam nie tylko książęta krwi i wielcy panowie, ale wszyscy wybitni ludzie, którzy piórem lub wiedzą służyli krajowi, a z tych nie tylko najsłynniejsi i zasłużeni, tacy jak pan Addison, Swift i pan Pope, ale i wielu innych skromniejszych, takich, którzy jeszcze nie zdobyli swych ostróg na polu poezji lub wiedzy, a wdzięczność ich nie miała granic i sławili księżną w tysiącnych odach i poematach.

— Biedacy — mawiała pani do małżonka. — A jednak, choć biedacy, w ich zgłodniałych duszach jest coś ponad nudne zadowolenie z siebie, rządzące światowymi ludźmi. Szkoda, zaiste, jeśli ptak, który się w ich sercu rwie do lotu, ma słabe skrzydełka, ale tym bardziej ci, którym dano moc i dostatek, winni im pomagać i otaczać opieką.

Ona sama wielu biedakom pomagała. Mówiono, że chadzała do najuboższych dzielnic, gdzie żadna inna pani nie odważyłaby się pójść, i

spełniała tam wiele dobrych uczynków, o których nikt nie wiedział. Raz w jednej ślepej uliczce, w brudnej, ohydnej norze natrafiła na biedną dziewczynę, umierającą na jakąś wstrętną chorobę i stała nad jej łóżem z łachmanów i słuchała, jak owa nędzarka w swych majaczeniach powtarzała bez końca jedno i to samo nazwisko, a wypytawszy jej współmieszkańców, dowiedziała się, że była to młodziutka dziewczuszka ze wsi zwabiona do miasta przez pewnego człowieka dla jego chwilowej uciechy, który wkrótce ją rzucił, ona zaś stoczyła się na dno nędzy i hańby.

— Jak on się nazywał? — spytała księżna starej wiedźmy, pijaczki. — Nie wiem, czy dobrze usłyszałam jego imię?

— Pan to z dobrego rodu, jaśnie pani — rzekła baba. — A nazwisko jego dobrze sobie zakarbowałam w pamięci, bo niejedna już dziewczyna przeklinała je w godzinie śmierci. Raz była taka, którą znałam. Ładne to było, świeże stworzonko, lat zaledwie szesnastu. Szalała z miłości do niego i leżała u progu jego kwatery błagając, by ją przyjął z powrotem, gdy ją odrzucił. I tak oszalała z rozpacz i miłości, że dopuściła się w szale zbrodni i na śmierć ją skazali, na szubienicę. W Tyborn ją wieszano. Boże słodki, jakże ona powtarzała imię tego kawalera, kiedy ją w trumnie wieźli na kaźń i kiedy kat zakładał jej pętlę na szyję! „Johnie”, krzyczała, „Johnie Oxon, niech ci Bóg przebaczy! Nie, raczej Bogu przebaczyć trzeba, że ci daje życie, a mnie tak pozwala umierać!” Klnę się Bogiem, straszny to był widok, a jeszcze ona taka drobna i tak przestraszona, i taka młodziuchna. Kat nie mógł jej dać rady. Zawołałam do niej, żeby była spokojna, że to prędzej minie, ale ona swoje. „Johnie Oxon!” krzyczała, „przez ciebie tak ginę!”

Księżna Osmonde czuwała do końca przy łożu drugiej ofiary bezlitosnego kawalera. Kazała ją przenieść z brudnej nory do przyzwoitego domu i tam ją dzień w dzień odwiedzała, aż przyjęła sama jej ostatnie tchnienie, trzymając za rękę umierającą, która swój wzrok utkwiła w jej promiennej twarzy, czerpiąc z jej oczu moc i pociechę.

— Nie bój się, biedna duszo — mówiła pani — nie bój się. Jestem przy tobie. Wkrótce uśniesz a gdy się zbudzisz, na pewno Chrystus cię przyjmie, On, który umarł za nas i wszystkie łzy człowiecze ociera. Słuchaj, powtarzam ci te słowa, jak modlitwę — tu pochyliła się nisko i łagodnie i wyraźnie powtarzała te słowa: „On wszystkie łzy ociera... wszystkie łzy...”

Wielka moc, jaką posiadała za dawnych dni, moc zwyciężania i czynienia z ludzi swych niewolników, przemieniła się teraz we władzę ku temu skierowaną, aby nieść ulgę cierpiącym i wspierać słabych i to piękna pani czyniła nie tylko po zapadłych norach, po schroniskach nędzarzy, ale i na dworze i w modnym

świecie, bo i tam odnajdywała cierpienia, tym bardziej jeszcze gorzkie i tym żałośniejsze, że ich na głos nie śmiano wypłakać. Wzniosłość jej urody, wysokość jej stanowiska i świetność jej fortuny dawały jej moc czynienia dobra. Ludzie jednak więcej szukali w niej innej mocy, owej mocy ducha, owej odwagi i potęgi miłowania, która niby na rozpostartych skrzydłach orła wznosić umie ku niebu dusze cierpieniami przygięte do ziemi. Nędzarz w zaułku czuł tę moc i sam nie wiedząc czemu, wciągał w pierś tchnienie czystsze, wznioślejsze powietrza; ubogi poeta na poddaszu żywił się ową mocą, a spędziwszy chwilę w bliskości cudnej pani, wracał do swego domu z duszą rozgrzaną nową wiarą, że słowa jego Muzy dotrą jeszcze do ludzi i poruszą ich serca.

Od chwili, gdy księżna pani odnalazła ową umierającą ofiarę sir Johna, wytknęła sobie nowe pole do pracy. Nikt o tej pracy nie wiedział prócz niej, a później Anny, gdyż pełniła ją w cichości. Od jędzy, która jej opowiadała o powieszanej dziewczynie, dowiedziała się jeszcze o wielu innych złych sprawkach pięknego kawalera, a co się starej wydało tylko pustą ciekawością wielkiej pani, było cierpliwym zbieraniem nitek, by po nich trafić do wszystkich, których on skrzywdził w ciągu swego łotrowskiego żywota. Gdziekolwiek tylko zdołała usłyszeć o jakiejś ludzkiej istocie, mniejsza czy była mężem czy niewiastą czy dzieckiem, która by ucierpiała na skutek zbrodniczych postępów sir Johna, natychmiast podążała tam, by pomagać, oświecać i wspierać.

W niewyjaśniony, jakby od nieba zesłany sposób, biedni rzemieślnicy i kramarze, których ów rozrzutnik ograbił, otrzymywali z powrotem swe należności; młodzieńcy, których wywiódł na złe drogi, bywali na nich zatrzymani i ku dobremu kierowani; niewiasty, które wepchnął w hańbę, otrzymywały pomoc i możność odnalezienia szczęścia i pokoju; dzieci, rzucone na świat bez nazwiska i innej opieki prócz rynsztoka, bez innej przyszłości, jak życie w zbrodni, znajdowały opiekę i mogły liczyć na powrót do normalnego życia. Piękna wiejska dziewczeczka, dzięki śmierci sir Johna, cudem uratowana od zagłady, trafiwszy pod opiekę księżnej zamieszkała z matką w Dunstanwolde, a że pamięć bywa młodym miłosierna, zapomniała o swym smutku, odzyskała swe świeże rumieńce, odnalazła w sercu nadzieję i nauczyła się uśmiechać na nowo.

Ponieważ ja go zabiłam — mówiła sobie księżna w cichości swej duszy — ja muszę żyć jego życiem, jako że mu je odebrałam, i muszę naprawić wszystkie krzywdy, które on powyrządził.

Słusznie mówiono, że nie było na świecie małżeństw wiodących życie tak wzniosłe i szlachetne, jak oboje księstwo Osmonde. Zamek Camy-lott, gdzie spędzili pierwsze miesiące po ślubie, upodobali sobie bardziej niż wszystkie inne swe posiadłości i tu spędzali wiele czasu, o ile im na to pozwalały obowiązki

księcia wobec dworu i państwa.

Wspaniała to była siedziba, a widok z zamku, zbudowanego na wzniesieniu, roztaczał się na nieporównany krajobraz wzgórz i lasów, i łąk, i dolin, aż po srebrzyste, dalekie pasmo morza.

Tu piękna pani była kasztelanką i królową, a małżonek widział w niej swą chlubą i najwyższą radość. Dla ludzi jego włości była niby dobroczynna bogini miłosierdzia. Gdy się zjawiała w wioskach w pierwszych miesiącach po swym ślubie, spoglądano na nią nie bez przymieszki lęku; i tu bowiem słyszano ojej dzikiej młodości w domu ojca, słyszano, jaką była dumną panią jako hrabina Dunstanwolde, ale gdziekolwiek się zjawiała, wnet o tym wszystkim zapominano z podziwu nad jej łaskawością i słodyczą.

Widzieć ją tak wchodzącą do biednej chaty, taką wielką i piękną panią, z tą jej postawą tak wspaniałą — mówili między sobą wieśniacy

— że szczerozłota korona powinna zdobić jej głowę, a słuchać jej mowy łagodnej i widzieć ten jej uśmiech miły i radosny, to doprawdy radość dla serca i oczu.

Tak, nie ma dla niej progów za niskich, chaty za ubogiej, człowieka za grzesznego — mówiono.

A słyszeliście jak spotkała tę nieszczęsną dziewczuchę od Haylittów płaczącą w zagajniku wśród paproci i jak przy niej uklękła i o przyczynę zmartwienia pytała? Biedna dziewczyna, miała piętnaście lat i pokochała chłopaka z drugiej wsi, a ten bałamucił ją, ale żenić się nie chciał. Ojciec, dowiedziawszy się o tym, wygnał ją z domu. Księżna pani szła lasem o zachodzie słońca, a dziewczyna mówi, że w tym blasku wyglądała niby jakiś Anioł Boży. Podeszła do niej i uklękła, i wzięła ją w ramiona, a siłę ma niczym dorodny mąż, mówiła Betty. Łagodna była jak matka i poczęła mówić takie rzeczy, jakich nigdy z ust żadnej pani nie słyszano. Mówiła że nie wiadomo, jaka jest prawdziwa wola Boża co do małżeństwa i nie to ważne, co ludzie mówią i uczą, ale to ważne, że był na świecie Chrystus i On nauczył nas miłości i pomagania sobie wzajem, i miłosierdzia. To dla Niego, przez pamięć na Jego śmierć i mękę, my wszyscy musimy miłować się wzajem i wzajem sobie współczuć i czynić miłosierdzie. A potem poszła do ojców dziewczyny i tak do nich przemówiła, że się rozplakali i sami córkę sprowadzili do domu. Poszła też i do Toma Becka, jej chłopca, i tak ładnie mu do serca przemówiła o biednej dziewczynie, że poruszyła mu serce do zakochania się u niej na nowo, choć to nie bywa w męskich zwyczajach. Dość, że zaprowadził Betty do ołtarza za tydzień, a księżna pani darowała dziewczynie dość duży posag.

— Użyłam całego swego dowcipu i najczulszych słów, żeby obudzić jego uśpione serce — mówiła księżna pani do swego małżonka.

Osmonde przygarnął ją do piersi, uśmiechając się czule. — Masz wielką władzę nad ludźmi, słuchają cię i boją się ciebie. Oddaję ci wszelkie rządy nad nimi. — Nie — rzekła z błagalnym spojrzeniem — nie daj mi rządzić, rządz za mnie, wspieraj mnie, abym wszystko, co czynię, czyniła w twoim imieniu jako twoja żona.

— Która jest mną samym — odpowiedział.

— Tak — odrzekła z lekkim skinieniem głowy — wiem dobrze o tym, że jestem tobą, ale jestem niewiastą, a radością niewiasty, która miłuje, jest szukać we wszystkim chwały miłowanego. I taką radością będzie, Geraldzie — tu wzrok jej pobiegł daleko na dolinę wyłożoną słońcem i dziwny uśmiech, pełen niebiańskiej słodyczy rozjaśnił jej twarz — wymawianie imienia naszego dziecka.

— Miłości moja najśłodsza! — zawołał pociągając ją ku sobie, by spojrzeć w jej jaśniejące oczy — ukochanie mego serca!

Nie odwróciła swych oczu, w których jak gdyby pozostał jeszcze poblask złotej glorii zachodu. Coś nieziemskiego biło od niej w tej chwili. Wyciągnęła ku niemu swe ramiona i tak stali, serce bijące przy sercu.

— Tak, miłości moja, tak, Geraldzie — szepnęła — i Boga prosiłam, żebym ci mogła dać synów równie szlachetnych jak ty. Ale jeśli urodzą się córki, będę błagała z całej duszy, aby wyrosły na niewiasty dzielne, mocne i sprawiedliwe.

*

* *

W poranek wiosennego dnia, kiedy kukułki pokrzykiwały po lasach, a maj rozkwitał gęsto, różowo i biało po wszystkich sadach i żywopłotach, dzwony z siwej dzwonnicy w Camylott rozbrzmiewały wesoło i radośnie, oznajmując całej wiosce, że w zamku urodził się syn i spadkobierca. Dzieci zatrzymywały się w zabawie, by słuchać, mężowie w pracy wśród stodół lub pól, kumoszki wybiegały na próg swych chat, osuszając o fartuch ręce mokre jeszcze od prania lub zmywania i uśmiechały się szerokim, macierzyńskim uśmiechem.

— Boże błogosław matce i dziecięciu — mówiły.

— To będzie syn — rzekła jedna. — Księżna pani przyrzekła, że jeśli będzie

syn, dzwon zadzwoni raz, gdy zaś córka — dwa razy. Taki nasza pani obmyśliła sposób, żeby nas powiadomić.

W czterech innych wioskach rozdzwaniały dzwony równie głośno i radośnie ową wieść, a wieśniaczki gwarzyły, błogosławiąc księżną panią i jej dziecko. Wytoczono beczki piwa, pieczono na rożnie woły, przzerwano pracę i urządzono wesołą zabawę.

Księżna pani spoczywała w swej wspaniałej komnacie, tuląc do piersi dzieciątko. Księżę przechadzał się tam i z powrotem bo mu nie pozwolono wejść do komnaty i nie mógł usiedzieć na miejscu ze szczęścia. Gdy wreszcie wszedł do komnaty małżonki, ta już siedziała wyprostowana w łożu sama mu do rąk podała dziecko.

—Daję ci go. Duże i silne pachole, ale mi sił nie zabrał. — Nikt inny ojcu go nie poda — rzekła

— Duże było to, zaiste foremne od członków począwszy po głowę wprawiające w podziw medyka i niańki rodziców. Gdyby dziecko szlachejnych ciał, wielkiej miłości, pokolenie mocarzy tylko takie na świat przychodziły,

Wśród łagodnego blasku słońca, wśród milczenia wonnego od kwiecia, przerywanego jedynie ćwierkaniem ptaków w bluszczach, co zamek oplatały, księżna pani w słodkim śnie z synkiem w ramionach w komnatce ; gdy Anna wsunęła się by zobaczyć matkę i dziecko. Całą noc przeklęczała na modłach, teraz znów uklękała. Ucałowała stulone rączki maleństwa podobne do zwiniętych płatków róży, ucałowała skraj stroju matki. Nie śmiała budzić obojga.

- Bóg na pewno wybacza —szepnęła- Nie nakładałby brzemienia na niewinną istotkę Chrystusową

*

* *

Nie przyszła kara.

Niewinna miłość i nowe życie, sprawiły, że matka rozkwitała jak kwiat, rozwijający się ze swego pączka, również i całe swe dni spędzała na pielęgnowaniu i miłowaniu

_ Kiedyś myślałam, że jestem wyklęta, ale dano mi małżonka w jednej z najśłodszych godzin - rzekła raz do swego małżonka. - Czy nie pozostawiam żadnych pragnień nie spełnionych, w których mogłabym ulżyć?

Miuję cię najzarliwszej, przeto wiem, że tak wiele obowiązków względem ciebie, miłości moja względem świata, złych wyborów ludzkich Proszę Chrystusa w całej pokorze serca aby mnie ustrzegł od tego.

— I on modłów twych wysłucha — odrzekł książę z oczyma wilgotnymi od tkliwego uwielbienia.

Nie tylko miłość dawała swym dzieciom, a miała ich z biegiem lat kilkoro; czterech synów i dwie córki, dzieci silne i piękne jak ona sama. Dawała im swą nieustanną myśl i poszanowanie człowieczeństwa w nich samych i we wszystkich dokoła. Dzieci uwielbiały ją, jak i uwielbiał ją małżonek. Była najszlachetniejszą istotą, jaką znali, jej piękność, jej wielka, niezawodna miłość, jej prawość, były to rzeczy w oczach dzieci równie wzniosłe i niezmiennie, jak gwiazdy na Bożych niebiosach.

— Czemu nasza matka nie jest królową? — spytał ojca najmłodszy synek, wróciwszy ze stolicy, gdzie widział dwór i parę królewską. — Królowa nie jest tak piękna jak ona i na pewno nie tak dobrze rządzi, jakby ona rządziła.

Jejmość Anna rzadko się z siostrą rozstawała. Przyjście na świat każdego dziecka było dla niej niewymowną radością.

— Bądź i ty jego matką — powiedziała księżna, gdy jej pokazywała swego pierworodnego. — Stworzona byłaś na matkę, Anno.

— Nie, inaczej dzieci byłyby mi dane — odrzekła Anna.

— Swoje dzieci będę z tobą dzieliła — odparła księżna pani, podnosząc na nią swe oczy, pełne tkliwości. — Ucałuj mnie siostrze, ucałuj i jego i błogosław mu. Życie twoje było tak niewinne, że twoja opieka przyniesie mu błogosławieństwo.

Z niezwykłą tkliwością dbała o to, by Annie dać odczuć, że z nią dzieli macierzyństwo. Razem kąpały i przebierały dziecko, co było ich własnym świętem; niańkom wolno było tylko pomagać w podrzędniejszych usługach. Zabawiały się z nim wspólnie, śmiejąc się tkliwie i całując zgrabne, toczone członki, podziwiając jak dziecko rośnie. Gdy pacholę zaczęło stawać na nóżkach i szczebiotać niektóre słowa, matka wzięła je pewnego dnia do komnatki Anny w wieży.

— Przyszedł ci oddać pokłon, Anno — rzekła — i powtórzyc nowe słówko, którego właśnie go nauczyłam.

Postawiła dzieciątko na ziemi, ono zaś wsparło się o kolana Anny, ukazując

w uśmiechu swe perłowe ząbki. Matka ukłękła przy nim i zaczęła pieszczotliwie przemawiać.

— Kto to taki? — pytała wskazując palcem na Annę. — Powiedz, syneczku mamusi, jak się ona nazywa? - tu szepnęła po cichu w różane uszko świeżo nauczone słowo.

- Matczka Anna.- Z dziecinnym, rozkosznym śmiechem Matecka Anna - zaszczebiotało i uradowane własną mądrością podreptało na swych drobnych nóżkach do Anny i zaczęło wspinać się na jej kolana

Klorynda pochwyciła dziecię i posadziła je na kolanach siostry - Nazwał cię mateczką Anną, wiesz? - wyjaśniała. - Może nie masz w łasnych dzieci, ale je masz ze mną.

I padły sobie w objęcia, mając dziecko między sobą, całując je obie na przemian z cichymi, radosnymi śmiechami.

Każde dziecię, które przybywało na świat, przyjmowały wspólną radością, każde nazywało Annę słodkim mianem „mateczki” i znalazły w niej ukochaną opiekunkę i towarzyszkę swych niewinnych zabaw

Anna nie mogła uwierzyć swemu szczęściu, a jej miłość do siostry zamieniła się w uwielbienie. Jednak jej zdrowie, które nigdy nie było mocne słabło z każdym rokiem. Nie miała sił do walki z losem Takii przypadł, nie miała dość mocy myśli, by rozplatać zag[^]en a niepojęte dla niej, ani dość siły woli, aby je od siebie odsunąć

Toteż podczas gdy księżna Osmonde, dojrzewając, stawała się coraz piękniejsza i promienniejsza, wątłe siły jej siostry słabły z każdym dniem a twarz pomarszczyła się przedwczesną starością. A jednak w jej S była dziwna słodycz; jej łagodne oczy, choć pozbawione blasku mBly" wyraz świętej, spoglądającej w niebo. Wiele się modliła, oddawać miłosiernym uczynom na wsi i w mieście. Czytywała swe nabożne księgi i gorliwie chadzała do kościoła.

- - Czasem, kiedy się budzę w nocy — mówiła złotowłosa Dafne do swej matki - widzę przy sobie mateczkę Annę. Klęczy i modli się przy mym łóżeczku, a potem przy łóżeczkach rodzeństwa

- To dlatego, że jest tak nabożna i tak nas miłuje - odpowiedział najstarszy John, na swój sposób rycersko i poważnie Matka mogła być dumna z tego dziedzica imienia Osmonde'ów; był istnym uosobieniem męskości i szlachetnego wdzięku.

Znano w stolicy i na dworze te piękne pacholeta i podziwiano je na równi z ich matką. „Taką mieć małżonkę, takie dzieci, to los iście do pozazdroszczenia”, mawiano. „U tych dwojga miłość nie wygasła i nigdy nie wygaśnie, a dzieci ich rozkwitają w jej blasku jak kwiaty”.

*

* *

W tych dniach nadszedł koniec sir Jeoffreya a nikt mu nie przybył z pomocą w ostatniej godzinie, prócz tej córki, której młodość tak bezmyślnie pchał na bezdroża.

O ile już ją podziwiał, jako hrabinę Dunstanwolde, to z ciężkim lękiem spoglądał na nią, gdy się stała księżną Osmonde. Nic go nie zdołało nakłonić, aby ją odwiedził czy to na zamku, czy to w jej pałacu w stolicy.

— Wszystko to za wysokie progi dla mnie, wasza książęca mość — mawiał — prostak ze mnie, do łowów tylko i pijaństwa nawykły. Nie nadaję się do kompanii wielkich panów. W obiad muszę się upić, a kiedy mi likwor uderzy do głowy, nie miałaby księżna pani ze mnie na swych salonach ozdoby. Ale co też za dama się z ciebie zrobiła, Klorciu — mawiał potrząsając głową. — Ile razy cię zobaczę, to nie mogę się nadziwić, jaka to z ciebie była mała jędza i jak ci łatwo było popaść w różne sidła. Choćby taki Oxon... — dodał pewnego dnia. — A wiesz, jaką to o nim ostatnimi czasy słyszałem gadkę? Że się oto w mieście założył z kompaniami, (a lubił się przechwalać ten człowiek) że zdobędzie twą miłość, choć tak hardo na niego spoglądałaś. Wtedy to jego przyjaciele powiedzieli, że nie uwierzą, chyba żeby im pasmo twoich włosów pokazał, czarnych i długich na pięć stóp. I razu pewnego wrócił i powiedział, że zdobył takie pasmo, ale po pijanemu je gdzieś schował i zapomniał gdzie. Tak się z niego naśmiewali, tak podkpiwali, że do szpad sięgnięto i sporo się krwi przelało. Ale choć taki z niego był zuch i gładysz, nie udało mu się z tobą. Gdyby nie twój bystry dowcip i diabelska wola, nie stałabyś się największą księżną na całą Anglię, Klorciu.

— Nie mówmy — rzekła — o tamtych dniach. Rada bym je na wieki wymazać z pamięci.

Czas płynął i lata przeżyte w opilstwie i na hulankach zaczęły się mścić na sir Jeoffreyu i do upadku chylić krzepkie i rosłe ciało, które innemu mężowi dzielnie ponad osiemdziesiątkę by posłużyło. Sir Jeoffrey pijał coraz więcej i nudził się coraz bardziej, nie znajdując już rozrywki w dawnych, rubasnych zabawach.

— Wino nie tak dziś mocne, jak bywało — zwykł był mruzczyć

— coraz mniej rzeczy sprawia człękowi uciechę. Dajcież mi dawne moje lata, to by człęk dopiero szalał!

W poszukiwaniu coraz silniejszej podniety brnął głębiej i głębiej w bagno hulaszczey rozpusty, aż któregoś dnia po męczących łowach, gdy siedział za stołem z dawnymi kompanami, ci ujrzeni nagle, jak się naprzód pochylił, pustymi, oszołomionymi oczyma spoglądając w ciemny kąt izby.

— Co ci, Jeoff? — spytał stary Eldershawe, trącając go łokciem.

— Co tak oczy wytrzeszczyłeś, jakbyś oszalał?

— John Oxon! — zawołał jegomość z oczyma coraz szerzej wybałuszonymi. — John, czego chcesz? Nie słyszę.

Zerwał się z wrzaskiem, machając rękoma, jakby coś odpychał.

— Odstap! — ryczał. — Pleśń na tobie zielona. Gdzieżeś był, żeby tak zapleśnić? Odstap, mówię, gdzieżeś był?

Przyjaciele za stołem pozrywali się, widząc jak blednie. Krzyknął strasznie i rozdzierająco, rękoma się chwycił za włosy i padł na ławę, piniąc się i miotając i wciąż w ten sam punkt mając utkwione oczy. Nie było sposobu, żeby go uspokoić. John Oxon tam był, przysięgał wciąż. Szedł do niego w strojnych szatach, całych oślizgłych od pleśni. Jak oszalały machał rękoma, odpychając puste powietrze, aż wreszcie rzucił się na ziemię z pianą na ustach.

— To śmierć — rzekł medyk — i dziw tylko, że nie nastąpiła wcześniej. Krew w nim gnije od pijaństwa i hulanek, a młodość dawno minęła. Jakie życie, taka śmierć.

Dziesięć lat w szczęściu upłynęło, gdy śmierć przyszła po Annę. Nie chorowała, tylko zdawało się, iż w ciągu tych szczęsnych lat z wolna traci życie. Chudsza się stawała i bledsza, zaś jej oczy coraz większe się wydawały i coraz bardziej rozmodlone.

Lato było, gdy pewnego pogodnego dnia przyszła z ogrodu w Camy-lott, niosąc wielkie naręcze róż, a usiadłszy przy siostrze w jej komnacie, nagle omdlała, rozsypując dokoła kwiaty.

Gdy odzyskała przytomność, spojrzała na siostrę dziwnym, dalekim spojrzeniem, jakby jej dusza powróciła z jakichś niezgłębionych dali.

— Niech mnie do łóżka zanosą, siostró — rzekła. — Chciałabym leżeć spokojnie. Już nie wstanę.

Tak nieziemskie było jej spojrzenie, tak pełne niewymownej tajemnicy, że serce księżnej pani zamarło, w jakiś bowiem nie wyjaśniony sposób zrozumiała, iż nadchodzi koniec.

Zaniesiono Annę do jej komnatki na wieży, położono do łóżka, ona zaś rozejrzała się dokoła, a potem wzrok podniosła na siostrę.

— Miła komnatka — rzekła. — I modły, które tu do Nieba wznosiłam, zostały wysłuchane. Dziś widziałam mamę i ona mi to powiedziała.

— Anno! Anno! — zawołała księżna pani, pochylając się nad nią i z lękiem spoglądając w jej twarz, bowiem te słowa wydały się jej majaczeniem, choć wzrok chorej był spokojny. — Anno! Anno! — powtórzyła księżna — majaczysz, najmiłsza!

Anna uśmiechnęła się dziwnym, słodkim uśmiechem. — Może

— odrzekła. — Wiem tylko, że jestem bardzo szczęśliwa. Matka rzekła, że już po wszystkim i że nie uczyniłam zła. A oblicze jej było jasne i młode, oczy zaś takie, jakby na nic innego nie spoglądały, tylko na niebieskie gwiazdy. Powiedziała, że nie uczyniłam zła.

— Zła! — zawołała księżna pani. — Ty najdroższa! Ty duszo żyjąca blisko serca Chrystusowego!

Taka byłaś słaba, ja tak mocna, a jednak gdy spojrzę wstecz, zda mi się, że wszystko dobre we mnie, co mi pozwoliło zostać żoną i matką, zawdzięczam tobie, kochana, biedna siostró.

Przez okno w wieży, obrosłe bluszczem, jaśniał przejrzyście błękit nieba. Lekkie obłoki płynęły po jego lazurach. Oczy Anny, wzniesione ku górze z tkliwym wzruszeniem, utkwione były w te błękity.

— Wkrótce już mnie nie będzie — rzekła. — Wkrótce to wszystko zostawię. I tylko ci chciałam powiedzieć, że modły moje zostały wysłuchane... a więc i twoje będę, na pewno.

Nikt by nie wiedział, co sprawiło, że księżna padła nagle na kolana, nikt

prócz niej samej. Coś wyczytała w rozjaśnionym obliczu odchodzącej, w obliczu, które już nic przed nią nie tało.

— Anno! Anno! — zawołała. — Siostro Anno! Matko Anno, mameczko moich dzieci! Tyś wiedziała! Wiedziałaś przez te wszystkie lata... i milczałaś?

Opuściła swą królewską głowę i skryła swą bladą twarz w fałdach pościeli.

— Tak siostro — odrzekła Anna, jakby wracając na ziemię, — od samego początku, o wszystkim. Znalazłam list przy słonecznym zegarze... domyśliłam się... miłowałam cię... i nic innego nie mogłam uczynić, tylko czuwać nad tobą. Niejeden dzień czuwałam w różanym ogrodzie, niejeden dzień... i noc niejedną... Boże, wybacz mi... Gdy wiedziałam, że list jest tam ukryty, zwykłam przechadzać się blisko, wiedząc, że moja obecność odstraszy innych. A gdyś ty się zbliżała... albo on, kryłam się i czekałam za żywopłotem z róż, by móc was ostrzec. Siostro, trzymałam nad tobą straż, a to czyniąc, klęczałam... i modły wznosiłam za ciebie.

— Straż pełniłaś nade mną! — zawołała Klorynda. — I wiedząc o wszystkim, strzegłaś mnie dzień i noc, i Boga prosiłaś o zmiłowanie nad moim szaleństwem! — Wpatrywała się w nią ze zdumieniem, a łzy, pokorne i palące płynęły z jej oczu.

— Za siebie samą nędzną i za ciebie, siostro, błagałam o zmiłowanie Boże, kiedy tak klęczałam — rzekła Anna. — Długo nie znałam swego serca, tak niedoświadczoną będąc, ale niestety! I ja go miłowałam. Niegodny był miłości niewiasty, ja zaś za nisko stałam, bym śmiała podnieść oczy na niego... ale... i ja byłam niewiastą... i Bóg nas takimi uczynił.

Klorynda pochwyciła jej przejrzystą dłoń. — Wielki Boże — zawołała. — I tyś go miłowała!

Anna poruszyła się na poduszkach, przysuwając się z wysiłkiem, aż jej zbielejące usta zbliżyły się do ucha siostry.

— Tej nocy — dyszała — tej nocy, kiedyś go zniosła... w swych ramionach...

Siostra jej drgnęła, uniosła głowę i lęk zmroził jej rysy. — Co mówisz! — zawołała.

— Po ciemnych schodach — szeptał dalej słaby głos — do piwnic... 1 wtedy ja byłam na straży.

— Ty byłaś na straży, ty? — spytała księżna zdławionym głosem.

— Stałam na schodach wiodących do izb czeladnych, aby zatrzymać każdego ze służących, gdyby się któryś zbudził i otworzył drzwi... abym go mogła odprawić, mówiąc, że to tylko ja.

Księżna pochyliła się do niej, z oczyma rozszerzonymi ze zgrozy. — Anno, Anno! — zawołała. — Tyś znała tę okropność, którą chciałam zataić? I to również? Wiedziałaś, że on był tam?

Anna spoczywała na poduszkach, z oczyma utkwionymi w błękit niebios i w białe, wełniste obłoczki. Stado śnieżnobiałych gołębi krążyło tam i z powrotem, a jedna z gołabek siadła na framudze okiennej i gruchała cicho. Ciepło było i powietrze przepelniała woń lata. Anna czuła, że nic już jej nie dzieli od tych duszę wznoszących błękitów, że nic już z ziemi nie pozostało tylko gruchanie gołębicy i z dala od ogrodów i kwiecica płynący śmiech dzieci.

— Jestem już u skraju — szepnęła — u skraju żywota, siostrze, i zda mi się, iż dusza moja zbyt już blisko Bożej sprawiedliwości, aby się lękać tego, co lęk w ludziach wzbudza i sądzić, jak na ziemi sądzą. Tak siostrze, wiedziałam o wszystkim.

— I wiedząc — zawołała księżna — siedziałaś ze mną tego dnia?

— Ażebym czuwać przy tym, co było ukryte, aby strzec miejsca, gdzie to ukryto. A jako biedne stworzenie, lękliwe i słabe...

— Słabe! — zawołała księżna, a łzy z jej oczu płynęły strumieniem. — Ty, słaba! Ja się ośmieliłam za taką cię uważać, ciebie, która masz serce wielkiej lwicy. Ty, słodka Anno moja... ty słaba?

— To była miłość—odszepnęła Anna. — Twoja miłość była mocna i moja również, ale nie ta ziemską. Wiedziałam, że moje życie, długie życie, będzie się musiało bez niej obejść, długie bowiem jest życie niewiasty, niestety, gdy miłość nie przyjdzie. Ale ty byłaś samą miłością i uwielbiałam ciebie i twą miłość, i mówiłam sobie, na kolanach prosząc Boga o wybaczenie, mówiłam sobie „niech choć jej dane będzie zaznać błogosławieństwa miłości”. A będąc tak nędzną i niedoskonałą istotą, chciałam... duszę mą za cię położyć... i za miłość, która jest tak wielka i światem rządzi. Spójrz na te gołabki, polatujące po błękitach... i pomyśl, siostrze, pomyśl: Ona rzekła, że nie uczyniłam zła.

Księżna klęcząc całowała jej dłonie, oblewając je gorącymi łzami.

— Ty wiedziałaś, biedna, kochana, wiedziałaś! — powtarzała.

— Tak, o wszystkim wiedziałam — rzekła Anna — i jak cię dręczył, i jak cię do szału groźbami doprowadzał. A gdy wdarł się do palisandrowej sali tego dnia, wiedziałam, że przyszedł zadać jakiś śmiertelny cios i w takim przerażeniu czekałam końca w mej komnacie, że doczekać się nie mogłam i zeszłam, prosząc Boga, by mi wolno było jakoś stanąć między wami... I poszłam tam...

— I co ujrzałaś? — spytała księżna z dreszczem. — Musiałaś coś zobaczyć, inaczej skądbyś wiedziała?

— Tak — szepnęła Anna. — I słyszałam! — tu pierś jej zaczęła się podnosić i opadać szybko.

— Słyszałaś? — zawołała Klorynda. — Wielki, miłosierny Boże!

— Pokój był pusty, gdy weszłam i taka w nim była cisza, że się przeleżałam. Wydała mi się tak podobna do milczenia grobu... a potem usłyszałam odgłos... przewlekłe, urywane westchnienie... jedno tylko... a potem... usłyszałam szelest czegoś, co się obsuwa i martwa ręka opadła na posadzkę. Leżała tak wyciągnięta, z dłonią obróconą na zewnątrz, wystając spod falbany siedzenia...

Zarzuciła wąż ramiona na szyję siostry, a Klorynda przygarnęła ją mocno, kołysząc ją w swych objęciach.

— I co wtedy uczyniłaś? — spytała księżna zalekłym szeptem.

— Prosiłam Boga, aby mi rozumu nie pomógł, uklękłam i zajrzałam pod siedzenie. Odsunęłam ją, tę martwą dłoń, w głos sobie powtarzając: „Nie wolno ci zemdleć, nie wolno! Boże ratuj, Boże pomóż!” I ujrzałam... siną plamę na jego skroni... oczy jego obrócone w ślup, jasne loki rozsypane... i siły mi nie dopisały, opadłam bezwładnie i tak przez chwilę leżałam na boku, wiedząc, że obok mnie śmierć.

— O, Boże, Boże, Boże! — powtarzała Klorynda bez końca.

— Jak to się stało, powiedz? — szepnęła Anna z dreszczem. — jak to było uczynione? Tak cierpiałam będąc słabą istotą... i tak się modliłam. Bóg będzie miłosierny... ale mnie dobijała stopniowo ta świadomość i błagam cię, zanim umrę, powiedz mi, abym prawdę rzec mogła przed tronem Bożym.

— O Boże! O Boże! O Boże! — z jękiem powtarzała Klorynda tak poblądłszy, jakby ją ugodził śmiertelny cios.

— Zaczekaj! — zawołała z nagłym dreszczem zgrozy, gdyż nowa myśl ją przeszyła. — Myślałaś, że go zamordowałam?

Piersią biednej Anny zatargał konwulsyjny szloch, łzy popłynęły po zapadłych policzkach, wychudłe, przejrzyste dłonie czepiały się z żalną bezsilną ramienia siostry.

— Przez te wszystkie lata nic nie wiedziałam—łkała — nic, tylko to, że go znalazłam tam martwego; człowieka, którego tak nienawidziłaś i który w tobie wzbudzał taki lęk.

W oczach Kloryndy było takie uniesienie podziwu, czci i uwielbienia, jakby klęczała przed jakimś cudownym ołtarzem.

— Myślałaś, że go zamordowałam i jednak nie przestałaś mnie miłować — mówiła. — Myślałaś, że go zamordowałam i jednak osłaniałaś mnie, i pomogłaś drogę odnaleźć do życia, i do pokuty, i do poznania najwyższej słodczy miłowania. Myślałaś, że go zamordowałam, a jednak dusza twa pełna była miłosierdzia. Teraz, teraz dopiero prawdziwie wierzę w Boga, bo jeden Bóg może uczynić serce tak szlachetnym.

— A więc byłam... byłam w błędzie! — zawołała Anna, unosząc się na poduszkach zdyszana, a oczy jej zajaśniały jak niebieskie gwiazdy.

— Och, siostrze, siostrze miła, Bogu niech będą dzięki! Chrystusowi, który umarł za nas!

Księżna wstała i stanęła wyprostowana, z wyciągniętymi ramionami. — Myślę, że to sam Bóg chyba uczynił... choć ja zadałam cios. Do szalu mnie doprowadził ten człowiek, do zaślepienia, znieważył mnie śmiertelnie, znieważył moją miłość, mego Geralda. I wtedy uderzyłam go harapem, sama nie wiedząc, co czynię, nie patrząc, tylko cios zadając, jak broniące się, oszalałe z rozpacz stworzenie. A on padł... padł i leżał... i było po wszystkim!

— Ale nie z myślą morderczą, tylko w szale i przez okrutny, okrutny przypadek. Z własnej twej woli krew nie splamiła twych rąk — szeptała Anna i opadła bez tchu na poduszki.

— Przysięgam na wszystko, co najświętsze — mówiła Klorynda — przysięgam, że gdybym nie miłowała, gdyby Gerald nie był duszą mej duszy, jak i ja jego, stanęłabym hardo i śmiałabym się temu łotrowi w twarz z jego diabelskich pogroźek. Myślisz, że doznałabym lęku? Znałaś mnie. Czy była taka rzecz na niebie lub na ziemi, której ja bym się bała, zanim miłość nie przemieniła mej duszy? Jego pogroźki tylko by krew we mnie wzburzyły, obudzając szaleństwo wściekłości. „Rozgłoś to po świecie!” zawołałabym mu w twarz. — „Rozgłoś to wszystkim, psie i łotrze, ty którego podłość wszystkim jest znana, a

zobaczysz jak to zniosę z podniesioną głową. Gdy los zadał mu śmierć przez moje ręce, przysięgłam sobie, że to podłe ściervo nie zaciąży nad całym dalszym moim życiem. I czekałam aż noc zapadnie, wszystko obmyśliwszy, wiedząc, że przy mojej niezwykłej jak na kobietę sile będę mogła go zanieść w najdalszy zakamarek tego labiryntu piwnic, w tę część lochów, którą później kazałam замуrować; i uczyniłam to, gdy wszyscy spali, wszyscy prócz ciebie, biedna Anno moja, prócz ciebie. I tam go złożyłam, tam też i spoczywa aż po dziś dzień... obrócony w proch.

— Nie było to morderstwo — szeptała Anna — nie. — Podniosła oczy na siostrę, a jej usta drgały. — A jednak kiedyś go miłowałam... miłowałam go przez długie lata — mówiła szeptem. — A w niewieście jest zawsze coś z matki... — ręce jej drżały jak w febrze, głos się jej załamał. — Siostro... ja go jeszcze widziałam.

Księżna pochyliła się nad nią bliżej — Jeszcze? — powtórzyła.

— Nie mogłam zaznać spokoju — mówił żalony głos. — Był tak niegodziwy, ale tak piękny. Był tak niegodny miłości... i umarł, a nikt o tym nie wiedział, nie tknęła go dłoń ludzkiej istoty, która by go żałowała, że takim był nędznikiem. Bo cóż żałośniejszego, gdy śmierć nadchodzi, a czasu nawet nie ma na skruchę? I tak mu twardo było leżeć, tak twardo, na kamieniach...

Zęby jej szczękały, łkania szarpały jej pierś. Księżna ogarnęła ją ramieniem i przytuliła do siebie.

— Moja słodka Anno — szeptała — słodka Anno, ocknij się, majaczysz!

— Nie, nie majaczę — odrzekła Anna. — To prawda, siostro. Nie było nocy w ciągu tych wszystkich minionych lat, żebym tego nie wspominała... nie widziała. W następną noc jak go tam złożyłaś czuwałam na modlitwie aż do północy, a potem wysunęłam się cichaczem i boso, żeby nikt moich kroków nie słyszał i po omacku odnajdowałam drogę w ciemnościach, wodząc ręką po ścianach, aż doszłam do tych najdalszych piwnicznych drzwi, a wtedy zapaliłam świecę.

— Anno! — zawołała księżna. — Anno! Ujrzała, jak kropelki zimnego potu wystąpiły na bladym czole siostry.

— Leżał tam w swym grobie, w tym ciasnym zakątku, wśród kamiennych ścian. Jasne loki przerzucone miał na oczy — mówiła Anna szeptem. — Na skroni jego było czarne piętno. Wydało mi się, iż przestał się drwiąco uśmiechać i na pewno spoglądał w coś ogromnego i straszliwego, co mu zadawało groźne

pytanie. Uklękałam i odgarnęłam z czoła jego jasne kędziory i próbowałam zamknąć jego oczy, ale nie chciały się zamknąć, jakby były wpatrzone w To, co mu zadawało pytanie. A że tak go miłowałam, ucałowałam jego biedne czoło, jak matka jego mogłaby uczynić, aby nie stanął Tam, nie mając za sobą ani jednej tkliwej ludzkiej myśli. I modliłam się, siostró, modliłam się za jego biedną duszę wszystkimi siłami własnej duszy. „Jeśliby choć jeden szlachetny i dobry uczynek spełnił w ciągu swego życia — oto jak się modliłam, „Jezu, zapamiętaj, Chryste, nie zapomnij! My, ludzie ułomni, tak mało pełniimy szlachetnych uczynków... och, jeśliby choć jeden był, z pewnością będzie mu policzony”.

Księżna przytuliła głowę do piersi siostry i zaczęła szlochać, szlochać i łzami się zalewać, jak dziecko. Uniosła piękną twarz zalaną łzami i ręce złożyła do modlitwy. — A ja — zawołała. — A ja? Powiedz, czy nie zbudowałam na jego grobie świątyni? Czy nie usiłowałam żyć, jak nakazał Chrystus? Czyż nie starałam się pełnić uczynków miłości i miłosierdzia, niosąc pomoc cierpiącym?

Anna spoczywała na poduszkach, uśmiechając się dziwnie. Wydawało się, jakby się uśmiechała do białych gołębi na tle błękitów. Przez chwilę siostra stała, patrząc za nią, a potem ku drzwiom zawróciła, chcąc zawołać kogoś ze służby.

— Zostań — szepnęła Anna — odchodzę cicho... zostań. Siostra jej padła znów na kolana i przysunęła usta do jej ucha. To była śmierć, ale nie budząca lęku, było to odejście duszy, duszy tak świętej i miłującej, iż Klorynda poczuła, że wolno jej będzie zadać ostatnie pytanie. Czowała, że ta dusza tak bliska jest Bogu, że jej odpowiedź będzie głosem samego Boga.

— Anno, Anno — szepnęła. — Czy on musi wiedzieć, mój Gerald? Czy powinnam... powinnam... powiedzieć mu o wszystkim? Jeśli tak, uczynię to na kolanach.

Gołębie gruchając zleciały błękitów i siadły na framudze okiennej.

Odpowiedź Anny była cicha jak tchnienie, ale oczy jej były pełne radości widzenia czegoś, czego nikt inny nie widział.

— Nie — szepnęła. — Nie mów mu. Po co? Czekaj, aż Bóg mu powie... Bóg, który rozumie...

Oddychała chwilę lekko, a potem oddech jej ucichł i tak leżała, z oczyma otwartymi, uśmiechając się niebu i owym gołąbkom, które siedziały na krawędzi okna i gruchały, a gruchały...

Księżna pani sama ubrała ją na ostatni spoczynek i przystroiła jej komnatę, a gdy to czyniła, komnatka w wieży napełniła się złotym blaskiem słonecznym, gołębnie nie przestały trzepotać się dokoła okna, gruchając, jakby rozmawiały czule między sobą o tej, która spoczywała uśmiechnięta.

Potem nadeszły dzieci, aby spojrzeć po raz ostatni na „mameczkę Annę”, nadeszły niosąc naręcze kwiecica. Mówiono im same piękne rzeczy o śmierci, tak że się im wydawała tylko otwarciem złotych wrót. Weszły po cichutku, jakby wstępowały do komnat królowej, i z tkliwym wzruszeniem składały wszystkie kwiaty na łożu dokoła głowy zmarłej, na jej pierś, na jej ręce splecione i wszędzie dokoła.

— Leży wśród kwiatów i uśmiecha się do nas — rzekło jedno z dzieci. — Stała się tak piękna jak ty, mamo, i twarz jej wygląda jak jasna gwiazda o poranku.

— Miłuje nas jak zawsze — powiedziała mała złotowłosa Dafne — i nigdy nie przestanie i będzie naszym aniołem w niebie. Teraz mamy własnego anioła.

Gdy książe powrócił z podróży następnego dnia, małżonka powiodła go do komnaty w wieży, i stanęli razem, ręka w rękę, spoglądając na oblicze zmarłej, pełne niebiańskiego pokoju.

— Geraldzie — rzekła księżna swym tkliwym głosem. — Ona się uśmiecha, nieprawdaż?

— Tak — odrzekł Osmonde — tak miłości moja, jakby do Boga, który do niej się uśmiechnął... do tej wiernej, tkliwej duszy niewieściej.

Dłoń, którą trzymał, zacisnęła się czulej. Druga dłoń wsparła się na jego ramieniu. — Jak wierna i jak tkliwa, mój Geraldzie — rzekła Klorynda — ja tylko wiem jedna. Ona jest moją świętą, słodka moja Anna, którą śmiałam tak lekceważyć za dni mego szaleństwa. Geraldzie, ona zna wszystkie moje grzechy i wczoraj zniosła je wszystkie w swych przeczystych rękach do Boga, prosząc o Jego nad nimi zmiłowanie. Własnych nie miała.

— I tak uczyniwszy, serce drogie, spoczywa oto wśród kwiatów i uśmiecha się do nas — rzekł książe i białą rękę małżonki przycisnął do swej piersi.

Ciało Anny spoczęło pod zieloną darnią i kwiatami każdy rok niósł nową pełnię błogosławieństwa tym, których tak za życia miłowała.

„Nigdy nie widziano tak cnotliwej i mądrej pani jak księżna Osmonde" mawiali ludzie. „Bezsilni i pokrzywdzeni znajdowali w niej ostoję, ginący — ratunek, cierpiący — ukojenie". Podejmowała się takich zadań, na jakie żadna inna pani nie znalazłaby siły, ale jej wszystko się wiodło, co zamierzyła, tak potężna była jej wola, tak jasny jej umysł, tak czyste i szlachetne jej serce. Prostaczkowie i książęta, bogacze i nędzarze czcili ją i jej małżonka, podziwiając ich miłość i szczęśliwość.

Wydawało się, jakby ci małżonkowie pojęli znaczenie życia i uczyć umieli miłość, która wśród nich zagościła i tego nauczyli swe dzieci. W dojrzałych latach opuścili ziemię w dostojnym pokoju, jak słońce, gdy zachodzi, a na płycie grobowej, na mogile przodków księcia napisano te słowa:

Tu spoczywa przy swym małżonku najszlachetniejsza i najlepsza pani, miła Bogu, a pamięć jej szlachetnych czynów i błogosławionego żywota żyje nadal i żyć będzie aż do skończenia dni.

KONIEC

DRODZY CZYTELNICY

W 1992 roku nasza Oficyna Wydawnicza przygotowuje wiele niespodzianek dla sympatyków serii „z serduszkami". I tak oto:

Już wkrótce w sprzedaży nowa seria „STARY ROMANS"

Będą to najciekawsze, najpiękniejsze powieści autorów polskich i obcych z przełomu XIX i XX wieku, lektury bardzo często ek-ranizowane, książki, które podbiły publiczność czytelniczą w wielu krajach świata.

Zawsze część nakładu będzie się ukazywać w twardej oprawie. Zapewniamy, że będą to prawdziwe rarytasy dla tych Czytelników, którzy kompletują serie „z serduszkami", oraz dla b i b l i o t e k!

*

* *

W serii „z serduszkami" przewidujemy także współczesne „hity" czytelnicze z Francji, Niemiec, Wielkiej Brytanii, Stanów Zjednoczonych i innych krajów.

Dobierając odpowiednie tytuły, staraliśmy się, aby nie była to literatura szablonowa, taka, o której zapomina się natychmiast po odłożeniu tomu na półkę. Toteż będą to książki, o których głośno było w krajach, gdzie ukazały się po raz pierwszy. A oto nazwy kilku zaledwie wydawnictw, od których nabyliśmy licencje: Mercure de France, Balland, Fixot, Flamme, Gallimard, Fontana/Collins, Zebra Books, Kensington Publishing Corp., A Dell Book.

*

* *

Amatorom dobrej książki polecamy najbliższe pozycje „ZŁOTEJ SERII AKAPITU”

Mark Twain: Prostaczkowie za granicą — nigdy dotąd nie tłumaczona na język polski książka wybitnego amerykańskiego pisarza, dziennikarza, a w ogóle prześmiewcy.

Romain Gary: Pieszczoszek — kolejna powieść sławnego w świecie pisarza, laureata nagrody „Goncourtów”.

W tej serii możecie się spodziewać, Drodzy Czytelnicy, najlepszych tytułów świetnych pisarzy, laureatów prestiżowych nagród literackich.

*

* *

A inne niespodzianki?

Przeziennie z Kącikiem kulinarnym „Akapit” proponuje Rozmowy serdeczne Zuzanny Celmer — psychologa, znanej Państwu z wystąpień w audycjach radiowych i na łamach prasy, np. „Zwierciadła”. Jej porady, załączone do naszych publikacji, złożą się kiedyś na mądrą i pożyteczną książkę.

Redakcja „Akapitu” dziękuje za listy. Prosimy o dalsze!

Nasz adres: ul. Ligonia 26, 40-950 Katowice